

II 173,931

GRAHAM GREENE

# MOC I CHWAŁA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1956

**MOC I CHWAŁA**

CZEŚĆ PIERWSZA



## R o z d z i a ł 1

### P O R T

Mister Tench wyszedł z domu na upalne słońce meksykańskie i biały pył drogi, aby dowiedzieć się o swoją butkę z eterem. Kilka sępów spoglądało z dachu z niemrawą obojętnością: nie był jeszcze padliną. Wątle uczucie buntu powstało w sercu Tencha. Połamanymi paznokciami wyrwał kamień z drogi i słabym ruchem rzucił go w ich stronę. Jeden z sępów uniósł się i pofrunął poprzez miasto, ponad malutkim rynkiem, ponad popiersiem byłego prezydenta, byłego generała, byłego człowieka, ponad dwoma straganami, w których sprzedawano wodę mineralną — prosto w kierunku rzeki i morza. I tak nic tam nie znajdzie: w tamtej stronie rekiny opiekowały się padliną. Mister Tench szedł dalej przez rynek.

Powiedział *buenos dias* człowiekowi ze strzelbą, który, w małym skrawku cienia, siedział oparty o ścianę. Ale to nie była Anglia. Człowiek nie odezwał się ani słowem, tylko spoglądał niechętnie na Tencha, jak gdyby nigdy nie miał nic do czynienia z tym cudzoziemcem, jak gdyby to nie Tenchowi zawdzięczał dwa złote trzonowe zęby. Pocać się Tench przeszedł koło Urzędu Skarbowego, który kiedyś był kościołem, w kierunku wybrzeża. W połowie drogi, nagle, zapomniał po co wyszedł z domu... Po szklankę wody mineralnej? Tylko to można było pić w tym kraju, gdzie obowiązywała prohibicja; było jeszcze mono-

polowe piwo, ale zbyt drogie, żeby je pić bez specjalnej okazji. Tencha chwyciło okropne uczucie mdłości. Nie, chyba chciał czegoś innego, nie wody mineralnej. Oczywiście, butla z eterem... Statek był już w porcie. Słyszał triumfalny świst jego syreny, gdy leżał na łóżku, po obiedzie. Minął zakład fryzjerski i dwa gabinety dentystyczne i wyszedł na brzeg rzeki pomiędzy składem a urzędem celnym.

Rzeka toczyła się ciężko pomiędzy plantacjami bananów, w kierunku morza: *General Obregon* był przycumowany do brzegu i właśnie wyładowywano piwo. Ze sto skrzyń leżało już na wybrzeżu. Tench stał w cieniu urzędu celnego i myślał: po co ja tu przyszedłem? Upał wysączył z niego pamięć. Zebrał ślinę i splunął ponuro w kierunku słońca. Potem usiadł na skrzyni i czekał. Nic nie ma do roboty. Nikt nie przyjdzie do niego przed piątą.

*General Obregon* miał około trzydziestu metrów długości, kilka stóp uszkodzonej balustrady, jedną łódź ratunkową, dzwon wiszący na sparciatym sznurze, lampę naftową u dziobu i wyglądał jakby jeszcze mógł przetrwać ze dwa lub trzy lata na Atlantyku, jeśli nie natrafi na północny wiatr w zatoce. To by go oczywiście wykończyło. Nie miało to jednak żadnego znaczenia: każdy, kupując bilet, był automatycznie ubezpieczony. Pomędzy indykami o związanych nogach z pół tuzina pasażerów opierało się o balustradę i gapiło na port: na skład towarowy, na pustą, spiekłą ulicę z zakładami dentystów i fryzjerów.

Tench usłyszał tuż za sobą skrzyp pochwy rewolweru i odwrócił głowę. Urzędnik celny patrzył na niego ze złością i powiedział coś, czego Tench nie dosłyszał.

— Co, proszę? — spytał.

— Moje zęby — powiedział niewyraźnie celnik.

— Ach tak, pańskie zęby — rzekł Tench. Ten człowiek w ogóle nie miał zębów. To był powód, dla którego nie mógł wyraźnie mówić. Tench usunął mu wszystkie. Brały go nudności. Coś mu było... robaki, dezynteria..

— Szczęka już prawie gotowa. Dziś będzie — obiecywał bez zastanowienia. Oczywiście, to było zupełnie niemożliwe; lecz tak właśnie tu się żyło, odkładając wszystko na potem. Celnik zadowolili się obietnicą. Może zapomni o tym, a w każdym razie co może zrobić? Przecież

zapłacił z góry. To był dla Tencha cały świat: upał i zapomnienie o wszystkim, odkładanie do jutra, a gdy tylko możliwe — gotówka na stół; za co? Wpatrywał się w dal ponad wolno płynącą rzeką. Przy jej ujściu pletwa rekina poruszała się jak peryskop. Z biegiem lat kilka statków osiadło na mieliźnie. Podpierały teraz brzeg, a ich kominy pochylone były jak armaty, wymierzone w jakiś odległy cel poprzez drzewa bananowe i moczary.

Tench myślał: butla z eterem, prawie zapomniałem. Z otwartymi ustami zaczął smętnie liczyć butelki Cerveza Moctezuma. Sto czterdzieści skrzyń. Dwanaście razy sto czterdzieści. Gęsta ślina zbierała mu się w ustach. Dwanaście czwórek to jest czterdzieści osiem. Powiedział na głos po angielsku: „Mój Boże ależ piękna!” „Tysiąc dwieście, tysiąc sześćset osiemdziesiąt”. Splunął patrząc z nieokreślonym zainteresowaniem na dziewczynę u dziobu *General Obregon*. Drobną, szczupłą figurą. Tutejsze przeważnie były takie grube. Piwne oczy, oczywiście, i nieunikniony błysk złotego zęba, ale coś tak świeżego i młodego... Tysiąc sześćset osiemdziesiąt butelek, po pezie za butelkę.

Ktoś szepnął po angielsku: — Co pan powiedział?

Tench odwrócił się. — Pan jest Anglikiem? — zapytał zdumiony, lecz na widok okrągłej i zapadłej twarzy, uczernionej trzydniową brodą zmienił swe pytanie na „Czy mówi pan po angielsku?”

Tak, mężczyzna odpowiedział, że mówi po angielsku. Stał wyprostowany w cieniu. Był to niski człowiek, ubrany w ciemne, miejskie ubranie, dobrze już znoszone, a w ręku miał niedużą teczkę. Pod pachą trzymał jakąś powieść: widać było kawałek napacykowanej sceny miłosnej. Powiedział: „Przepraszam, myślałem, że to do mnie pan się odezwał przed chwilą”. Miał wylupiające oczy i sprawiał wrażenie człowieka dziwnie wesołego, jak gdyby dopiero co oblewał urodziny... w samotności.

Tench splunął. „Co ja takiego mówiłem?” Nie mógł sobie niczego przypomnieć.

Powiedział pan: „Mój Boże, ależ piękna”.

— Co ja mogłem mieć na myśli? — Patrzył w górę na bezlitosne niebo. Sęp wisiał tam jak obserwator. — Co? Och, przypuszczam, że po prostu tę dziewczynę. Nie czę-



sto się tu widuje taki ładny okaz. Najwyżej jedną lub dwie na rok, godne uwagi.

— Ona jest bardzo młoda.

— Och, ja nie mam żadnych zamiarów — mówił ospale Tench. Wolno człowiekowi patrzeć. Żyję samotny od piętnastu lat.

— Tutaj?

— Niedaleko.

Zamilkli obaj. Czas mijał. Cień urzędu celnego przesunął się o kilka cali w stronę rzeki. Sęp poruszył się nieznacznie, jak czarna wskazówka zegara.

— Pan przyjechał tym statkiem? — zapytał Tench.

— Nie.

— Odjeżdża pan nim?

Mały człowieczek zdawał się wykręcać od dania odpowiedzi, ale w końcu, jak gdyby czując, że trzeba dać jakieś wyjaśnienie, rzekł: — Ja się tylko przyglądałem. Przypuszczalnie niedługo odpływa?

— Za parę godzin, do Vera Cruz — odpowiedział Tench.

— Bez przystawiania po drodze?

— Gdzież mógłby stawać? — Po czym zapytał: — Skąd pan się tu wziął?

Obcy odparł wymijająco: — Przyjechałem łódką.

— Ma pan plantację?

— Nie.

— Miło jest usłyszeć swój język — zauważył Tench. — Pan nauczył się angielskiego w Stanach?

Tamten przytaknął. Nie był zbyt rozmowny.

— Ach — mówił Tench — co ja bym dał za to, żeby tam być teraz. Nie ma pan czasem jakiegoś napitku w tej swojej teczce? — dodał po cichu niespokojnym głosem. — Niektórzy ludzie tam u was... sam znałem paru... trochę w celach leczniczych.

— Tylko lekarstwa — powiedział tamten.

— Pan jest doktorem?

Krwia nabiegła oczy zerkały chytrze ukosem na Tencha.

— Pan mnie być może nazwie... szarlatanem?

— A, cudowne leki? Każdy orze jak może — zauważył Tench.

— Czy pan dziś odpływa?



— Nie, ja tu przyszedłem po... po... och, i tak wszystko jedno po co. Położył rękę na żołądku i powiedział: — Czy nie ma pan jakiegoś lekarstwa na... och, cholera, nie wiem, co mi jest. To po prostu ten przeklęty kraj. Ale z tego mnie ani pan, ani nikt nie wykuruje.

— Pan chce wrócić do domu?

— Do domu? — mówił Tench. — Tu jest mój dom. Wie pan, jaki jest kurs peza w mieście Meksyku? Cztery za dolara. Cztery. O Boże. *Ora pro nobis.*

— Pan jest katolikiem?

— Nie, nie. To tylko takie wyrażenie. Nie wierzę w takie rzeczy. Zresztą jest zbyt gorąco — dodał bez sensu.

— Muszę gdzieś usiąść.

— Niech pan przyjdzie do mnie — powiedział Tench. — Mam zapasowy hamak. Do odejścia statku jeszcze kupa czasu, jeśli pan chce to oglądać.

Obcy powiedział: — Chciałem się zobaczyć z kimś nazwiskiem Lopez.

— Och, on już dawno jest rozstrzelany — stwierdził Tench.

— Nie żyje?

— Pan wie, jak to jest w tych okolicach. Czy to pana znajomy?

— Nie, nie — zaprzeczył pośpiesznie. — Tylko znajomy znajomego.

— Cóż, tak to już jest tutaj — ciągnął Tench. Zebrał powtórnie ślinę i strzyknął ją na ostre światło słoneczne. — Podobno pomagał... o, ludziom niepożądanym... no, wyjeżdżać stąd. Jego dziewczyna żyje teraz z naczelnikiem policji.

— Jego dziewczyna? Pan ma na myśli córkę?

— Nie był żonaty. Mam na myśli dziewczynę, z którą żył.

Tench był przez chwilę zdziwiony wyrazem twarzy obcego.

— Pan wie, jak to jest — powtórzył. Spojrzał w kierunku *General Obregon*. — Niezły kąsek z niej. Oczywiście za dwa lata będzie jak wszystkie inne: gruba i durna. O Boże, jakbym chciał się czegoś napić. *Ora pro nobis.*

— Mam trochę wódki — odezwał się obcy.

Tench spojrział na niego przenikliwie. — Gdzie?

Chudzielec przyłożył rękę do uda, jak gdyby wskazywał źródło swej nerwowej wesołości. Tench chwycił go za przegub ręki. — Ostrożnie powiedział. — Nie tutaj. — Obejrzał dywan cienia: na pustej pace siedział wartownik i spał, a obok niego leżał karabin. — Niech pan przyjdzie do mnie — powiedział.

— Chciałem zobaczyć odjazd statku — odparł niechętnie człowieczek.

— Och, jeszcze jest parę godzin do odjazdu.

— Parę godzin? Na pewno? Bardzo tu gorąco na słońcu.

— Niech pan lepiej idzie ze mną do domu.

Dom. Wyrażenia tego używało się na określenie czterech ścian, w których się sypiało. Domu nie było nigdy. Szli przez mały, wypalony słońcem rynek, gdzie martwy generał zieleniał od wilgoci, a pod palmami rozpościerały się stragany z napojami gazowymi. Dom leżał jak widokówka na stosie innych pocztówek. Gdy potasowało się talię, można było otrzymać Nottingham, miejsce urodzenia w zasięgu londyńskiego metra, jakieś odosobnione wydarzenie w Southend. Ojciec jego także był dentystą. Pierwszym wspomnieniem Tencha było znalezienie w koszu od śmieci wyrzuconego odlewu: chropawe, bezzębne, rozdzielone usta z gliny, jak wykopalisko gdzieś z Dorset; Neandertalczyk lub Pithecanthropus. To była jego ulubiona zabawka. Próbowano go skusić na meccano, ale los chciał inaczej. Jest zawsze taki jeden moment w dzieciństwie, gdy drzwi się otwierają i wpuszczają przyszłość. Upalny, mokry port rzeczny i sępy leżały w koszu od śmieci, a on je sobie wybrał. Powinniśmy być wdzięczni, że nie możemy widzieć okropności i poniżej leżących wokół naszego dzieciństwa, w szafach, na półkach z książkami, wszędzie.

Nie było bruku: w porze deszczowej wioska (jaką w gruncie rzeczy była ta miejscowość) zapadała się w błoto. Teraz ziemia była twarda pod stopami jak kamień. Obaj mężczyźni mijali w milczeniu zakłady fryzjerów i dentystów. Sępy na dachach wydawały się zadowolone jak ptactwo domowe: szukały pasożytów pod swymi szerokimi, zakurzonymi skrzydłami. „Przepraszam” — odezwał się Tench, zatrzymawszy się przed niewielkim, jednopiętrowym drewnianym barakiem z werandą, na której kołysał.

się hamak. Barak był trochę większy niż inne budy na wąskiej uliczce, która kończyła się bagnem dwieście metrów dalej. Nerwowo mówił: „Może pan chciałby się rozejrzeć? Nie chcę się chwalić, ale ja tu jestem najlepszym dentystą. To nie jest takie złe miejsce, w porównaniu z innymi”. Duma chwiała się w jego głosie jak roślina o płytkich korzeniach.

Zamknąwszy drzwi za sobą, poprowadził gościa do środka przez jadalnię, gdzie po obu stronach gołego stołu stały dwa krzesła na biegunach. Była tam też lampa naltowa, kilka starych amerykańskich gazet, szafa. Powiedział: — Zaraz przyniosę szklanki, ale najpierw chciałbym panu pokazać... pan jest wykształconym człowiekiem... — Gabinet dentystyczny miał okno wychodzące na podwórze, po którym łąziło kilka indyków z niemrawą, nerwową godnością. W gabinecie była nożna maszyna do wiercenia zębów, fotel dentystyczny, kryty jaskrawo czerwonym pluszem i oszklona szafka, a w niej stłoczone zakurzone instrumenty. W kubku stały kleszcze, pęknięta lampka spirytusowa walała się w rogu, a wszędzie na półkach porzrucane były tampony waty.

— Bardzo tu ładnie — zauważył obcy.

— Nieźle, jak na to miasto, prawda? — powiedział Tench. — Nie wyobraża pan sobie, jakie mam tu trudności. Ta maszyna — ciągnął z goryczą — jest japońskiego wyrobu. Mam ją tylko miesiąc i już się zużywa. Ale nie stać mnie na amerykańskie maszyny.

— Piękne okno — powiedział obcy.

W okno wprawiony był witraż: Madonna spoglądała przez moskitierę na indyki chodzące po podwórzu. — Dostałem to gdy plądrowano kościół. Nie wypadalo, żeby gabinet dentystyczny nie miał witraża. Cywilizacja tego wymaga. W domu, to znaczy w Anglii, był zwykle wesoły rycerz; nie wiem, dlaczego; albo też róża Tudorów. No, ale tu nie było wyboru.

Otworzył inne drzwi i powiedział: Moja pracownia. — Przedmiotem który najbardziej rzucał się w oczy było łóżko z zawieszoną nad nim moskitierą. — Pan rozumie, rzekł Tench — mam mało miejsca. — Z jednej strony stolarskiego warsztatu stał dzbanek, miednica i mydelniczka; z drugiej pompka, taca z piaskiem, obciążki i mały piecyk.

Tench mówił: — Robię odlewy w piasku. Jak inaczej miałbym to robić tutaj? — Podniósł odlew dolnej szczęki. — Nie zawsze można odlać je dokładnie — powiedział. — Oczywiście pacjenci narzekają. — Położył odlew i wskazał inny przedmiot na warsztacie rzecz o włóknistym i flakowatym wyglądzie, z dwoma małymi pęcherzykami z gumy. — Rozszczep podniebienia — objaśnił. — Pierwszy raz próbuję to usunąć. Foremka Kingsleya. Wątpię, czy dam sobie z tym radę. No, ale trzeba próbować, iść z postępem czasu. — Otworzyły mu się usta; powróciło bezmyślne spojrzenie. Wpadł w pokój obezwładniał. Stał tam, jak człowiek zagubiony w jaskini wśród skamieniałości i narzędzi z epoki, o której wie bardzo niewiele.

— Może moglibyśmy usiąść... — zaproponował obcy.

Tench wpatrywał się w niego wzrokiem bez wyrazu.

— Moglibyśmy otworzyć wódkę.

— Ach racja, wódka.

Tench wyjął dwa kieliszki z szafy pod warsztatem i wyciął ślady piasku. Następnie wyszli i usiedli w krzesłach na biegunach we frontowym pokoju. Tench nalewał.

— Z wodą? — spytał obcy.

— Nie można ufać tej wodzie — mówił Tench. — Zaskodziło mi, o tu. — Położył rękę na żołądku i pociągnął długi łyk. — Pan sam zbyt dobrze nie wygląda — powiedział. Przypatrzył mu się dłużej. — Pańskie zęby. — Brakowało jednego kła, a przednie zęby były żółte od kamienia i psuły się. Dodał: — Musi pan o nich pomyśleć.

— Co mi z tego przyjdzie? — powiedział obcy. Trzymał ostrożnie odrobinę wódki w kieliszku, jak gdyby to było zwierzę, któremu dał schronienie, ale nie ufał. W swoim wychudzeniu i zaniedbaniu miał wygląd kogoś, kto się nie liczył, kto został w dodatku pokonany przez chorobę lub niepokój. Siedział na samym brzeжку krzesła, trzymając na kolanach teczkę i odsuwając wódkę, jakby wstydzili się swojej do niej skłonności.

— Niech pan pije — zachęcał go Tench (nie była to przecież jego wódka). — Dobrze to panu zrobi. — Cienemne ubranie i pochyłe ramiona gościa niepokojąco przypominały mu trumnę, a w jego gnijącej jamie ustnej śmierć była już teraz. Tench nalał sobie drugi kieliszek i mówił dalej: — Człowiek czuje się tu bardzo samotnie i jest przyjeemnie

pogadać sobie po angielsku, nawet z cudzoziemcem. Może pan by chciał obejrzeć zdjęcia moich dzieci. — Wyciągnął z portfela pożółkłą fotografię i podał mu. Dwoje małych dzieci, w ogródku, wydzierało sobie ucho od konewki. — Oczywiście to było szesnaście lat temu — wyjaśnił.

— Teraz to już mężczyźni.

— Jeden zmarł.

— Och — odrzekł tamten łagodnie — ale w chrześcijańskim kraju. Łyknął nieco wódki i niezbyt mądrze uśmiechnął się do Tencha.

— Tak, niewątpliwie — odparł Tench ze zdziwieniem. Odchrząknął i dodał: — Nie wydaje mi się jednak, żeby to miało jakieś znaczenie. — Zamilkł, bo myśli gdzieś mu się rozwiały. Rozdziawiły mu się usta. Wyglądał szaro i bezmyślnie, aż wreszcie ból żołądka przywrócił mu świadomość i skłonił do sięgnięcia po więcej wódki. — Zaraz o czym to mówiliśmy? O dzieciach... racja, o dzieciach. Ciekawe, jakie to rzeczy zostają w pamięci. Wie pan, że pamiętam tę konewkę lepiej niż dzieciaki. Była zielona i kosztowała trzy szylingi jedenaście i trzy czwarte pensa. Mógłbym wskazać sklep, gdzie ją kupiłem. Ale co do dzieciaków — zamyślił się nad kieliszkiem o przeszłości — nie mogę przypomnieć sobie prawie nic oprócz ich płaczu.

— Dostaje pan listy?

— Przestałem pisać przed przyjazdem tutaj. Cóż by to pomogło? I tak nie mogłem posyłać pieniędzy. Nie zdziwiłbym się, gdyby żona wyszła znów za męża. Jej matce tylko w to graj. Stara zgorzkniała suka. Nigdy mnie nie lubiła.

Obcy odezwał się cicho: — To straszne.

Tench spojrział ze zdziwieniem na swego towarzysza. Tamten tkwił w krześle jak czarny znak zapytania, gotów do odejścia, gotów do pozostania. Wyglądał nieporządnie ze swoją trzydniową, siwą brodą i robił wrażenie człowieka słabego: kogoś, komu można było nakazać wszystko. Powiedział: — W ogóle świat, wie pan i to, co się na nim dzieje.

— Niech pan wypije wódkę.

Pił małymi łykami, jakby folgował sobie. Zapytał: — Pan pamięta to miasto z czasów przed... przed przyjściem Czerwonych Koszul?

— Owszem.

— Jak szczęśliwe ono było wtedy!

— Czyżby? Nie zauważyłem.

— Wtedy przynajmniej mieli... Boga.

— W stanie zębów nie ma żadnej różnicy — rzekł Tench. Nalał sobie nieco więcej wódki obcego. — To zawsze było okropne miejsce. Samotne. Mój Boże. Ludździe w Anglii powiedzieliby, że tu romantycznie. Ja myślałem sobie, że pięć lat tu spędzę, a potem wyjadę. Było mnóstwo roboty. Złote zęby. Ale później pez spadł. A teraz rnie mogą się stąd wydostać. Jednak wyjadę kiedyś. Wycofaam się z interesu. Wrócę do kraju. Będę żył jak przystało na dżentelmena. — Zatoczył ręką po pustym, podłym pokójku. — Zapomnę o tym wszystkim. Och, już niedługo tego. Ja jestem optymistą — zakończył.

Obcy nagle spytał: — Jak długo on jedzie do Viera Cruz?

— Kto?

— Statek.

Tench zasępił się: — Czterdzieści godzin od tej chwili i bylibyśmy na miejscu. Jest tam dobry hotel: Diligencia. Także dansingi. Wesołe miasto.

— Wydaje się blisko — rzekł obcy. A ile kosztowałoby bilet?

— Musiałby się pan spytać Lopeza — odparł Tench. — On ma agencję.

— Ale Lopez...

— Ach racja, zapomniałem. Rozstrzelany.

Ktoś zapukał do drzwi. Obcy schował teczkę pod krzesło, a Tench ostrożnie podszedł do okna. — Ostrożność nigdy nie zawadzi — stwierdził. — Każdy dentysta, który jest coś wart ma wrogów.

Słaby głos odezwał się błagalnie: „swój” i Tench otworzył drzwi. Słońce wpadło natychmiast do środka jak rozżarzona do białości sztaba.

W drzwiach stał chłopiec i pytał o doktora. Miał wielki kapelusz i głupie, piwne oczy. Za nim dwa muły grzebały kopytami i sapaly na gorącej, ubitej drodze. Tench powiedział, że nie jest lekarzem, lecz dentystą. Odwróciwszy się zobaczył swego gościa, skulonego w krześle na biegunach, wpatrującego się jakby błagalnie, prosząco... Chłopiec mmó-

wił, że jest jakiś nowy lekarz w mieście. Stary lekarz miał febrę i nie chciał przyjść. Matka chłopca była chora.

Tench począł sobie coś niejasno przypominać. Odezwał się z miną odkrywcy: — Przecież pan jest doktorem, nie-prawdaż?

— Nie, nie. Ja muszę złapać ten statek.

— Mnie się zdawało, że pan powiedział...

— Zmieniłem zdanie.

— Ach, jeszcze kupa czasu do odjazdu — odparł Tench. — Nigdy nie odjeżdżają na czas. — Spytał się chłopca jak daleko. Chłopiec odpowiedział, że sześć lig.

— Za daleko — rzekł Tench. — Idź sobie. Poszukaj kogo innego. Jak to wieści się roznoszą — powiedział do gościa. — Chyba wszyscy wiedzą, że pan jest w mieście.

— Jabym nic nie potrafił pomóc — szepnął obcy nie-spokojnie. Zdawał się pokornie pytać Tencha o opinię.

— Idź sobie — powtórzył Tench. Chłopiec nie ruszył się. Stał w ostrych promieniach słońca patrząc do środka z niezmierną cierpliwością. Mówił, że jego matka była umierająca. Piwne oczy nie wyrażały żadnego uczucia. Stwierdzał fakt. Człowiek się rodzi, jego rodzice umierają, sam się starzeje i umiera.

— Jeśli jest umierająca — powiedział Tench — lekarz nie ma po co do niej chodzić.

Ale obcy wstał, jak gdyby wbrew swej woli nie mógł się oprzeć wezwaniu. Rzekł ze smutkiem: — Zawsze ta sama historia. Tak jak teraz.

— Będzie się pan musiał zwijać żeby zdążyć na statek.

— Nie zdążę — powiedział. — Tak już mi przeznaczone, żeby nie zdążyć. — Miotał nim lekki gniew. — Niech mi pan odda wódkę. — Pociągnął długi łyk potrząc na nie-czułe dziecko, na spieczoną ulicę i na niebo, nakrapiane ruchomymi plamkami sępów jak gdyby wysypką od nie-strawności.

— Ale jeśli ona umiera... — zaczął Tench.

— Znam tych ludzi. Ona tak samo umiera, jak ja w tej chwili.

— Pan jej nic nie będzie mógł pomóc.

Chłopiec obserwował ich, jakby go to nic nie obcho-dziło. Rozmowa tocząca się tam w obcym języku była

czymś abstrakcyjnym: on do tego nie należał. On po prostu poczeka tutaj, aż doktor przyjdzie.

— Pan nic nie wie — obcy powiedział gwałtownie. — Każdy mi to stale powtarza: ty nic nie pomożesz. — Wódka działała na niego. Z niezmierną goryczą dodał: — Słyszę jak to mówią po całym świecie.

— W każdym razie — odezwał się Tench — za dwa, lub trzy tygodnie będzie drugi statek. Pan jest szczęśliwy; pan może stąd wyjechać. Pan nie ma tu swojego kapitału. — Pomyślał o swoim kapitale: japońska wiertarka dło żębów, fotel dentystyczny, lampka spirytusowa, obciążki i mały piecyk na złote plomby. Jest związany materialnie z tym krajem.

— *Vamos* — odezwał się mężczyzna do dziecka. Zwrócił się do pana Tencha i wyraził mu wdzięczność za odpoczynek z dala od słońca. Odznaczał się swoistą, skąraląą godnością, do której Tench był przyzwyczajony. Była to godność ludzi bojących się odrobiny bólu, a jednak ssiadających z pewną determinacją w jego fotelu. Być może nie lubił podróżować na mule. Pożegnał go w sposób staroświecki: — Będę się modlił za pana.

— Było mi przyjemnie pana gościć — odpowiedział Tench. Mężczyzna dosiadł muła, a chłopiec bardzo powoli, pod jaskrawym żarem słońca, pojechał przodem w kierunku bagien, do wnętrza kraju. To stamtąd właśnie wyłonił się ów człowiek tego rana, by obejrzyć *General Obregon*. Teraz powracał. Lekko kiwał się w siodle pod wpływem wódki. Przy końcu ulicy był już tylko małątką zawiedzioną istotą.

Dobrze było porozmawiać z obcym, myślał Tench wracając do swego pokoju i zamykając za sobą drzwi na klucz (nigdy nie wiadomo, co się może przytrafić). Samotność i pustka czekały tam na niego. Lecz był tak do obu przyzwyczajony, jak do własnej twarzy w lustrze. Usiadł w krześle na biegunach i bujał się w przód i w tył, wytwarzając lekki przewiew w ociężałej atmosferze. Wąska kolumna mrówek sunęła przez pokój ku małej plamie na podłodze, gdzie obcy rozlał trochę wódki. Kręciły się po niej, po czym zwartym szykiem maszerowały ku przeciwległej ścianie i znikaly. W oddali, na rzece, *General Obregon* zagwizdał dwukrotnie, Tench nie wiedział, dlaczego..



Obcy zapomniał swojej książki. Leżała pod krzesłem, na którym siedział: kobieta w sukni z czasów Edwarda VII skurczona była w szlochu na dywanie, obejmując buty jakiegoś mężczyzny — brązowe, błyszczące, o ostrych szpicach. Miał sterczące wąsiki i stał nad nią w pogardliwej postawie. Książka nazywała się *La Eterna Martyr*. Po pewnym czasie Tench podniósł ją z podłogi. Gdy ją otworzył, był zaskoczony. To, co było w środku, zdawało się być nie na miejscu. To była łacina. Tench zamyślił się. Zamknął książkę i zaniósł ją do swej pracowni. Nie mógł co prawda jej spalić ale lepiej jest schować, jeśli się nie jest pewnym; to znaczy pewnym, co w niej jest. Włożył ją do piecyka w którym przetapiał złoto. Później, z bezmyślnie rozwartymi ustami, stanął przy warsztacie stolarskim. Przypomniawsobie po co chodził na wybrzeże: po butlę z eterem, którą *General Obregon* powinien był przywieźć tu, w dół rzeki. Znów dobiegł go ryk syreny znad rzeki. Tench wybiegł bez kapelusza na słońce. Sam mówił, że statek nie odpłynie do następnego rana, ale tym ludziom nigdy nie można było wierzyć gdy chodziło o nie stosowanie się do rozkładu jazdy. No i oczywiście: gdy wychodził na brzeg pomiędzy komorą celną i składem, *General Obregon* był już oddalony o trzy metry, prując leniwą rzekę w stronę morza. Tench ryczał w kierunku statku, lecz na nic to się nie zdało. Na wybrzeżu nie było śladu butli. Zawołał raz jeszcze i przestał o tym myśleć. Ostatecznie nie było to takie ważne. Odrobinę dodatkowego bólu ledwie można było zauważyć wśród ogromu opuszczenia.

Na *General Obregon* zaczął wiać lekki wietrzyk. Plantacje bananów rozpościerały się po obu stronach, parę anten radiowych tkwiło na wzniesieniu. Port został w tyle. Gdyby spojrzeć wstecz, nie można byłoby powiedzieć, że w ogóle istniał. Szeroki Atlantyk rozwierał się przed statkiem. Wielkie, siwe, walcowate fale unosiły dziób statku, a powiązane indyki przewracały się po pokładzie. Kapitan stał w małej nadbudówce na pokładzie z wykałaczką we włosach. Ziemia cofała się w takt wolnego, miarowego kołysania. Niespodzianie ściemniło się, a niebo pokryło się nisko świecącymi, jaskrawymi gwiazdami. Na dziobie zapalono lampę naftową, a dziewczyna, którą Tench zauważył z brzegu, zaczęła łagodnie śpiewać melancholijną,

— Musi pan zmienić dentystę.

— Wszyscy tacy sami.

Porucznik wziął fotografię i przypiął ją na ścianie. James Calver, włamywacz i zabójca, patrzył ostrym profilem w stronę ludzi zgromadzonych po pierwszej Komunii.

— Ten przynajmniej jest mężczyzną — stwierdził porucznik z uznaniem.

— Kto?

— *Gringo*.

— Czy pan słyszał, co on zrobił w Houston. Nawiał z dziesięcioma tysiącami dolarów. Zastrzelił dwóch tajniaków — powiedział naczelnik.

— Tajniaków?

— To zaszczyt, w pewnym sensie, mieć do czynienia z takimi ludźmi. — Trzepnął ze złością moskita.

— Taki człowiek — rzekł porucznik — nie czyni specjalnej szkody. Paru ludzi zabitych. Wszyscy musimy umrzeć. Pieniądze ktoś musi wydać. Więcej dobrego robimy, gdy łapiemy jednego z tych. — Miał godność ideowca, gdy tak stał w białym pokoiku, w swych błyszczących butach, pełen jadu. Było coś bezinteresownego w jego ambicji. Jego pragnienie złapania wymuskanego, szacownego gościa na przyjęciu po pierwszej Komunii stanowiło pewnego rodzaju cnotę.

Naczelnik odezwał się smutnie: — On musi być diabło przebiegły, jeśli przetrwał przez tyle lat.

— Każdy mógłby to zrobić — rzekł porucznik. — My właściwie nie zajmowaliśmy się nimi, chyba że sami nam leżli w ręce. Mógłbym zaręczyć, że sprowadzę tego człowieka w ciągu miesiąca, jeśli...

— Jeśli co?

— Jeśli miałbym władzę.

— Łatwo tak mówić — powiedział naczelnik. — Co by pan zrobił?

— Nasza prowincja nie jest duża. Na północy graniczy z górami, na południu z morzem. Przeszukałbym ją tak jak się przeszukuje ulicę, dom po domu.

— Och, to się tylko wydaje łatwe — jęczał niewyraźnie naczelnik z chustką przy ustach.

Porucznik powiedział nagle: — Wie pan, co ja bym zro-

bił? Wziąłbym po jednym mężczyźnie z każdej wioski w prowincji jako zakładnika. Jeśli mieszkańcy nie zgłoszą tego człowieka, kiedy się u nich zjawi — zakładnicy zostaną rozstrzelani; wtedy wzięlibyśmy następnych.

— Wielu z nich by zginęło w takim razie.

— Czyż nie warto? — spytał porucznik z jakimś radosnym podnieceniem. — Uwolnić się od tych ludzi na zawsze.

— Wie pan — przyznał naczelnik — to co pan powiedział nie jest wcale takie głupie!

Porucznik szedł do domu przez miasto o pozamykanych okiennicach. Spędził tu całe swoje życie: Syndykat Robotników i Chłopów był kiedyś jego szkołą. Sam przyczynił się do zatarcia tego niefortunnego wspomnienia. Całe miasto się zmieniło: cementowy plac zabaw na wzgórzu koło cmentarza, gdzie żelazne huśtawki stały niczym szubienice w księżycowej poświacie, był miejscem po katedrze. Nowe dzieci będą miały nowe wspomnienia. Nic już nie będzie wyglądało jak za dawnych czasów. Było coś z księdza w jego zawziętym, uważnym kroku; coś z teologa, lustrującego błędy przeszłości po to, by znowu je zniszczyć.

Doszedł do swego mieszkania. Wszystkie domy były jednopiętrowe, bielone, zbudowane wokół niewielkich patio ze studnią i paroma kwiatami. Okna od ulicy były zakratowane. W pokoju porucznika było łóżko, zrobione ze starych pak przykrytych słomianą matą, na nim poduszka i prześcieradło. Na ścianie wisiał obraz Prezydenta i kalendarz, na posadzce stał stół i krzesło na biegunach. W blasku świecy pokój wyglądał tak niewygodnie jak więzienie, lub cela klasztorna.

Porucznik usiadł na łóżku i zaczął ściągać buty. Była to godzina modlitwy. Czarne żuki obijały się o ściany z trząskiem. Tuzin ich, z uszkodzonymi skrzydłami gromolił się po płytach posadzki. Do pasji doprowadzała go myśl, że wciąż jeszcze byli w jego okręgu ludzie, którzy wierzyli w kochającego i miłosiernego Boga. Są mistycy, którzy rzekomo doświadczyli Boga bezpośrednio. On także był mistykiem, a wszystko czego doznał to była próżnia

— kompletne przeświadczenie że w umierającym i stygnącym świecie, zwierzęta w drodze ewolucji stały się ludźmi, bez jakiegokolwiek celu i potrzeby. On wiedział.

Położył się w koszuli i bryczesach na łóżku i zdmuchnął świecę. Upaść stał w pokoju, jak nieprzyjaciół. Ale on wierzył, wbrew świadectwu swych zmysłów, w zimne, puste przestrzenie eteru. Radio gdzieś grało: muzyka z miasta Meksyku, a może nawet z Londynu lub Nowego Jorku, przesączała się do tej zapomnianej, opuszczonej prowincji. Wydało mu się to słabością: to był przecież jego własny kraj i gdyby tylko mógł, ogrodziłby go stalowym murem, dopóki nie wypleniłby z niego wszystkiego, co przypominało mu jego nędzne dzieciństwo. Chciał zniszczyć wszystko, pozostać sam, bez żadnych wspomnień. Życie zaczęło się pięć lat temu.

Porucznik leżał na wznak z otwartymi oczyma a żuki rozbijały się z trzaskiem o sufit. Przypominał sobie księdza, którego Czerwone Koszule rozstrzelały pod ścianą cementarza na wzgórzu, też niskiego grubasa z wylupianymi oczyma. Był prafatem i myślał, że to go ochroni. Odnosił się z pewną pogardą do niższego duchowieństwa i przez cały czas wyjaśniał swój stopień. Dopiero przed samym końcem przypomniał sobie o modlitwie. Ukląkł i dano mu czas na krótki akt żalu. Porucznik przypatrywał się; nie był w to bezpośrednio zamieszany. W ogóle rozstrzelali coś pięciu księży. Dwóch czy trzech uciekło, biskup siedział bezpieczny w mieście Meksyku, a jeden człowiek zastosował się do prawa wydanego przez Gubernatora, że wszyscy księża muszą się ożenić. Mieszkał teraz w pobliżu rzeki ze swoją gospodynią. To było oczywiście najlepsze rozwiązanie: pozostawienie żywego świadka słabości ich wiary. To demaskowało oszustwo, jakim żyli przez cały czas. Bo jeśli naprawdę wierzyli w niebo czy piekło, nie baliby się odrobiny bólu w tym życiu, w zamian za jakże niewymierne dobra... Leżąc na swym twardym łożu, w wilgotnej gorącej ciemni, porucznik nie miał żadnego wyrozumienia dla słabości ciała.

W jednym z bocznych pokoiw Academia Commercial kobieta czytała coś swojej rodzinie. Dwie małe dziewczyn-

ki w wieku lat sześciu i dziesięciu siedziały na krawędzi łóżka, a czternastoletni chłopiec opierał się o ścianę z wyrazem ogromnego znudzenia.

„Młody Juan”, czytała matka, „znany był od najwcześniejszych lat ze swej pokory i pobożności. Inni chłopcy mogli być grubiańscy i mściwi; młody Juan wypełniał przykazanie Zbawiciela i nadstawiał drugi policzek. Pewnego dnia ojciec posądził go o kłamstwo i zbił; później dowiedział się że syn mówił prawdę i przeprosił Juana. Ale Juan powiedział mu: ‘Drogi ojcze, tak jak Ojciec nasz niebieski ma prawo chłostać nas kiedy sobie życzy’...”

Chłopiec otarł niecierpliwie twarz o wapno ściany, a łagodny głos brzęczał dalej. Dwie małe dziewczynki siedziały, patrząc z napięciem paciorkami oczu i wchłaniały słodkawą pobożność.

„Nie powinniśmy wyobrażać sobie, że młody Juan nie śmiał się i nie bawił jak inne dzieci, chociaż zdarzało się, że opuszczał po kryjomu grono rozbawionych towarzyszy i z książką ilustrowaną świętymi obrazkami szedł do ojcowskiej obory”.

Chłopiec rozgniół żuka bosą nogą i myślał markotny, że jednak wszystko ma swój koniec; któregoś dnia dojdą do ostatniego rozdziału i młody Juan zginie pod ścianą z okrzykiem *Viva el Christo Rey*. Ale wtedy przypuszczalnie będzie inna książka; przemycano je co miesiąc z miasta Meksyku. Gdyby tylko celnicy wiedzieli, gdzie szukać.

„Nie, młody Juan był prawdziwym młodym chłopcem meksykańskim, a jeśli był bardziej myślący od swych kolegów, był także pierwszy, gdy chodziło o przedstawienia teatralne. Jednego roku jego klasa wystawiła krótką sztukę przed biskupem opartą na prześladowaniach pierwszych chrześcijan. Nikt nie był bardziej ubawiony niż Juan, gdy wybrano go do odegrania roli Nerona. Z jakim wyczuciem komizmu zagrało tę rolę dziecko, które u progu wieku męskiego miało być zgładzone przez władcę daleko gorszego od Nerona. Jego kolega szkolny, późniejszy Ojciec Miguel Cerra, T.J., pisze: ‘Nikt z nas, którzy tam byliśmy, nigdy nie zapomni tego dnia’...”

Jedna z małych dziewczynek oblizwała ukradkiem wargi. To było dopiero życie.

„Kurtyna podniosła się, ukazując Juana ubranego w naj-

lepsze prześcieradło kąpielowe matki, z woskami nasmarowanymi węglem i koroną zrobioną z blaszanego pudła na biskwopty. Nawet dobrotliwy staruszek biskup uśmiechnął się, gdy Juan wielkimi krokami wysunął się na przód skłeczonej domowym sposobem scenki i zaczął deklamować...”

Chłopiec zdusił ziewnięcie o bieloną ścianę. Znużonym głosem spytał: — Czy on naprawdę jest świętym?

— Będzie niedługo, jeśli Ojciec Święty zechce.

— A czy oni wszyscy są tacy?

— Kto?

— Męczennicy.

— Tak. Wszyscy.

— Nawet Padre José?

— Nie wspominaj go — powiedziała matka. — Jak śmiesz? Ten podły człowiek. Ten zdrajca Bożej sprawy.

— On mi powiedział, że jest większym męczennikiem, niż ci inni.

— Tyle razy ci mówiłam, żebyś z nim nie rozmawiał. Moje dziecko, och, moje drogie dziecko...

— A ten drugi, ten, który przyszedł do nas?

— Nie, on nie jest... dokładnie... taki jak Juan.

— Czy on też jest podły?

— Nie, nie. On nie jest podły.

Najmniejsza dziewczynka powiedziała nagle: — Taki dziwny zapach szedł od niego.

Matka czytała dalej: „Czy młody Juan miał tej nocy przeczucie, że za parę lat i on także zostanie zaliczony w poczet męczenników? Tego nie wiemy, ale Ojciec Miguel Cerra mówi, że tego wieczoru Juan spędził więcej czasu niż zwykle na kolanach, a kiedy koledzy w klasie dokuwali mu trochę, jak to jest w zwyczaju chłopców...”

Głos czytał dalej i dalej, łagodnie i uważnie, ze sztywną delikatnością. Małe dziewczynki słuchały w napięciu, układając sobie w myśli krótkie pobożne powiedzonko, aby zadziwić rodziców, podczas gdy chłopiec ziewał w ścianę. Wszystko ma swój koniec.

Wkrótce matka poszła zobaczyć się z mężem. Powiedziała: — Jestem taka zmartwiona o chłopca.

— Dlaczego nie o dziewczynki? Wszędzie jest dosyć zmartwień.

— Z nich już są dwie małe święte. Ale chłopiec... on

zadaje takie pytania... o tym księdzu-pijaku. Szkoda, że w ogóle go przyjmowaliśmy.

— Gdybyśmy tego nie zrobili, złapano by go, a wtedy byłby jednym z twoich męczenników. Napisano by o nim książkę i czytałabyś ją dzieciom.

— O tym człowieku... nigdy.

— O cóż zresztą chodzi — rzekł mąż — przecież on działa nadal. Nie wierzę we wszystko, co w tych książkach piszą. Wszyscy jesteśmy ludźmi.

— Wiesz, co dziś słyszałam? Pewna biedna kobieta zaniosła mu syna do ochrzczenia. Chciała go nazwać Pedro... ale on był tak pijany, że w ogóle nie zwrócił uwagi i nazwał chłopca Brigitta. Brigitta!

— No cóż, przecież to imię dobrej świętej.

— Są chwile — mówiła matka — kiedy tracę wszelką cierpliwość z tobą. A teraz znów chłopiec rozmawiał o Padre José.

— Nasze miasto jest małe — powiedział mąż. — I nie łudźmy się. Zostaliśmy opuszczeni tutaj. Musimy radzić sobie jak umiemy. A jeśli chodzi o Kościół... Kościół to jest Padre José i ten ksiądz-moczymorda... nie wiem o żadnych innych. Jeśli Kościół nam nie odpowiada, no to musimy go porzucić.

Patrzył na nią cierpliwie. Był bardziej wykształcony niż żona: umiał pisać na maszynie i znał zasady księgowości; był raz w mieście Maksyku; znał się na mapie. Wiedział, jak bardzo byli opuszczeni: dziesięć godzin w dół rzeki do portu, czterdzieści dwie godziny zatoką do Vera Cruz. To był jeden sposób wydostania się stąd. Na północy były bagna i rzeki kończące się górami, które oddzielały ich od sąsiedniej prowincji. A po drugiej stronie nie było dróg, tylko ścieżki dla mułów i czasem niepewny samolot; wioski indiańskie i lepianki pastuchów; o dwieście mil dalej — Pacyfik.

Powiedziała: — Raczej wolałabym zginąć.

— Ach, oczywiście — odparł. — To się rozumie samo przez się. Ale tymczasem musimy żyć dalej.

Stary człowiek siedział na skrzyni w małym, suchym patio. Był bardzo gruby i miał krótki oddech: dyszał, jakby po dokonaniu wielkiego wysiłku na upale. Kiedyś zajmo-

wał się nieco astronomią i teraz patrząc w nocy na niebo, usiłował rozróżnić poszczególne konstelacje. Miał na sobie tylko koszulę i spodnie. Jego nogi były bose, ale w postawie było coś, co wyraźnie znamionowało duchownego. Nosił na sobie piętno czterdziestu lat kapłaństwa. Nad miastem panowała zupełna cisza: wszyscy spali.

Jarzące światy leżały tam w przestrzeni, jak obietnica: świat nie był wszechświatem. Gdzieś Chrystus może nie umarł. Nie mógł uwierzyć, żeby dla obserwatora stamtąd ten świat mógł świecić takim blaskiem. Nie, raczej toczy się ciężko w przestrzeni zatopiony we mgle jak płonący i porzucony okręt. Całą ziemię spowił jego grzech.

Z jedyne go pokoju, jaki posiadał, kobiecy głos zawołał: „José, José”. Na ten dźwięk skulił się, jak galernik. Oczy porzuciły niebo i konstelacje uleciały w górę. Po patio pełzały żuki: „José, José”. Myślał z zazdrością o ludziach, którzy zginęli: wszystko się skończyło tak szybko. Wzięto ich tam na cmentarz i rozstrzelano pod ścianą: w ciągu dwóch minut zgasło w nich życie. I to zwano męczeństwem. Tutaj życie ciągnęło się i ciągnęło. Miał tylko sześćdziesiąt dwa lata. Mógł dożyć do dziewięćdziesięciu. Dwa dziesiąta osiem lat, taki sam niezmierny okres, jaki upłynął między urodzeniem, a pierwszą parafią: całe jego dzieciństwo i młodość i seminarium zawierały się w tym.

— José. Chodź spać.

Wzdrygnął się: wiedział, że był błaznem. Zeniący się starzec był już wystarczającą groteską, a cóż dopiero stary ksiądz... Patrzył na siebie jakby był kimś stojącym na uboczu i powątpiewał w to, czy nadaje się nawet do piekła. Był po prostu tłustym, niedołężnym starcem, z którego drwiono i szydzono, gdy leżał w łóżku. Lecz nagle przypomniał sobie dar, którym został obdarzony i którego nikt nie mógł mu odebrać. To właśnie czyniło go godnym potępienia: władza, jaką wciąż posiadał, przemiany opłatka w ciało i krew Boga. Był chodzącym świętokradztwem. Gdziekolwiek szedł, cokolwiek czynił, plągał Boga. Jakis zwariowany katolik-renegat, napompowany poglądami Gubernatora, wtargnął kiedyś do kościoła (w czasach, kiedy jeszcze były kościoły) i porwał Hostię. Płuł na nią, deptał ją, a później ludzie złapali go i powiesili na dzwonnicy, jak zwykle robili w Wielki Czwartek z wypchany m Juda-



szem. To nie był taki zły człowiek, myślał Padre José, jemu było wybaczone, to był po prostu polityk. Ale on sam był gorszy niż tamten; był jak nieprzyzwoity obraz wiszący tu stale dla gorszenia dzieci.

Siedział na skrzyni i odbijało mu się. Gazy.

— José! Co tam wyrabiasz? Chodź zaraz do łóżka.

Nigdy nie było absolutnie nic do roboty. Nie było brewiarza, ani mszy, ani spowiedzi i nie było sensu się modlić: modlitwa wymagała działania, a on nie miał zamiaru działać. Żył już dwa lata w ciągłym stanie śmiertelnego grzechu i nie było nikogo, kto by mógł wysłuchać jego spowiedzi. Nie było nic do roboty, jak tylko siedzieć i jeść; jeść o wiele za dużo: karmiła go i tuczyła i konserwowała, jakby był pokazowym wieprzem. „José”. — Zaczął czkać nerwowo na myśl ujrzenia po raz siedemset trzydziesty ósmy swej surowej gospodyni: swej żony. Leży tam w wielkim, bezwstydnym łożu, zajmującym pół pokoju, pod namiotem-moskitierą, jak kościsty cień z chudą szczęką, krótkim, siwym warkoczem i absurdalnym czepkiem. Wyobrażała sobie, że ma pozycję do utrzymania: na pensji rządowej, żona jedynego żonatego księdza. Była dumna z tego. „José”. — „Ja już... czk... idę, kochanie”, powiedział i podniósł się z paki. Ktoś gdzieś wybuchnął śmiechem.

Podniósł swoje różowe oczka prosięcia świadomego rzeźni. Wysoki głosik dziecinny powiedział: „José”. — Zaskoczony, rozejrzał się po patio. W zakratowanym oknie naprzeciwko troje dzieci obserwowało go z głęboką powagą. Odwrócił się i zrobił parę kroków w kierunku swoich drzwi, poruszając się bardzo powoli z powodu tuszy. „José” — ktoś znowu pisnął. „José”. — Spojrzał przez ramię i przyłapał twarz dziecka na wyrazie dzikiej radości. Jego różowe oczka nie okazały gniewu. Nie miał prawa się gniewać. Ułożył usta w nierówny zmieszany, nieokreślony uśmiech. Jak gdyby owa oznaka słabości dała im upoważnienie, którego potrzebowały, pisnęły otwarcie w jego stronę: „José José. Chodź do łóżka, José!” — Ich małe, bezwstydne głosy napełniały patio, a on uśmiechał się upokorzony i czynił małe gesty, proszące o ciszę. Nie było już nigdzie szacunku dla niego, ani w domu, ani w mieście, ani na całej opuszczonej planecie.

## R o z d z i a ł 5

### RZEKA

Kapitan Fellows wyśpiewywał sobie głośno w takt motoru pykającego na dziobie czółna. Wielka, opalona twarz wyglądała jak mapa górskich okolic: płaty różnych odcieni brązu z dwoma niebieskimi jeziorami oczu. Tak sobie płynąc komponował zupełnie fałszywym głosem swoje piosenki. „Jazda do domu, jazda do domu, żarcie tam będzie dobre dla mnie-e-e. Nie lubię żarcia w cholernym mieście-e-e”. Z głównego nurtu rzeki skręcił w dopływ. Na piaszczystym brzegu leżało parę krokodyli. „Nie lubię waszych mord, O pstrągi. Nie lubię waszych mord, O pstrągi”. Czuł się szczęśliwym człowiekiem.

Plantacje bananów zachodziły na oba brzegi. Jego śpiew głośno rozbrzmiewał w ostrym słońcu i wraz z terkotem motoru był jedynym odgłosem jaki dał się słyszeć. Był zupełnie sam. Niosła go wielka fala chłopięcej radości: spełniał pracę męską i to w samym sercu pustkowia; nie czuł się za nikogo odpowiedzialny. W jednym tylko jeszcze kraju czuł się szczęśliwym: we Francji z czasów wojny, w spustoszonej krajobrazie okopów. Dopływ, którym płynął, zwężał się i kręcił coraz bardziej, przechodząc w teren bagnisty i zarośnięty. Na niebie zawisł rozpostarty sęp. Kapitan Fellows otworzył blaszane pudełko i zjadł kanapkę: jedzenie nigdzie tak nie smakuje jak na świeżym powietrzu. Małpa zagadała nagle do niego, gdy prze-

jeźdźał koło niej. Kapitan Fellows czuł się szczęśliwy w jednoŝci z naturą: szerokie, płytkie pokrewieństwo z całym światem płynęło mu w żyłach razem z krwią; czuł się wszędzie, jak u siebie w domu. „Chytry diabełek, pomyślał, chytry diabełek”. Zaczął znów śpiewać. Słowa kogoś innego pomieszały się w jego przyjaznej, lecz słabej pamięci. „Nie masz ponad takie życie, chleb maczam sobie w rzece, pod szerokim i gwiazdzistym niebem, łowca wrócił w dom swój z morza”. Plantacje skończyły się, a w dużym oddaleniu ukazały się góry, których ciężkie, czarne kształty rysowały się nisko na tle nieba. Kilka domków wynurzyło się z błota. Był w domu. Ledwie dostrzegalna chmura zmaciła jego radosny nastrój.

Pomyślał: mimo wszystko, człowiek lubi, żeby go witano.

Skierował się w stronę swojego bungalow, wyróżniającego się od innych domków, stojących nad brzegiem, swymi dachówkami, masztem sztandarowym bez flagi i tabliczką na drzwiach, z napisem: „Central American Banana Company”. Dwa hamaki były rozpięte na werandzie, ale nie było nikogo w pobliżu. Kapitan Fellows wiedział, gdzie może znaleźć swą żonę; nie jej wyglądał. Wpadł gwałtownie do środka i krzyknął: „Tata przyjechał!” — Przestraszona, wychudła twarz zerknęła na niego spoza moskitiery. Jego buty zamąciły spokój tego miejsca. Pani Fellows wycofała się w głąb białego muślinowego namiotu. „Cieszysz się że wróciłem, Trix?” — spytał. Szybko przybrała minę bojaźliwie powitalną. Wyglądało to jak rysunkowa sztuczka na tablicy. Narysuj psa jedną linią bez odejmowania kredy; odpowiedź oczywiście brzmi: kiełbasa (\*).

— Jak się cieszę, że jestem w domu — powiedział kapitan Fellows z przekonaniem. Był głęboko przeświadczony o jednej tylko rzeczy: że rzeczywiście doznawał właściwych uczuć miłości i radości, smutku i nienawiści. Był zawsze człowiekiem na swoim miejscu, gdy przychodziła chwila działania.

— Jak tam idzie w biurze?

— Wspaniale — odparł Fellows — wspaniale.

---

(\*) Gra słów: *dog* znaczy zarówno *pies* jak i pewien rodzaj *kiełbasek*.

— Miałam wczoraj trochę febry.

— Ach, musi się ktoś tobą zająć. Wszystko będzie dobrze teraz, gdy jestem z powrotem — powiedział niewyraźnie. Beztrosko odbiegł od rozmowy na temat febry, klaszcząc w ręce i śmiejąc się tubalnie, gdy ona drżała w swym namiocie.

— Gdzie jest Coral?

— Rozmawia z policjantem — odparła pani Fellows.

— Myślałem, że wyjdzie mi naprzeciw — zauważył, kręcąc się bez celu po małej alkwie pełnej prawideł do butów, gdy nagle jej słowa doszły do jego świadomości.

— Z policjantem? Jakim policjantem?

— Zjawił się wczoraj i Coral pozwoliła mu spać na werandzie. Mówiła, że on kogoś szuka.

— Niesłychane. *Tutaj?*

— To nie jest zwykły policjant. To oficer. Coral mówi, że zostawił swoich ludzi we wsi.

— Lepiej, żebyś się nie kładła. Widzisz, na tych typów trzeba mieć oko. Coral to przecie jeszcze dziecko — dodał bez przekonania.

— Mówię ci, że miałam febrę — biadała pani Fellows.

— Byłam tak okropnie chora.

— Nic ci nie będzie. Po prostu lekki udar słoneczny. Zobaczysz. Teraz, kiedy ja przyjechałem...

— Miałam taki ból głowy. Nie mogłam czytać ani szyć. A potem ten człowiek...

Strach był wciąż tuż przy niej. Zamierała z wysiłku, by się nie odwrócić. Nadawała swej obawie takie kształty, by mogła jej spojrzeć w oczy: postać febry, szczurów, bezrobocia. Prawdziwy powód stanowił tabu: śmierć na obczyźnie, zbliżająca się z każdym rokiem. Wszyscy spakują się i wyjadą, tylko ona zostanie sama na zapomnianym cmentarzu, w wielkim grobowcu wzniesionym nad powierzchnią ziemi.

— Chyba powinienem pójść się z nim zobaczyć — odezwał się. Usiadł na łóżku i położył jej rękę na ramieniu. Jednak mieli z sobą coś wspólnego: nieufność. Powiedział z roztargnieniem: — Ten tubylec, sekretarz szefa, wyjechał.

— Dokąd?

— Na zachód. — Poczuł jak jej ramię zeszywniało.

Z wysiłkiem odeszła od niego pod ścianę. Dotknął tabu. Więź była przerwana, nie wiedział dlaczego.

— Boli cię głowa, kochanie?

— Poszedłbyś lepiej zobaczyć się z tym człowiekiem.

— Ach tak, tak. Już wychodzę. — Ale nie ruszył się z miejsca. Dziecko przyszło do niego.

Stała w drzwiach, obserwując ich z miną wyrażającą poczucie ogromnej odpowiedzialności. Pod jej poważnym spojrzeniem stał się chłopcem, któremu nie można ufać, a jego żona cieniem, który nieomal można było rozwiać dmuchnięciem: kawałkiem wystraszonego powietrza. Była bardzo młoda. Miała około trzynastu lat; a w tym wieku człowiek nie boi się wielu rzeczy, takich jak starość i śmierć, i tego, co może się przytrafić; ukąszenia węża i febry i szcurów i smrodu. Życie nie napoczęło jej jeszcze. Miała pozornie wygląd kogoś, kogo nic złego nie może spotkać. Ale już była zredukowana jakby do najmniejszych rozmiarów: wszystko w niej było, ale zaznaczone najdrobniejszymi liniami. Słońce robiło to z dziećmi: redukowało je do szkieletu. Złota bransoletka na jej kościstym przegubie była jak kłódka na płóciennych drzwiach, które można było rozbić pięścią. Odezwała się: — Powiedziałam policjantowi, że przyjechałeś.

— Aha, dobrze — rzekł kapitan Fellows. — Nie uściskasz starego ojca?

Przeszła z powagą przez pokój i złożyła formalny pocałunek na jego czole. Wyczuł, że zrobiła to mechanicznie. Miała inne sprawy na głowie.

— Powiedziałam kucharce, że mama nie wstanie na kolację.

— Myślę, że powinnaś zdobyć się na ten wysiłek, moja droga — stwierdził kapitan Fellows.

— Dlaczego? — spytała Coral.

— Ach, właściwie...

Coral powiedziała: — Chcę porozmawiać z tobą w cztery oczy. — Pani Fellows poruszyła się pod moskitierą, chcąc się upewnić, że Coral załatwi ostateczne wyniesienie się ich z pokoju. Zdrowy rozsądek był przerażającą cechą, której nigdy nie posiadała. To właśnie zdrowy rozsądek mówił: „Umarli nie słyszą” albo: „Ona nie może nic wiedzieć”, czy też „Błaszane kwiaty są praktyczniejsze”.

— Nie rozumiem — powiedział kapitan Fellows z niepokojem — dlaczego matka nie ma tego słyszeć.

— Ona by tam nie chciała pójść. To by ją tylko przstraszyło.

Był już przyzwyczajony do tego, że Coral miała odpowiedź na wszystko. Nigdy nie mówiła bez namysłu. Była przygotowana, ale czasami odpowiedzi, jakie przygotowała, wydawały mu się dzikie... Były one oparte na jedynym życiu, jakie pamiętała, życiu tutaj. Moczary, sępy, brak towarzystwa dzieci, z wyjątkiem paru we wsi, które miały brzuchy rozdęte przez robaki i jak zwierzęta żywiły się odpadkami na brzegu rzeki. Mówi się, że dziecko zbliża rodziców. On z pewnością czuł wielką niechęć do powierzenia się temu dziecku. Jej odpowiedzi mogły go zawieść nie wiadomo dokąd. Wyczuł przez siatkę skrycie wysuniętą rękę żony: ich dwoje łączyło to, że byli dorosłymi. Dziecko było kimś obcym w ich domu. Powiedział gwałtownie: — Przerażasz nas, dziecko.

— Myślę, tatusiu — mówiła dziewczynka ostrożnie — że ty się nie przestraszysz.

Powiedział niezdecydowanie, ściskając żonę za rękę: — Cóż, moja droga, nasza córka, zdaje się, zdecydowała...

— Najpierw musisz zobaczyć się z policjantem. Chcę, żeby sobie poszedł. Nie lubię go.

— W takim razie oczywiście, że musi sobie pójść — powiedział kapitan Fellows, śmiejąc się nieszczerze, bez przekonania.

— Powiedziałam mu to. Mówiłam też, że nie mogliśmy odmówić mu hamaka na noc, skoro zjawił się tak późno. Ale teraz musi sobie pójść.

— A on ciebie nie posłuchał?!

— Powiedział, że chce mówić z tobą.

— Nie wiedział, nie wiedział, z kim ma do czynienia — mówił kapitan Fellows. Ironia była jego jedyną bronią, ale nie oceniała jej. Nie rozumiała niczego, co nie było proste jak alfabet, lub data historyczna. Puścił rękę żony i niechętnie pozwolił się wyprowadzić na popołudniowe słońce. Oficer policji stał przed werandą. Nieruchoma, oliwkowa postać. Nie ruszył się ani o krok, żeby przywitać się z kapitanem Fellows.

— O co chodzi, poruczniku? — szorstko zapytał kapi-

tan Fellows. Przyszło mu na myśl, że Coral ma więcej cech wspólnych z policjantem, niż z nim.

— Poszukuję pewnego człowieka — powiedział porucznik. — Doniesiono nam, że znajduje się w tej okolicy.

— Niemożliwe, żeby tutaj był.

— Pańska córka mówi to samo.

— Ona wie.

— Poszukiwany jest z bardzo ważnego powodu.

— Morderstwo?

— Nie. Zdrada.

— Ach, zdrada — powtórzył kapitan Fellows i stracił całe zainteresowanie. Wszędzie było tyle zdrady, co drobnych kradzieży w koszarach.

— To jest ksiądz. Mam nadzieję, że zgłosi pan natychmiast w razie zobaczenia go. — Porucznik zawahał się. — Pan jest cudzoziemcem żyjącym pod opieką naszego prawa. Oczekujemy od pana należytego odwzajemnienia się za naszą gościnność. Pan nie jest katolikiem?

— Nie.

— W takim razie mogę liczyć na to, że pan zamelduje? — spytał porucznik.

— Tak sędzę.

Porucznik stał w słońcu jak mały, ciemny, groźny znak zapytania. Jego postawa zdawała się wskazywać, że nie życzyłby sobie skorzystać nawet z cienia, oliarowywanego przez cudzoziemca. Ale skorzystał z hamaka. Musiał to traktować jako rekwizycję, myślał kapitan Fellows. —  
— Może napije się pan wody sodowej?

— Nie. Nie, dziękuję.

— Cóż — powiedział kapitan Fellows — nie mogę częstować pana niczym innym, prawda? Picie alkoholu to zdrada.

Porucznik nagle wykręcił się na pięcie, jakby nie mógł już dłużej ścierpieć ich widoku i szybkim krokiem odszedł ścieżką prowadzącą do wioski. Sztylpy i kabura pistoletu migały w słońcu. Gdy odszedł na pewną odległość, zobaczyli jak przystanął i splunął. Nie był nieuprzejmy: powstrzymał się aż do chwili, kiedy sądził, że już na niego nie patrzą, zanim dał upust swej nienawiści i pogardzie dla innego stylu życia, dla wygody, bezpieczeństwa, tolerancji i kwietyzmu.

— Nie chciałbym go mieć za przeciwnika — stwierdził kapitan Fellows.

— Jasne, że nam nie ufa.

— Oni nikomu nie ufają.

— Zdaje mi się — powiedziała Coral — że zwęszył coś.

— Oni wszędzie coś węszą.

— Kiedy, widzisz, nie pozwoliłam mu zrobić rewizji.

— A dlaczegoż to? — spytał kapitan Fellows, po czym jego niezbyt ścisły umysł odskoczył od tego pytania. — A jak go powstrzymałaś?

— Powiedziałam, że poszczuję go psami... i że poskarżę się naszemu posłowi. On nie miał żadnego prawa...

— Och, prawa — rzekł kapitan Fellows. — Ich prawem jest rewolwer. Nic by się nie stało, gdybyś mu dała szukać.

— Dałam mu słowo. — Była tak nieugięta jak porucznik; mała i czarna, nie na miejscu wśród bananowych gajów. W swej prostocie nie zważała na nikogo. Przyszłość, pełna kompromisów, trosk i wstydu, leżała na zewnątrz. Brama, która ją kiedyś miała wpuścić, była zamknięta. Ale w każdej chwili teraz jakieś słowo, gest, najmniej ważna czynność mogła otworzyć jej szam... do czego? Kapitan Fellows uległ obawie: był świadomy istnienia nieokiełzanej miłości, która pozbawiała go autorytetu. Nie można mieć władzy nad tym, co się kocha. Patrzy się tylko jak ów obiekt miłości pędzi nieostrożnie w stronę zerwanego mostu, wyrwy na drodze, koszmaru siedemdziesięciu lat do przeżycia. Zamknął oczy... był szczęśliwy... i zanucił jakąś melodię.

Coral powiedziała: — Nie chciałam zabić takiego człowieka i jeszcze żeby mnie przyłapali... na kłamstwie, znaczy się.

— Na kłamstwie? Boże święty — rzekł kapitan Fellows.

— Nie chcesz przez to powiedzieć, że on tu jest.

— Oczywiście, że jest tutaj — odparła Coral.

— Gdzie?

— W wielkiej stodole — wyjaśniła łagodnie. — Nie mogliśmy pozwolić na to, żeby został złapany.

— Czy matka wie o tym?

Odpowiedziała z miążdzącą szczerością: — O nie. *Jej nie mogłam zaufać.* — Była niezależna od nich obojga. Oni należeli razem do przeszłości. Za czterdzieści lat będą



— Poczul się całkiem bezradny. Powiedział: — Pani jest bardzo dobra. Będzie się pani za mnie modliła?

— Och, ja nie wierzę w to — odparła.

— Nie wierzy pani w modlitwę?

— Widzi ksiądz, ja nie wierzę w Boga. Straciłam wiarę, gdy miałam dziesięć lat.

— Oj, oj! To ja będę się modlił za panią.

— Ksiądz może, jeśli sobie ksiądz życzy — powiedziała protekcjonalnie. — Jak ksiądz tu przyjdzie drugi raz, to nauczę księdza alfabetu Morse'a. Przyda się księdzu.

— Na co?

— Gdyby się ksiądz ukrywał na plantacji, mogłabym świecić księdzu lusterkiem wiadomości o ruchach nieprzyjaciela.

Słuchał z powagą. — Ale czy nie zobaczyliby pani?

— Och, znalazłabym jakieś wytłumaczenie. — Szła logicznie naprzód, krok za krokiem, eliminując wszelkie przeszkody.

— Do widzenia, moje dziecko — powiedział.

Zawahał się przy drzwiach. — Może... modlitwa pani nie interesuje. Może chciałaby pani... znam dobrą sztuczkę magiczną.

— Ja lubię sztuki.

— To jest sztuczka karciana. Ma pani karty?

— Nie.

Westchnął. — No to nic z tego — i zachichotał. Czują zapach piwa w jego oddechu. — Więc jednak będę musiał się modlić za panią.

— Ksiądz nie wygląda na kogoś, kto się boi.

— Butelka piwa — mówił — czyni cuda z tchórzliwym człowiekiem. Ba, z odrobiną wódki oparłbym się... diabłu. — Potknął się na progu.

— Do widzenia — powiedziała. — Mam nadzieję, że im ksiądz ucieknie. — Lekkie westchnienie dobiegło z ciemności. Łagodnie dodała: — Jeśli księdza zabiją, nie przebaczę im... nigdy. — Była gotowa na przyjęcie bez chwili namysłu każdej odpowiedzialności, nawet zemsty. To było jej życie.

Na polanie stało pół tuzina szałasów z błota i wikliny. Dwa z nich były w ruinie. Parę świń ryło dokoła, a stara

kobieta niosła żarzący się węgiel z szałasu do szałasu, w każdym z nich rozpalając mały ogień na środku podłogi, żeby napełnić izbę dymem i odpędzić moskity. Kobiety zamieszkiwały dwa szałas, świnie trzeci. W ostatnim niezrównowanym szałasie, gdzie złożona była kukurydza, mieszkał starzec i chłopiec oraz całe plemię szczurów. Stary człowiek stał na polanie i patrzył na obnoszony wokół ogień, migotający w ciemności, jakby jakiś rytuał powtarzany o tej samej godzinie przez życie całe. Z siwymi włosami, białą, krótko przystrzyżoną brodą i rękoma brązowymi i kruchymi jak zeszlóroczne liście, sprawiał wrażenie jakiejś olbrzymiej niezniszczalności. Żył na dolnej granicy środków niezbędnych do egzystencji, więc nic już prawie nie mogło go zmienić. Był stary od lat.

Obcy wszedł na polanę. Na nogach miał coś, co było kiedyś czarnymi, spiczastymi butami miejskimi. Tylko wierzchy zostały, tak że praktycznie rzecz biorąc był bosy. Buty były symboliczne, jak osnute pajęczyną chorągwie w kościołach. Miał na sobie koszulę i parę czarnych, podartych spodni, i niósł teczkę jak gdyby był podróżującym z miesięcznym biletem. On również niemal osiągnął stan niezniszczalności, ale znać na nim było szczerby czasu. Zniszczone buty znamionowały inną przeszłość, linie na twarzy wyrażały nadzieje i obawy przyszłości. Starucha z węglami przystanęła między dwoma szałasami i obserwowała go. Wyszedł na polanę mając oczy spuszczone ku ziemi, a ramiona zgarbione, jak gdyby czuł się obnażony na oczach ludzi. Starzec przystąpił, by go powitać, wziął rękę obcego i pocałował ją.

— Czy możecie dać mi hamak na noc?

— Aj, proszę księdza, po hamak ksiądz musi iść do miasta. Tu ksiądz musi wziąć, co się nadarzy.

— Nic nie szkodzi. Byle by się gdzieś przespać. Czy możecie dać mi... trochę spirytusu?

— Kawę, proszę księdza. Nic innego nie mamy.

— Coś do zjedzenia.

— Nie mamy jedzenia.

— Mówi się trudno.

Chłopiec wyszedł z szałas i przypatrywał im się. Każdy się przypatrywał. Wyglądało to jak walka byków: zwierz był zmęczony, więc czekali na następne posunięcie.

Nie odznaczali się twardym sercem. Mieli przed sobą rzadki widok kogoś, kto był w gorszym położeniu niż oni sami. Kulejąc poszedł w kierunku szałas. W środku było się oświetlonym tylko do kolan. Na podłodze nie było płomienia, jedynie wolno wypalający się żar. Miejsce było do połowy wypełnione stertą kukurydzy. Szczury szeleściły wśród suchych liści. Był tam barłóg na kupce ziemi przykrytej słomianą matą, a dwie skrzynie stanowiły stół. Obcy położył się, starzec zamknął drzwi.

— Czy tu jest bezpiecznie?

— Chłopiec będzie pilnował. On wie.

— Czy spodziewaliście się mnie?

— Nie, proszę księdza. Ale już pięć lat odkąd widzieliśmy księdza u nas... kiedyś musiał jakiś przyjść.

Zasnął niespokojnym snem, a starzec przycupnął na podłodze i dmuchał w ogień. Ktoś zapukał do drzwi i ksiądz zerwał się.

— Nic się nie stało — powiedział starzec. — To tylko księdza kawa. — Przyniósł mu ją. Szara, kukurydziana kawa dymiła w blaszanym naczyniu, ale ksiądz był zbyt zmęczony, by ją pić. Leżał na boku zupełnie bez ruchu. Spod kukurydzy obserwował go szczur.

— Wczoraj byli tu żołnierze — powiedział starzec. — Dmuchał na ogień; dym wzniósł się i nappełnił szałas. Ksiądz zaczął kaszleć, a szczur szybko, jak cień padający od ręki, wsunął się w stertę.

— Proszę księdza, chłopiec nie był chrzczony. Ostatni ksiądz jaki tu był chciał dwa pezy. Ja miałem tylko jednego peza. A dziś mam tylko pięćdziesiąt centów.

— Jutro — powiedział ksiądz znużony.

— Czy ksiądz odprawi mszę rano?

— Tak, tak.

— A spowiedź, proszę księdza. Czy ksiądz wysłucha naszej spowiedzi?

— Tak, ale pozwólcie mi się wyspać najpierw. — Odwrócił się na plecy i zamknął oczy, by nie czuć dymu.

— My nie mamy pieniędzy, żeby dać księdzu. Ten drugi ksiądz. Padre José...

— Dajcie mi zamiast tego coś z ubrania — powiedział niecierpliwie.

— Ale my mamy tylko to, co na sobie.

— Weźcie moje w zamian.

Starzec zamruczał do siebie z powątpiewaniem, zerkając ukosem na czarny, podarty materiał, słabo widoczny w blasku ognia. — Jeśli ksiądz koniecznie chce — powiedział. Przez kilka minut dmuchał w milczeniu na ogień. Ksiądz znów zamknął oczy.

— Po pięciu latach jest tyle rzeczy do wypowiadania.

Ksiądz usiadł szybko. — Co się stało? — zapytał.

— Księdzu się coś przyśniło. Chłopiec nam da znać, jeśli żołnierze przyjdą. Ja tylko mówiłem...

— Nie możecie dać mi spać w spokoju przez pięć minut?

— Znów się położył. Gdzieś, w jednym z szałasów, jakaś kobieta śpiewała: „Poszłam na swoje pole i znalazłam różę”.

Starzec odezwał się cicho: — Szkoda by było gdyby żołnierze przyszli zanim zdążymy... taki ciężar na biedne dusze, ojciec.. — Ksiądz usiadł prosto, opierając się o ścianę i rzekł z pasją: — Dobrze. Zaczynajcie. Wypowiadam was. — Szczury szurały w kukurydzy. — No już — mówił. — Nie traćcie czasu. Prędszej. Kiedy ostatni raz... Starzec ukląkł koło ognia, a po drugiej stronie polany kobieta śpiewała: „Poszłam na swoje pole, a róża uwiędła”.

— Pięć lat temu. — Zatrzymał się i dmuchnął w ogień.

— Trudno sobie przypomnieć, proszę księdza — powiedział.

— Grzeszyliście przeciw czystości?

Ksiądz oparł się o ścianę i podkurczył nogi pod siebie, a szczury, przyzwyczajone do głosów, znów ruszały się w kukurydzy. Starzec z trudnością przypominał sobie swoje grzechy, dmuchając w ogień. „Zróbcie akt żalu doskonałego”, powiedział ksiądz, „i odmówcie... odmówcie... czy macie różaniec? To odmówcie Tajemnice Radosne”. Zamknęły mu się oczy, wargi i język potknęły się na absolicy, nie skończyły... wstrząsnął się znów obudzony.

— Czy mogę przyprowadzić kobietę? — spytał starzec. — Już pięć lat...

— O niech przyjdą. Niech przyjdą wszyscy — zawołał ksiądz z gniewem. — Jestem waszym sługą. — Zakrył oczy ręką i zaczął płakać. Starzec otworzył drzwi. Na zewnątrz nie było zupełnie ciemno, pod ogromnym łukiem gwiazdzystego, słabo oświetconego nieba. Poszedł do szała-

sów kobiet i zapukał. „Chodźcie” mówił. „Musicie się wy-  
spowiadać. Grzeszność dla księdza wymaga”. Utyskiwały,  
że były zmęczone... że rano będzie najlepiej. „Chcecie, że-  
by się obraził?” odparł. „Wy myślicie, że po co on tutaj  
przyszedł? To bardzo świątobliwy ksiądz. Siedzi tam  
w moim szałasie i płacze nad naszymi grzechami”. Popę-  
dził je ku wyjściu. Jedna za drugą polazły przez polanę  
w stronę jego szałas, a starzec wyszedł na ścieżkę idącą  
ku rzece, aby zastąpić chłopca, który wypatrywał, czy bro-  
dem nie nadchodzą żołnierze.

## R o z d z i a ł 4

### WIDZOWIE

Lata całe upłynęły od chwili, kiedy Tench napisał ostatni list. Siedział przy warsztacie i ssał stalówkę. Odczuwał jakiś niewytłumaczony popęd do wysłania tego przypadkowego listu na ostatni adres, w Southend. Skąd można było wiedzieć, kto tam jeszcze żyje? Usiłował zacząć. Było to jak przełamywanie pierwszych lodów na przyjęciu, gdzie się nikogo nie znało. Zaczął pisać na kopercie: Mrs. Henry Tench, u Mrs. Marsdyke, 3, The Avenue, Westcliff. To był dom jej matki, władczej, wtrącającej się we wszystko baby, która nakłoniła go do otwarcenia gabinetu w Southend w tym pechowym okresie. „Proszę przesłać”, napisał. Nie zrobiłaby tego, gdyby wiedziała, że to jego list, ale do tego czasu prawdopodobnie zapomniała jaki miał charakter pisma.

Ssał zabrudzoną atramentem stalówkę. Co tu pisać dalej? Szłoby mu łatwiej, gdyby miał coś innego na celu, niż nieokreślone pragnienie zakomunikowania... komuś... że jeszcze żył. Mogło się to okazać kłopotliwe, jeśli wyszła powtórnie za męża, ale w takim razie nie wahałaby się podrzeć listu. Napisał: *Droga Sylwio*, wielkim, wyraźnym, niewprawnym pismem, przysłuchując się pomrukowi stojącego na ławce piecyka. Robił stop ze złota, bo nie było tu składów, gdzie mógłby kupować materiał w stanie gotowym. Poza tym sklepy nie zalecały 14-to karatowego złota

dla wyrobów dentystycznych, a nie stać go było na lepszy materiał.

Kłopot był w tym, że nigdy nic się tu nie zdarzało. Jego życie było tak trzeźwe, poważne, porządne, że zaspokoiłoby nawet wymogi Mrs. Marsdyke.

Spojrzał na tygielek: złoto właśnie miało zlać się ze stopem, więc wrzucił łyżeczkę węgla drzewnego, aby zabezpieczyć mieszankę przed powietrzem; ujął na nowo pióro i siedział bezmyślnie nad papierem. Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć żony, pamiętał tylko kapelusze, jakie nosiła. Wyobrażał sobie jej zdziwienie, gdy otrzyma wiadomość od niego po tak długim czasie. Od śmierci synka wymienili po jednym liście. Lata właściwie nic nie znaczyły dla niego. Pędziły dość szybko, nie zmieniając żadnego przyzwyczajenia. Zamierzał wyjechać sześć lat temu, ale kurs peza spadł z nastaniem rewolucji, więc przyjechał na południe. Miał teraz więcej pieniędzy zaszczędzonych, ale przed miesiącem pez znów spadł; znowu gdzieś jakaś rewolucja. Nie mógł nic zrobić, tylko czekać... Stalówka powędrowała znów między zęby, a pamięć roztopiła się w gorącym pokoiku. Po co w ogóle pisać? Nie mógł sobie teraz przypomnieć, co nasunęło mu ten dziwaczny pomysł. Ktoś zapukał do drzwi wejściowych, więc zostawił list na ławce. Napis *Droga Sylwio* rzucał się w oczy: wielki, wyraźny i beznadziejny. Na wybrzeżu bił dzwon okrętowy: *General Obregon* wrócił z Vera Cruz. Z głębin pamięci wynurzyło się jakby coś żywego i obolałego, krążąc po frontowym pokoiku między krzesłami na biegunach... „Ciekawe popołudnie; co też się z nim mogło stać, gdy...” Wspomnienie zamarło, lub uciekło. TENCH był przyzwyczajony do bólu: to był jego zawód. Czekał ostrożnie aż ręka uderzyła powtórnie w drzwi i jakiś głos odezwał się: *Con amistad* — nie można było przecież nikomu ufać — po czym dopiero odsunął zasuwę i otworzył drzwi, żeby wpuścić pacjenta.

Przez wielką, klasyczną bramę, na której czarnymi literami napisane było słowo *Silencio*, Padre José wszedł do miejsca, które ludzie nazywali ogrodem Boga. Wyglądało to jak osiedle mieszkaniowe, gdzie nikt nie zwracał

uwagi na architekturę sąsiednich domów. Wielkie, kamienne grobowce wzniesione ponad ziemią, były dowolnej wysokości i kształtu. Gdziekolwiek na dachu stał anioł z omszonymi skrzydłami. Czasem przez oszklone okienko można było dojrzeć zardzewiałe, metalowe kwiaty na półce. Sprawiało to takie wrażenie, jakby się zaglądało do kuchni domu, którego mieszkańcy wyprowadzili się, zapomniawszy wyczyścić wazonów. Miało się wrażenie bezpośredniości. Można było iść gdziekolwiek i widzieć, co się tylko chciało. Życie stąd odeszło zupełnie.

Z powodu swej tuszy kroczył bardzo powoli między grobami. Mógł tu być samotny, bo nie było dzieci w pobliżu i mógł wzbudzić w sobie wątłe uczucie tęsknoty, co było lepsze niż brak jakichkolwiek uczuć. Niektórych z tych ludzi sam pogrzebał. Jego drobne, rozognione oczy kierowały się tu i tam. Obchodząc ogromną, szarą masę grobowca Lopezów, rodziny kupców, którzy przed pięćdziesięciu laty byli właścicielami jedyne go hotelu w mieście, stwierdził, że nie jest sam. Wykopywano grób na skraju cmentarza, obok muru. Dwaj ludzie pracowali w pośpiechu. Obok stała kobieta i starzec. U ich stóp znajdowała się trumna dziecka. Wykopanie dostatecznie głębokiego dołu w gąbczastej glebie zajęło bardzo mało czasu. Trochę wody zebrało się na dnie. To był powód, dla którego każdy, kogo było stać, leżał nad ziemią.

Wszyscy zatrzymali się na chwilę i spoglądali na Padre José, który przemykał się bokiem z powrotem ku grobowcowi Lopezów, jak gdyby był tu intruzem. Dzień był jasny, upalny, nigdzie nic nie znamionowało bólu. Na jakimś dachu za cmentarzem siedział sęp. Ktoś powiedział: „Proszę księdza”.

Padre José podniósł błagalnie rękę, jak gdyby usiłując dać do zrozumienia, że go tam nie ma, że odszedł, że zniknął z pola widzenia.

Starzec odezwał się: — Padre José. — Wszyscy obserwowali go chciwie. Byli całkiem zrezygnowani zanim się zjawił ale teraz byli niespokojni, pragnęli... Skulił się i starał się im umknąć. — Padre José — powtórzył starzec. — Modlitwę? — Uśmiechali się do niego, czekali. Byli zupełnie przyzwyczajeni do faktu, że ludzie umierali, ale niespodziewana nadzieja szczęścia wyskoczyła nagle wśród gro-



bowców. Mogliby się potem chwalić, że przynajmniej jedno z ich rodziny poszło do ziemi z przepisową modlitwą.

— Niemożliwe — odpowiedział Padre José.

— Wczoraj było święto jej patrona — rzekła kobieta, jakby to robiło jakąś różnicę. — Skończyła pięć lat. — Była jedną z tych gadatliwych kobiet, które pokazują obcym fotografie swych dzieci, ale miała do pokazania tylko trumnę.

— Jest mi przykro.

Starzec odsunął nogą trumnę na bok, aby łatwiej przystąpić do Padre José. Była mała i lekka, jakby nie zawierała nic prócz kości. „Nie całe nabożeństwo, rozumie ksiądz, tylko modlitwę. Ona była... niewinna” — powiedział. Słowo to brzmiało w kamienistym miasteczku dziwnie, archaicznie i lokalnie, było przestarzałe jak grobowiec Lopezów, właściwe jedynie na tym miejscu.

— To jest zabronione prawem.

— Na imię jej było Anita — ciągnęła kobieta. — Byłam chora, gdy ją miałam — wyjaśniła, jak gdyby chcąc przeprosić za wątpliwość dziecka, która była powodem tego całego kłopotu.

— Ale prawo...

Starzec przyłożył palec do nosa: — Ksiądz nam może ufać. Chodzi tylko o krótką modlitwę. Jestem jej dziadkiem. To jest jej matka, jej ojciec, jej wujek. Może nam ksiądz ufać.

Ale w tym był cały kłopot: nie mógł ufać nikomu. Jak tylko przyjdą do domu jedno z nich z pewnością zacznie się chwalić. Przez cały czas cofał się tyłem, splatając pulchne palce, potrząsając głową, i niemal wpadł na grobowiec Lopezów. Bał się, a jednak dziwna duma wzbierała mu w gardle, bo znów był traktowany jak ksiądz, z szacunkiem. „Gdybym tylko mógł, moje dzieci...” — powiedział.

Nagle i niespodziewanie udręka pojawiła się na cmentarzu. Byli przyzwyczajeni do tracenia dzieci, ale nie do rzeczy, którą reszta świata zna najlepiej ze wszystkiego: do nadziei, która się kończy. Kobieta zaczęła płakać, sucho, bez łez, wydając przytłumiony odgłos stworzenia, usiłującego wydostać się z pułapki. Starzec upadł na kolana z wyciągniętymi rękoma. „Padre José” — mówił, „nie ma

nikogo innego..." Wyglądał tak jakby prosił o cud. Padre José ogarnięty został ogromną pokusą podjęcia ryzyka i odmówienia modlitwy nad grobem. Poczul szaloną chęć wypełnienia swego obowiązku i nakreślił znak krzyża w powietrzu, po czym obawa wróciła jak narkotyk. Pogarda i bezpieczeństwo czekały na niego koło wybrzeża. Chciał się stąd wydostać. Pokonany opadł na kolana i błagał: „Dajcie mi spokój. Jestem niegodny. Czy nie widzicie? Tchórzem jestem”. Dwaj starcy, obaj na kolanach, patrzeli na siebie poprzez groby. Trumienka odsunięta była na bok jak pretekst. Absurdalny widok. Wiedział, że to był absurd: całe życie spędził na obserwowaniu samego siebie i dzięki temu widział siebie bez obstępów; był tłusty, brzydki, stary i upokorzony. Czuł, jak gdyby cały kuszący chór anielski wycofał się w milczeniu i pozostawił tylko głosy dzieci, krzyczących w patio „chodź do łóżka José, chodź do łóżka”, przenikliwiej, piskliwiej i głośniejsze niż kiedykolwiek. Wiedział, że był w szponach niewybaczalnego grzechu, rozpaczy.

„Nadszedł w końcu błogosławiony dzień”, czytała na głos matka, „gdy nowicjat Juana dobiegł końca. Och, jakże radosny był to dzień dla jego matki i siostr. Ale także nieco smutny, bo ciało nie zawsze jest mocne, więc musieli przez chwilę opłakiwać w sercach stratę małego syna i starszego brata. Ach, gdybyż wiedzieli, że tego dnia zyskują sobie świętego w niebie, do wstawiania się za nimi”.

Młodsza dziewczynka, siedząc na łóżku, spytała: — Czy my mamy świętego?

— Oczywiście.

— Dlaczego oni chcieli mieć innego świętego?

Matka czytała dalej: „Następnego dnia cała rodzina przyjęła Komunię z rąk syna i brata. Potem czule się pożegnali — nie wiedząc, że na zawsze — z nowym żołnierzem Chrystusa i wrócili do swych domów w Morelos. Już wówczas chmury zaczęły się gromadzić na niebie, a prezydent Calles przygotowywał antykatolickie prawa w pałacu w Chapultepec. Diabeł był gotów do napaści na biedny Meksyk”.

— Prędko zacznie się strzelanie? — spytał chłopiec, kręcąc się niecierpliwie przy ścianie. Matka czytała uparcie dalej: „W tajemnicy przed wszystkimi z wyjątkiem spowiednika, Juan przygotowywał się na nadchodzące złe dni przez praktykowanie najsurowszych umartwień. Jego towarzysze nie podejrzewali niczego, bo zawsze był sercem i duszą każdej wesołej rozmowy, a w święto założyciela zakonu, to on właśnie...”

— Wiem, wiem — powiedział chłopiec — grał na scenie.

Dziewczynki otworzyły zdumione oczy.

— A dlaczegoż by nie, Luis? — spytała matka, przerywając czytanie z palcem na zakazanej książce. Wpatrywał się w nią z niechęcią. — Dlaczegoż by nie, Luis? — powtórzyła. Poczekała chwilę i czytała dalej. Dziewczęta obserwowały brata ze zgrozą i podziwem. „To on właśnie”, czytała, „otrzymał pozwolenie na wystawienie małej jednoaktówki opartej na...”

— Wiem, wiem — przerwał chłopiec: — na katakumbach.

Matka zaciskając usta czytała dalej: „...na prześladowaniach pierwszych chrześcijan. Może pamiętał tamto wydarzenie w dzieciństwie, gdy grał Nerona przed dobrym starszkiem biskupem, ale tym razem nalegał, by dano mu komiczną rolę rzymskiego handlarza rybami...”

— Nie wierzę w to wcale, a wcale — powiedział chłopiec z zawziętą pasją — ani słowa.

— Jak śmiesz!

— Nikt nie mógłby być takim durniem.

Dziewczęta siedziały bez ruchu, patrząc swymi wielkimi, piwnymi, pobożnymi oczyma.

— Idź do ojca.

— Gdziekolwiek, byle uwolnić się od tego... od tego... — mówił chłopiec.

— Powiedz mu to, co mnie powiedziałeś.

— Od tego...

— Za drzwiami!

Trzasnął drzwiami za sobą. Ojciec stał przy zakratowanym oknie w hallu i wyglądał na zewnątrz. Żuki rozbijały się o lampę naftową i pełzały z połamanymi skrzydłami po kamiennej podłodze. Chłopiec odezwał się: „Matka

powiedziała mi, żebym tobie powiedział, że ja jej powiedziałem, że nie wierzę w tę książkę, którą czyta..."

— Jaką książkę?

— Świętą książkę.

— Ach, tę — odparł ze smutkiem. — Nikt nie przechodził ulicą, nic się nie działo: było po dziewiątej trzydzieści i wszystkie światła były pogaszone. Powiedział: — Musisz być pobłażliwy. Widzisz, dla nas wszystko wydaje się skończone. Ta książka jest... jak nasze własne dzieciństwo.

— Kiedy ona jest taka głupia.

— Ty nie pamiętasz czasu, kiedy tu był kościół. Ja byłem kiepskim katolikiem, ale to oznaczało... no, muzykę, światła, miejsce, gdzie można było posiedzieć z dala od upału... a twoja matka, no, zawsze miała coś do roboty. Gdybyśmy mieli teatr, w ogóle coś zamiast tego, nie czuliśmy się tacy... opuszczeni.

— Ale ten Juan — powiedział chłopiec. — Taki z niego półgłówek.

— On został zabity, nie?

— Ach, także Villa, Obregon, Madero zginęli...

— Kto ci o nich mówił?

— Wszyscy się w nich bawimy. Wczoraj ja byłem Madero. Zastrzelili mnie na placu... usiłowanie ucieczki. — Gdzieś w ciemnościach nocy bił bęben. Stęchły zapach rzeki napełniał pokój: był on tak znajomy, jak smak sadzy w wielkich miastach. — Losowaliśmy. Ja byłem Madero. Pedro musiał zostać Huerta. Uciekał do Vera Cruz tam w dole nad rzeką. Manuel gonił go... on był Carranza. — Ojciec strzepnął żuka z koszuli, wyglądając na ulicę. Odgłos maszerujących stóp zbliżył się. — Matka pewnie się gniewa — powiedział.

— Ale ty nie — zauważył chłopiec.

— Cóż by mi z tego przyszło? To nie twoja wina. Zostaliśmy opuszczeni.

Żołnierze przechodzili obok w drodze powrotnej do koszar. Szli na wzgórze blisko miejsca, gdzie kiedyś była katedra. Maszerowali nie w nogę, mimo rytmu bębna i wyglądali na niedożywionych; jeszcze się wiele nie dorobili na wojnie. Sennie przeszli ciemną ulicą, a chłopiec patrzył

za nimi podnieconymi i pełnymi nadziei oczyma, dopóki nie zniknęli z pola widzenia.

Pani Fellows kiwała się w krześle na biegunach w tył i w przód, w tył i w przód. „A więc Lord Palmerston powiedział, że jeśli rząd grecki nie da zadośćuczynienia Don Pacifico...” Powiedziała: — Kochanie, mam taki ból głowy. Myślę, że musimy skończyć na dzisiaj.

— Dobrze. Mnie też trochę głowa boli.

— Mam nadzieję, że tobie prędko przejdzie. Może odłożysz książki? — Obszarpane książeczki przysły pocztą z firmy na Paternoster Row, nazywającej się Private Tutorials, Ltd. Cała ta edukacja zaczynała się „Przyjemnymi Czytankami” i rozwijała się metodycznie aż po Reform Bill Lorda Palmerstona i poematy Wiktora Hugo. Co pół roku przysyłane były pytania egzaminacyjne, a wówczas pani Fellows mozolnie sprawdzała odpowiedzi i stawiała stopnie. Następnie odsyłała je na Paternoster Row, gdzie szereg tygodni potem wciągano je do akt. Pewnego razu, z powodu strzelaniny w Zapata, zapomniała spełnić swego obowiązku i otrzymała drukowany świstek, zaczynający się od słów:

„Szanowny(a) Pani(e), Z przykrością stwierdzam...” Kłopot był w tym, że o lata całe wyprzedzili program, tak mało było innych książek do czytania, więc zadania egzaminacyjne były o lata opóźnione. Od czasu do czasu firma przysyłała świadectwa z wypukłymi literami do oprawienia w ramki, stwierdzające, że Miss Coral Fellows przeszła z wyróżnieniem jako trzecia uczennica do drugiej klasy, podpisane gumową pieczęcią: „Henry Beckley, B.A., Director of Private Tutorials, Ltd.” Czasem przychodziły jeszcze listy osobiste, pisane na maszynie, z tym samym zamazanym niebieskim podpisem: „Droga Uczennico, wydaje mi się, że w tym tygodniu powinnaś zwrócić szczególną uwagę na...” Listy były zawsze o sześć tygodni spóźnione.

— Kochanie — powiedziała pani Fellows — bądź tak dobra idź do kucharki i zamów obiad. Tylko dla siebie. Ja nie mogę nic jeść, a ojciec jest na plantacji.

— Mamo — zapytało dziecko — czy ty wierzysz, że jest Bóg?

Pytanie przeraziło panią Fellows. Zakołysała się gwałtownie w przód i w tył i odparła: — Oczywiście.

— Mam na myśli dziewicze macierzyństwo Matki Boskiej... i rzeczy tego rodzaju.

— Moja droga, cóż za dziwne pytanie. Z kim rozmawiałś o tym?

— Och, po prostu tak sobie o tym myślałam. — Nie czekała na dalszą odpowiedź. Wiedziała dobrze, że żadnej nie będzie. Wszak do niej zawsze należało pobieranie decyzji. Henry Beckley, B.A. pisał o tym wszystkim w jednej z pierwszych lekcji. Nie trudniej w to było wówczas uwierzyć niż w krasnoludki, ale w wieku lat dziesięciu odrzuciła oba te wierzenia bezlitośnie. Zaczynała wtedy algebrę.

— Chyba ojciec nie...

— Och nie.

Włożyła hełm korkowy i wyszła na przedpołudniowy upał szukać kucharki. Wyglądała jeszcze bardziej krucho i nieustraszenie niż zwykle. Po zadysponowaniu obiadu udała się do magazynu obejrzeć skóry aligatorów, rozwieszane na ścianie, a potem do stajni, żeby sprawdzić, czy mułom nic nie brakuje. Niosła swe obowiązki przez rozpalone podwórze ostrożnie jak tłukliwe naczynia. Nie było pytania, na które nie miałyby odpowiedzi. Sępy poruszyły się niedbale z jej nadejściem.

Wróciła do domu, do matki. Powiedziała: — Dziś czwartek.

— Rzeczywiście, kochanie?

— Czy ojciec nie kazał znieść bananów na brzeg?

— Nie wiem, kochanie.

Żwawo wróciła na podwórze i zadzwoniła. Zjawił się Indianin. Nie, banany były jeszcze w magazynie. Nie otrzymano żadnych rozkazów. Powiedziała: „Znieście je natychmiast, szybko. Statek zaraz przyjeżdża”. Chwyciła księgę magazynową ojca i liczyła wiązki w miarę jak były wynoszone. Wiązka miała sto lub więcej bananów i warta była parę pensów. Opróżnienie magazynu zajęło ponad dwie godziny. Ktoś to musiał zrobić, a ojciec już raz kiedyś zapomniał o dniu wysyłki. Po upływie pół godziny poczuła się zmęczona. Zazwyczaj nie odczuwała zmęczenia

w dzień, o tak wczesnej porze. Oparła się o ścianę i oparzyła sobie łopatkę. Nie miała pretensji o to, że musiała tu sterczeć i doglądać wszystkiego. Słowo „bawić się” nic dla niej nie znaczyło. Jej całe życie było dorosłe. Jedna z pierwszych czytanek Henry Beckley'a zawierała obrazek przedstawiający podwieczorek lalki. Był on niezrozumiały jak ceremonia o której się nie uczyła. Nie widziała sensu w udawaniu... Czteryście pięćdziesiąt sześć. Czteryście pięćdziesiąt siedem... Ciało robotników bez przerwy spływały potem, jak pod natryskiem. Poczowała nagle okropny ból brzucha. Przecoczyła wiązkę i starała się poprawić rachunek. Poczucie odpowiedzialności po raz pierwszy zaczęło sprawiać wrażenie ciężaru, dźwiganego przez zbyt wiele lat. Pięćset dwadzieścia pięć. To był jakiś inny ból (nie robaki tym razem) ale nie przeraziła się tym. Jej ciało jakby spodziewało się tego, jakby dorosło do tego, tak jak umysł dorasta do utraty dziecinnej tkliwości. Nie można było określić tego jako wysączenie się z niej dzieciństwa. Dzieciństwo było czymś, czego nigdy właściwie nie była świadoma.

— Czy to ostatnia? — spytała.

— Tak, señorita.

— Na pewno?

— Tak, señorita.

Ale musiała przekonać się naocznie. Nigdy przedtem nie zdarzyło jej się wykonywać jakiejś pracy z niechęcią. Jeśli ona by czegoś nie zrobiła, nikt by tego nie zrobił. Ale dziś chciała położyć się i spać. Jeśli wszystkie banany nie zostały wysłane, była to wina ojca. Zastanawiała się, czy ma gorączkę, tak zimno było jej w nogi, chociaż stała na rozpalonej ziemi. Trudno, myślała. Cierpliwie weszła do stodoły, znalazła latarkę i zaświeciła ją. Tak, wydawało się tu dosyć pusto, ale nigdy nie zostawiała pracy niedokończonej. Postąpiła w kierunku tylnej ściany, trzymając latarkę przed sobą. Pusta butelka potoczyła się jej spod nóg. Skierowała na nią światło: Cerveza Moctezuma. Latarka oświetliła tylną ścianę: nisko nad ziemią ktoś nagryzł coś kredą. Podeszła bliżej: w promieniu światła nachylało się mnóstwo małych krzyżyków. Musiał chyba położyć się między bananami i mechanicznie próbował odpędzić strach przez pisanie czegoś, a to było wszystko co mu przycho-

CZĘŚĆ DRUGA





## R o z d z i a ł 1

W pewnej chwili muł nagle położył się pod księdzem. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż jechali przez las prawie od dwunastu godzin. Podróżowali przedtem w kierunku zachodnim, ale gdy doszły ich wieści o żołnierzach, zawrócili na wschód. W tamtej stronie jednak działały Czerwone Koszule, więc skierowali się na północ, brnąc przez moczary, nurzając się w mahoniowych ciemnościach. Obaj byli teraz wyczerpani i muł po prostu usiadł. Ksiądz zlął z niego i zaczął się śmiać. Czuł się szczęśliwy. Jednym z dziwnych odkryć, do jakich człowiek dochodzi jest to, że cokolwiek by się przydarzyło, życie nie jest pozbawione chwil radosnych. Nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej. Nawet w niebezpieczeństwie i nędzy kołysz się wahadło losu.

Ostrożnie wyszedł z obrębu drzew na bagnistą polanę. Cała prowincja wyglądała tak samo : rzeka, bagno i las. Ukląkł w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca i obmył twarz w brunatnej kałuży, która — niczym polewane gliniane naczynie — odbijała jego okrągłą, nieogoloną i wychudłą twarz. Uśmiechnął się na tak nieoczekiwany widok, nieśmiałym, wymijającym, nie budzącym zaufania uśmiechem człowieka na czymś przyłapanego. W dawnych czasach często ćwiczył jakąś pozę przez dłuższą chwilę przed lustrem i poznał swą twarz tak

dobrze jak aktor. Był to rodzaj pokory: jego własny, naturalny wyraz twarzy nie wydawał się właściwy. Miał twarz pajaca, nadającą się do opowiadania niezbyt śmiesznych dowcipów kobietom, ale nieodpowiednią przy balustradzie ołtarza. Usiłował zmienić wyraz twarzy i rzeczywiście, myślał, rzeczywiście udało mu się to, nigdy go teraz nie rozpoznają. Powód, dla którego czuł się szczęśliwy, wrócił do jego świadomości jak smak alkoholu, obiecując chwilową ulgę od strachu, samotności i wielu innych rzeczy. Fakt, że wszędzie byli żołnierze, pchał go właśnie do tego miejsca, gdzie najbardziej chciał się znajdować. Przez sześć lat je omijał, ale teraz to nie była jego wina... jego obowiązkiem było tam się udać... nie mogło to być uważane za grzech. Wrócił do muła i lekko go kopnął. „Wstań, mule, wstań”. Niski, mizerny człowiek w podartym chłopskim odzieniu, po raz pierwszy od wielu lat udający się do domu, jak każdy zwykły śmiertelnik.

Zresztą, nawet gdyby mógł udać się na południe i ominąć wioskę, jego obecna droga była tylko jeszcze jedną kapitulacją. Ubiegłe lata roiły się od podobnych kapitulacji. Najpierw zarzucił święta, oraz dnię postu ścisłego i zwykłego. Następnie przestał się troszczyć o odmawianie brewiarza, chyba tylko okazynnie, aż wreszcie w ogóle go zgubił w porcie, w czasie jednej z powtarzanych co jakiś czas prób ucieczki. Potem porzucił relikwie ołtarzowe, bo noszenie ich było zbyt niebezpieczne. Nie powinien odprawiać bez nich mszy. Przypuszczalnie groziło mu zawieszenie w czynnościach kapłańskich, ale kary kościelne wydawały mu się nierealne w kraju, w którym istniała jedna tylko kara świecka: śmierć. Rutyna jego życia była jak pęknięta tama, przez którą sączyło się zapomnienie, znośząc wszystko po kolei. Pięć lat przedtem uległ rozpacy — grzechowi, za który nie było przebaczenia. Teraz powracał na miejsce swego aktu rozpacy z dziwnie lekkim sercem. Przewyciężył bowiem także i rozpacz. Wiedział o tym, że był złym księdzem. Takiego jak on nazywano księdzem-moczymordą. Ale wszystkie kłębki znikły mu z pola widzenia i z myśli. Nagromadziły się za to gdzieś w podświadomości: rumowisko jego kłębek. Pewnego dnia, myślał, zadławią całkowicie źródło łaski. Dopóki to się nie stanie prowadził nadal swą pracę, znaczoną okresami

strachu i znużenia, z wstydliwym uczuciem lekkości w sercu.

Muł przeszedł z pluskiem polankę i weszli na powrót w las. To, że nie był już dłużej pogrążony w rozpacz, nie znaczyło oczywiście, iż nie był potępiony. Po prostu po pewnym czasie zagadka stała się zbyt zawiła, by jej dociekać: oto człowiek potępiony wkładał ludziom w usta Boga; dziwny to był sługa diabła. Jego umysł był pełen uproszczonej mitologii: Michał odziany w zbroję zarzynał smoka, anieli z rozwianymi włosami spadali w przestrzeni na kształt komet, ponieważ, jak powiedział jeden z Ojców Kościoła, byli zazdrośni o to, co Bóg zamierzał dać ludziom: ów ogromny dar życia... tego życia.

Widać było ślady działalności ludzkiej; pnie drzew i popiół po ogniu tam, gdzie teren był oczyszczony pod uprawę. Przestał bić muła. Czuł się dziwnie nieśmiało... Jakaś kobieta wyszła z szałasów i patrzyła jak włócił się ścieżką na swym zmęczonym mule. Malutka wioska, nie więcej niż dwa tuziny szałasów, zgrupowanych wokół zakurzonego placu, była zbudowana według szablonu. Ale był to szablon bliski jego sercu. Czuł się tu bezpieczny, był pewien dobrego przyjęcia. W tym miejscu był przynajmniej jeden człowiek, któremu mógł ufać, że nie wyda go przed policję. Gdy był całkiem blisko, muł znowu usiadł. Tym razem musiał zsunąć się na ziemię, żeby uniknąć przygniecenia. Podniósł się. Kobieta patrzyła na niego tak jak gdyby był wrogiem. — A, Maria — odezwał się — jak się miewasz?

— Olaboga toć to ksiądz! — zawołała.

Nie patrzył wprost na nią. Jego oczy były przebiegłe i ostrożne. — Nie poznałaś mnie?

— Ksiądz się zmienił. — Oglądała go od stóp do głów z odcieniem pogardy. Spytała: — Kiedy ksiądz dostał to ubranie?

— Tydzień temu.

— Co ksiądz zrobił ze swoim?

— Dałem je wzamian.

— Po co? Przecież to było dobre ubranie.

— Było bardzo podarte i... wyróżniało się.

— Zreperowałabym je i ukryła gdzieś. Co za marnotrawstwo. Ksiądz wygląda jak zwykły chłop.

Uśmiechnął się patrząc w ziemię, a kobieta łajała go jak gospodyni. Zupełnie jak za dawnych lat, kiedy było i prezbiterium i zebrania Dzieci Marii i różne bractwa i plotki parafialne, z wyjątkiem oczywiście tej... Nie patrząc na nią odezwał się łagodnie, z tym samym zakłopotanym uśmiechem: „Jak się miewa Brigitta?” Serce zabiło mu niespokojnie na dźwięk tego imienia: grzech może mieć olbrzymie następstwa. Sześć lat minęło od czasu, gdy ostatni raz był... w domu.

— Tak dobrze jak my wszyscy. A cóż ksiądz sobie myślał?

Był zadowolony z wiadomości, ale zadowolenie łączyło się z jego grzechem. Nie powinien odczuwać zadowolenia z czegokolwiek związanego z tamtą przeszłością. Mechanicznie odpowiedział: „To dobrze”, podczas gdy serce biło mu utajoną, przerażającą miłością. „Jestem bardzo zmęczony”, dodał, „policja kręciła się w pobliżu Zapata...”

— Dlaczego ksiądz nie poszedł w stronę Monte Cristo?

Podniósł wzrok niespokojnie. Nie było to przyjęcie, jakiego oczekiwał. Niewielka gromadka ludzi zebrała się pomiędzy szafasami i obserwowała go z bezpiecznej odległości. Znajdowało się tam małe, zaniedbane podium dla orkiestry i jedna jedyna budka sprzedaży napojów gazowych. Ludzie powynosili na wieczór krzesła na zewnątrz. Nikt nie poszedł, żeby pocałować go w rękę i poprosić o błogosławieństwo. Wyglądało to jakby przez swój grzech zstąpił na płaszczyznę ludzkich konfliktów, żeby poznać inne jeszcze rzeczy poza rozpacą i miłością, to mianowicie, że człowiek może być niemile widziany nawet w miejscu rodzinnym. Odrzekł: — Tam były Czerwone Koszule.

— Cóż, nie możemy księdza wypędzić. Niech ksiądz idzie za mną — powiedziała kobieta. Kroczył za nią potulnie, potknąwszy się raz w swych długich spodniach peona. Znikł mu z twarzy wyraz szczęścia, a uśmiech pozostał jak rozbiitek z zatopionego okrętu. Stało tam siedmiu lub ośmiu mężczyzn, dwie kobiety i z pół tuzina dzieci. Przyszedł do nich jak żebrak. Nie mógł obronić się wspomnieniom ostatniego pobytu tutaj... To podniecenie, te tykwy ze spirytusem wyjęte ze schowków w ziemi... Jego wina była jeszcze świeża, a mimo to przyjęto go tak gościnnie, jakby wracał do ich ponurego więzienia jako jeden z nich;

emigrant, który się dorobił, powracający do swej rodzinnej miejscowości.

— To jest ksiądz — powiedziała kobieta. Może po prostu nie poznali mnie, myślał, i czekał na ich powitanie. Jeden za drugim wysuwali się, całowali go w rękę, a później cofali się i obserwowali go. Powiedział: „Cieszę się, że was widzę...” Zamierzał dodać „moje dzieci” ale przyszło mu na myśl, że tylko człowiek bezdzietny ma prawo nazywać obcych swymi dziećmi. Prawdziwe dzieci podchodziły teraz po kolei całować go w rękę, pod naciskiem rodziców. Były zbyt małe, żeby pamiętać dawne czasy, gdy księża byli ubrani na czarno, nosili koloratki i mieli miękkie, arystokratyczne, protekcyjne ręce. Widział, że dzieci były zdziwione oznakami szacunku wobec chłopca takiego samego jak ich rodzice. Nie patrzył na nie wprost, ale mimo to przypatrywał im się uważnie. Dwoje z nich to były dziewczęta. Jedna — chude wątłe dziecko, lat może pięć, sześć, siedem, któż to mógł dociec? I druga, której głód nadał wyraz złośliwości i chytrłości ponad jej wiek. Z oczu dziecka wyglądała młoda kobieta. Widział jak bez słowa rozproszyli się. To byli obcy.

Jeden z mężczyzn zapytał: — Czy ksiądz tu długo zostanie?

— Myślałem, że może... mógłbym odpocząć... kilka dni — odparł.

— Czy ksiądz nie mógłby pójść troszkę dalej na północ, do Pueblito?

— Byliśmy w drodze dwanaście godzin, ja i muł.

Kobieta nagle wstawiła się za nim, mówiąc gniewnie: — Oczywiście, że zostanie u nas na noc. Choć to możemy zrobić.

— Odprawię za was mszę rano — powiedział. Wyglądało to jakby ofiarowywał im łapówkę, ale skradzionymi pieniędzmi. Można było tak sądzić z ich zażenowania i niechęci.

Ktoś rzekł: — Jeśli ksiądz nie ma nic na przeciw, to bardzo wcześnie... może w nocy.

— Co się z wami wszystkimi stało? — spytał. — Dlaczego mielibyście się bać?

— To ksiądz nie słyszał?...

— Co miałem słyszeć?

— Biorą teraz zakładników... ze wszystkich wiosek, gdzie myślą że ksiądz był. A jeśli ludzie nie mówią... rozstrzelują... a potem biorą nowego zakładnika. Tak było w Concepción.

— Concepción? — Zaczął mrugać nerwowo jedną z powiek. W taki oto pospolity sposób ciało wyraża niepokój lub rozpacz. Spytał: „Kogo?” Patrzyli tępo na niego. Z pasją powtórzył: „Kogo zamordowali?”

— Pedra Monteza...

Wydał odgłos podobny do skowytu psa, absurdalny skrót bólu. Młoda-stara dziewczynka wybuchnęła śmiechem. „Dlaczego nie złapią mnie?” — mówił. „Głupcy. Dlaczego nie złapią *mnie?*” Dziewczynka znów się roześmiała. Patrzył na nią niewidzącymi oczyma jakby słyszał dźwięk, a nie mógł dojrzeć twarzy. Poczucie szczęścia znów zamarło, zanim miał czas wytchnąć. Był jak kobieta z martwo urodzonym dzieckiem: pogrzebać je prędko, zapomnieć i zacząć na nowo. Może następne będzie żyło.

— Więc widzi ksiądz — mówił jeden z mężczyzn — dlaczego...

Czuł się jak winowajca stojący przed swymi sędziami. Powiedział: — Wolelibyście, żebym raczej był jak... jak Padre José w stolicy... słyszeliście o nim?...

Odrzekli bez przekonania: — Pewnie, że nie chcieliśmy, proszę księdza.

— Ale co ja mówię? Tu nie o to chodzi, co wy chcecie, albo co ja chcę. Teraz się prześpię... — ciągnął dalej autorytatywnie. — Możecie mnie zbudzić godzinę przed świtem... pół godziny na wysłuchanie waszej spowiedzi... potem msza, i pójdę sobie.

Ale dokąd? Nie ma jednej wioski w całej prowincji, dla której nie stanowiłby teraz niepożądanego niebezpieczeństwa.

— Tędy, proszę księdza — powiedziała kobieta.

Wszedł za nią do małego pokoiku, którego całe umeblowanie składało się ze skrzyń: krzesło, łóżko z desek zbitych razem i przykrytych słomianą matą, paka na której rozłożono kawał płótna, a na nim postawiono lampę naftową. — Nie chciałbym zająć niczyjego miejsca — zauważył.

— Ja tu mieszkam.

Spojrzał na nią niepewnie. — Gdzie wy będziecie spali?

— Obawiał się jakichś roszczeń. Obserwował ją skrycie. Czy to jest wszystko co było w małżeństwie: wymówki, podejrzliwość i uczucie skrępowania? Gdy ludzie spowiadali mu się mówiąc o swych namiętnościach, czy tylko to mieli na myśli: twarde łóżko i krzątającą się kobietę i nie mówienie o przeszłości?...

— Kiedy ksiądz pójdzie.

Światło przygasło za lasem i drzewa rzucały długi cień na drzwi. Położył się na łóżku, a kobieta krzątała się gdzieś niewidoczna. Słyszał jak grzebała w polepie. Nie mógł spać. Czy więc ucieczka stała się jego obowiązkiem? Kilka razy usiłował uciec, ale zawsze mu coś stawało na przeszkodzie... teraz chcieli, żeby odszedł. Nikt go nie zatrzyma mówiąc, że jakaś kobieta jest chora, lub mężczyzna umierający. Teraz sam był chorobą.

— Maria — powiedział. — Maria, co ty robisz?

— Schowałam trochę wódki dla księdza.

Myślał: jeśli odjadę, spotkam innych księży, wypowiadam się, będę żałował i odpuszczone będą mi grzechy. Życie wieczne zacznie się dla mnie na nowo. Kościół naucza, że pierwszym obowiązkiem każdego człowieka jest zbawienie własnej duszy. Proste określenia piekła i nieba przelatywały mu przez mózg. Życie bez książek, bez kontaktów z ludźmi wykształconymi zabrało mu z pamięci wszystko poza najprostszym zarysem tajemnicy.

— Mam — rzekła kobieta. Niosła małą flaszkę od lekarstwa napełnioną spirytusem.

Gdyby ich opuścił, byłiby bezpieczni i wolni od złego przykładu jaki dawał. On był jedynym księdzem, jakiego dzieci mogły pamiętać: właśnie od niego będą brały swoje wyobrażenia o wierze. Ale wszak od niego także ludzie brali Boga w usta. Jeśli odejdzie, będzie to wyglądało jak gdyby na całej przestrzeni między morzem a górami Bóg przestał istnieć. Czyż nie jest jego obowiązkiem zostać, nawet jeśli nim pogardzają, nawet jeśli dla niego zostaną zamordowani? Nawet jeśli zgorszą się jego przykładem? Był wstrząśnięty ogromem problemu. Leżał zakrywając oczy rękami. Nigdzie, w całym tym szerokim, równinnym, bagnistym kraju, nie było ani jednego człowieka, którego mógłby się poradzić. Podniósł spirytus do ust.

— A Brigitta... czy... jest zdrowa? — spytał nieśmiało.



— Widział ją ksiądz dopiero co.

— Nie. — Nie mógł uwierzyć, że jej nie poznał. To byłoby lekceważeniem śmiertelnego grzechu: Nie można zrobić czegoś takiego, a potem nawet nie poznać...

— Tak, ona tam była. — Maria podeszła do drzwi i zawołała: „Brigitta, Brigitta”, a ksiądz odwrócił się na bok i patrzył jak weszła z zewnątrz, z krajobrazu pełnego strachu i żądzy: to małe, złośliwe dziecko które naśmiewało się z niego.

— Idź i porozmawiaj z księdzem — powiedziała Maria.  
— No, już.

Usiłował schować butelkę, ale nie było gdzie... starając się ją pomniejszyć w rękach, przypatrywał się dziewczynce, wstrząśnięty przypływem miłości.

— Ona zna katechizm — odezwała się Maria — ale nie chce go powiedzieć...

Dziecko stało, wpatrując się w niego przenikliwie i z pogardą. Nie było miłości w jej poczuciu. Tylko strach i rozpacz i pół butelki wódki i uczucie samotności popchnęło go do czynu, który napełniał go przerażeniem. Wynikiem była ta płochliwa, wstydliva, obezwładniająca miłość. — Dlaczego? Dlaczego nie chcesz powiedzieć? — spytał, rzucając krótkie spojrzenia ukradkiem i unikając jej wzroku. Czuł, że serce wali mu nierówno w piersi, niby stara pompa parowa, wzbierając nieziszczalnym pragnieniem uchronienia jej od... wszystkiego.

— A po co miałabym powiedzieć?

— Bóg tak chce.

— Skąd ksiądz wie?

Zdawał sobie sprawę z ogromnego ciężaru odpowiedzialności, którego nie dało się rozróżnić od miłości. Myślał, że musi to być coś, co odczuwają wszyscy rodzice. Tak idą przez życie zwykli ludzie: zaklinając szczęście, modląc się o uniknięcie bólu, bojąc się... Jest to coś, czego unikamy znikomym kosztem przez poświęcenie nieważnego odruchu ciała. Oczywiście przez lata całe był odpowiedzialny za dusze, ale to było co innego...lżejsza rzecz. Można było liczyć na pobłażliwość Boga, ale nie można było mieć zaufania do ospy, głodu, ludzi... „Moja droga” — powiedział, ściskając mocniej butelkę z wódką... Podczas swojej ostatniej wizyty ochrzcił ją. Wyglądała jak szma-

ciana lalka, z pomarszczoną, starą twarzą. Wydawało się wtedy nieprawdopodobne, że będzie długo żyła... Nie od czuwał nic prócz żalu. Trudno było nawet czuć wstyd, skoro nikt go nie winił. On był jedynym księdzem jakiego większość z nich znała. Z niego brali miarę kapłaństwa. Nawet kobiety.

— Czy jesteś *gringo*?

— Jaki *gringo*?

— Głupie stworzonko — rzekła kobieta. — Ona tak mówi, bo policja szukała jakiegoś człowieka.

Zdziwił się, gdy usłyszał, że poszukiwano jeszcze kogoś oprócz niego.

— Co on zrobił?

— To yankes. Zamordował jakichś ludzi na północy.

— Dlaczego miałby tutaj być?

— Myślą, że on się przedziera do plantacji *chiceli* w Quintana Roo.

Było to miejsce w którym lądowało wielu zbrodniarzy w Meksyku. Można było tam pracować na plantacji i zarabiać niezłe pieniądze i nikt się nie wtrącał.

— Jesteś *gringo*? — spytało powtórnie dziecko.

— Czy wyglądam na mordercę?

— A bo ja wiem?

Gdyby wydostał się z kraju, także i ją by zostawił, porzuconą. Z pokorą zwrócił się do kobiety: — Czy nie mógłbym tu zostać parę dni?

— To zbyt niebezpieczne, proszę księdza.

W oczach dziecka zauważył wyraz, który go przeraził. Znów odniósł wrażenie, że stała przed nim przedwcześnie dorosła kobieta, która wiedziała zbyt wiele i miała jakieś własne plany. Miał uczucie, jak gdyby jego własny grzech śmiertelny spoglądał na niego, bez skruchy. Usiłował nawiązać jakiś kontakt z dzieckiem, nie z kobietą w niej. Odezwał się: — Moja droga, powiedz mi jakie znasz gry, w co się bawisz... Dziecko zachichotało. Odwrócił szybko twarz i patrzył w górę na sufit, po którym poruszał się pająk. Przypomniał sobie przysłowie, które wychyłało ku niemu z zakamarków własnego dzieciństwa. Jego ojciec powtarzał je nieraz: „Najlepszy zapach ma chleb, najlepszy smak — sól, najlepszą miłość — dzieci”. Dzieciństwo miał szczęśliwe, mimo że bał się zbyt wielu rzeczy,

a biedy nienawidził jak zbrodni. Wierzył, że gdy zostanie księdzem, będzie bogaty i ważny. To się nazywało posiadaniem powołania. Pomyślał, że człowiek przebywa niezmierną drogę: od pierwszego bąka, jakim się bawił, do tego łóżka, na którym leżał z wódką w garści. A dla Boga była to tylko chwila. Chichot dziecka i pierwszy śmiertelny grzech dzieliła chwila krótsza niż dwa mrugnięcia okiem. Wyciągnął rękę, jak gdyby mógł ją siłą wydrzeć... czemuś. Ale był bezsilny. Mężczyzna lub kobieta, którzy mieli dopełnić jej zepsucia, może się jeszcze nie urodzili. Jakże więc mógł jej bronić przed czymś, co nie istniało?

Wyrwała się z jego zasięgu i pokazała mu język. „Ty mały diable, ty” — powiedziała kobieta i podniosła rękę.

— Nie — zaprotestował ksiądz. — Nie. — Wygramolił się do pozycji siedzącej. — Nie ważcie się...

— Przecież jestem jej matką.

— Nie mamy prawa — rzekł, po czym zwrócił się do dziecka: „Gdybyś tylko miała karty mógłbym ci pokazać parę sztuczek. Mogłabyś nauczyć swe koleżanki...” Nigdy nie wiedział jak mówić do dzieci, chyba tylko z kazalnicy. Spoglądała na niego bezczelnie. Spytał: „Czy wiesz jak się posyła wiadomości przez stukanie: długo, krótko, długo?...”

— A cóż to znowu, proszę księdza! — krzyknęła kobieta.

— To taka gra, w którą dzieci się bawią. Ja ją znam. Spytał dziecka: — Czy masz jakichś przyjaciół?

Dziecko nagle znów zaśmiało się znacząco. Jej siedmioletnie ciało przypominało karła: kryło w sobie wstrętą dojrzałość.

— Wynocha stąd — krzyknęła kobieta. — Wynoś się, bo zaraz ci tu pokażę...

Zrobiła jeszcze jeden bezczelny, złośliwy gest i zniknęła, dla niego może na zawsze. Nie zawsze człowiek żegna się z tymi, których kocha, na łożu śmierci, w stosownej chwili i w zapachu kadzidła. Powiedział: „Ciekawe czego my możemy ją nauczyć...” Pomyślał, że gdy on umrze, ona będzie żyła. Mogłoby być piekłem dla niego patrzeć jak stopniowo wdaje się ona w niego w ciągu lat upodlenia, dzieląc jego słabość jak gruźlicę... Wyciągnął się na łóżku i odwrócił głowę od niknącego światła. Zdawał się spać,

ale w rzeczywistości był daleki od tego. Kobieta krzątała się przy rozmaitych drobiazgach, a gdy słońce zaszło, pojawiły się moskity, tnąc powietrze w bezbłędnej drodze do celu, jak noże rzucane przez marynarzy.

— Mam opuścić siatkę, proszę księdza?

— Nie. To nieważne. — W ciągu ostatnich dziesięciu lat miał febrę tyle razy, że stracił rachubę. Przestał się tym przejmować. Febra zjawiała się i przechodziła, nie robiąc żadnej różnicy: była częścią jego otoczenia.

Wkrótce kobieta wyszła z szałasu i słyszał jej głos, jak plotkowała na zewnątrz. Jej odporność zdumiała go i sprawiła mu pewną ulgę. Siedem lat temu byli raz przez pięć minut kochankami, jeśli można tak określić stosunek, w którym nigdy nie nazwała go po imieniu. Dla niej było to po prostu oderwane wydarzenie, draśnięcie które goi się kompletnie w zdrowym ciele. Nawet pyszniła się tym, że była księżą kobietą. Tylko on sam nosił w sobie ranę tak głęboką jak gdyby opłakiwał śmierć całego świata.

Ciemno było jeszcze; żadnych oznak świtu. Może ze dwa tuziny ludzi siedziało na ziemi w największym szałasie i słuchało jego kazania. Nie mógł dojrzeć ich wyraźnie. Dym świec stojących na skrzyniach szedł równo w górę. Drzwi były zamknięte i nie było żadnego podmuchu. Stojąc pomiędzy nimi a świecami, w swoich obszarpanych chłopskich spodniach i podartej koszuli, mówił im o niebie. Chrząkali i kręcili się niespokojnie. Wiedział, że pragnęli, aby msza się jak najprędzej skończyła. Zbudzili go bardzo wcześnie, ponieważ krążyły pogłoski o policji w pobliżu...

Mówił: — Jeden z Ojców powiada, że radość jest zawsze zależna od bólu. Ból jest częścią radości. Gdy jesteśmy głodni, myślimy z jaką przyjemnością będziemy w końcu jedli. Gdy jesteśmy spragnieni... — Zatrzymał się nagle, wpatrując się w ciemny kąt i spodziewając się okrutnego śmiechu, który jednak nie nastąpił. Mówił dalej: — Wyrzekamy się różnych rzeczy po to, żebyśmy więcej się nimi cieszyli. Słyszeliście o bogatych ludziach na północy, którzy jedzą solone potrawy, żeby wywołać pragnienie i pić coś,

co nazywają coctaiłem. Także przed małżeństwem jest długi okres narzeczeństwa... — Znow zatrzymał się. Czuł na języku ciężar swej własnej niegodności. Zapach gorącego wosku dochodził z miejsca, gdzie jedna ze świec kapiała w tym ogromnym nocnym upale. Ludzie kręcili się w cieniu na twardej podłodze. Zapach niemytych ciał ludzkich walczył o lepsze z zapachem wosku. Krzyczał uparcie autorytatywnym tonem: — Dlatego właśnie mówię wam, że niebo jest tutaj. Życie tu jest częścią nieba, tak jak ból jest częścią przyjemności. Módlcie się o to, żebyście więcej i więcej cierpieli. Nigdy nie miejcie cierpienia dosyć. Policja która was śledzi, żołnierze zbierający podatki, *jefe* który was każe bić, bo jesteście zbyt biedni żeby zapłacić, ospa i febra, głód... wszystko to jest częścią nieba... przygotowaniem. Kto wie, może bez tych rzeczy nie cieszylibyście się tak bardzo niebem, może niebo nie byłoby kompletne. A niebo... cóż to jest niebo? — Literackie frazesy z surowych, spokojnych dni spędzonych w seminarium, z dni które wydawały mu się teraz jakby z innego zupełnie życia, mieszały mu się na języku: nazwy drogich kamieni, złota Jeruzalem. Ale ci ludzie nigdy złota nie widzieli.

Potykając się na niektórych słowach ciągnął dalej: — Niebo jest tam, gdzie nie ma *jefe*, gdzie nie ma niesprawiedliwych praw, gdzie nie ma podatków, ani żołnierzy, ani głodu. Wasze dzieci nie umierają w niebie. — Drzwi otworzyły się i jakiś człowiek wślizgnął się do środka. Szeptano coś poza zasięgiem świec. — Nie będziecie tam nigdy odczuwali strachu, czy niebezpieczeństwa. Nie ma tam Czerwonych Koszul. Nikt się nie starzeje. Nigdy nie ma nieurodzaju. Och, łatwo jest wymienić te wszystkie rzeczy, których w niebie *nie ma*. Za to jest tam Bóg. Trudno Go opisać. Nasz język przeznaczony jest do wyrażania tego co poznajemy zmysłami. Mówimy „światło” ale myślimy tylko o słońcu; mówimy „miłość”... — Trudno się było skupić: policja nie była daleko. Człowiek prawdopodobnie przyniósł jakieś wiadomości. — To może oznacza dziecko... — Drzwi znow się otworzyły: widział jak jeszcze jeden dzień rozciągał się na zewnątrz niby szary łupek. Jakiś głos szepnął do niego nagle: — Proszę księdza.

— Tak?

— Policja blisko: są półtora kilometra stąd, idą tu przez las.

Był przyzwyczajony do tego wszystkiego: do słów które nie sięgały celu, do śpiesznego kończenia, do spodziewanego bólu, który wciskał się pomiędzy niego a jego wiarę. Mówił dalej z uporem: — A nade wszystko zapamiętajcie sobie, że niebo jest tutaj. — Czy byli konno, czy na piechotę? Jeśli szli pieszo, to miał jeszcze dwadzieścia minut, żeby skończyć mszę i ukryć się. — Teraz, tutaj, w tej chwili, wasz i mój strach są częścią nieba, gdzie nie będzie strachu już nigdy, na wieki. — Odwrócił się do nich tyłem i zaczął bardzo szybko recytować *Credo*. Był czas, kiedy zbliżał się do Kanonu mszy z iście fizyczną obawą: gdy po raz pierwszy przyjął ciało i krew Boga w stanie grzechu śmiertelnego. Ale później życie zrodziło swoje wymówki. Po pewnym czasie wydawało się już bez wielkiego znaczenia, czy był potępiony czy też nie, jeśli tylko ci inni ludzie...

Ucałował wierzch skrzyni i odwrócił się z błogostawieństwem.. w słabym świetle dojrzał z trudem dwóch ludzi klęczących z ramionami wyciągniętymi w kształcie krzyża. Zostaną w tej pozycji aż do końca konsekracji: jedno więcej umartwienie wyciśnięte z ich surowego i bolesnego życia. Czuł się upokorzony bólem, jaki zwykli ludzie brali na siebie dobrowolnie; jego ból był mu narzucony. „Panie, umiłowalem okazałość domu Twego...” Świece dymiły, a ludzie kręcili się na klęczkach. Znowu poczuł absurdalny odruch szczęścia i znów wrócił niepokój. Wyglądało to jak gdyby pozwolono mu patrzeć z zewnątrz na mieszkańców niebios. Niebo musi zawierać właśnie takie wystraszone i posłuszne, pomarszczone od głodu twarze. Przez parę sekund czuł ogromną satysfakcję, że mógł teraz mówić do nich o cierpieniu bez hipokryzji. Wymuskanemu i dobrze odżywionemu księdzu trudno jest wychwalać ubóstwo. Rozpoczął *memento* za żywych: długa lista Apostołów i Męczenników odbijała się jak kroki idących — Korneliusza, Cypriana, Wawrzyńca, Chryzogona — wkrótce policjanci dojdą do polanki, gdzie muł usiadł pod nim i gdzie sam umył się w kałuży. Łacińskie słowa zlewały się razem, z takim pośpiechem je wymawiał. Wyczuwał niecierpliwosć wokół siebie. Rozpoczął konsekrację Hostii. (Opłatki

— W porządku — odparł porucznik. — Następny. — Śledztwo toczyło się dalej: nazwisko? praca? żonaty? Tymczasem słońce wyszło ponad las. Ksiądz stał z rękoma założonymi przed sobą. Znów śmierć się odwlekała. Czuł ogromną pokusę stanięcia przed porucznikiem i wyznania: „Ja jestem tym, kogo szukacie”. Czy zastrzelił go od razu? Kusiła go złudna obietnica pokoju. Daleko na niebie sęp obserwował scenę. Muszą wyglądać z takiej wysokości jak dwie grupy mięsożernych zwierząt, które w każdej chwili mogą rozpocząć walkę, więc czekał tam na padlinę: mała, czarna plamka. Śmierć nie oznaczała końca bólu: wierzyć w pokój było czymś w rodzaju herezji.

Ostatni człowiek złożył zeznanie.

Porucznik odezwał się: — Więc nikt nie chce mi pomóc?

Stali w milczeniu obok zrujnowanego podium dla orkiestry. Mówił dalej: — Słyszeliście co się stało w Concepción. Wziąłem tam zakładnika... a gdy stwierdziłem, że klecha był w tamtej okolicy, postawiłem tego człowieka pod pierwszym z brzegu drzewem. Wykryłem to, bo wszędzie jest ktoś, kto zmieni zdanie i powie. Może ktoś w Concepción kochał żonę tego człowieka i chciał się go pozbyć. To nie moja sprawa badać powody. Wiem tylko, że później znaleźliśmy wino w Concepción... Może jest ktoś w wiosce, kto chce zdobyć wasz kawałek gruntu, albo krowę. Dużo lepiej zrobicie, jeśli powiecie teraz. Bo także i stąd wezmę zakładnika. — Zatrzymał się, a potem dodał: — Nawet nie potrzebujecie mówić, jeśli tamten jest wśród was. Po prostu spójrzcie się na niego. Nikt nie będzie wiedział, że to wyście go wydali. On sam tego nie będzie wiedział, jeśli obawiacie się jego przekleństw. Teraz... to wasza ostatnia okazja.

Ksiądz patrzył w ziemię: nie chciał utrudniać sprawy temu, kto go wyda.

— Dobrze — powiedział porucznik. — Wobec tego wybiorę zakładnika. Sami chcieliście tego.

Siedział na koniu, przypatrując się im. Jeden z policjantów oparł karabin o podium i poprawiał sobie owijacz. Wieśniacy wciąż patrzeli w ziemię; każdy z nich bał się napotkać jego wzrok. Wybuchnął nagle: — Dlaczego mi nie ufacie? Ja nie chcę śmierci żadnego z was. Czyż nie mo-

żecie zrozumieć, że dla mnie jesteście daleko więcej wari niż on?! Ja wam chcę dać — ...rękoma wykonał gest, który nie zdał się na nic, gdy nikt go nie widział... — wszystko. Zduszonym głosem dodał: — Wy. Ej, wy tam. Biorę was.

Jakaś kobieta krzyknęła: — To mój chłopiec. To Miguel. Pan nie może wziąć mojego chłopca.

Wciąż ponurym głosem zauważył: — Każdy mężczyzna tutaj jest czymś mężem lub synem. Wiem o tym.

Ksiądz stał w milczeniu z zaciśniętymi rękoma. Stawy na wierzchu dłoni zbieleły mu od uścisku... Mógł wyczuć jak wokół niego podnosi się nienawiść. Bo on nie był niczym mężem czy synem. Powiedział: — Panie poruczniku...

— Czego chcecie?

— Ja już robię się zbyt stary do pracy w polu. Niech pan mnie weźmie.

Stado świń wyleciało zza rogu szafasu, nie zwracając uwagi na nikogo. Żołnierz skończył poprawiać owijacz i wyprostował się. Słońce wstawało za lasem i mrugało po butelkach w kiosku z lemoniadą.

Porucznik powiedział: — Biorę zakładnika, a nie lenia na na bezpłatne utrzymanie i mieszkanie. Jeśli nie nadajecie się do pracy w polu, nie nadajecie się na zakładnika. — Potem wydał rozkaz: — Zwiążcie ręce temu człowiekowi i bierzcie go.

W oka mgnieniu policjanci opuścili wieś, zabierając z sobą ze dwa czy trzy kurczaki, indyka i człowieka imieniem Miguel. Ksiądz odezwał się głośno. „Zrobiłem, co mogłem”. I dodał: „To do was należało mnie wydać. Co ja miałem zrobić według was? Moim obowiązkiem jest nie dać się złapać”.

Jeden z mężczyzn odpowiedział: — W porządku, proszę księdza. Tylko niech ksiądz będzie ostrożny... i nie zostawia wina za sobą... tak jak ksiądz zrobił w Concepción.

Inny rzekł: — Nie ma ksiądz co tu zostawać. Złapią księdza w końcu. Zapamiętali sobie księdza twarz. Lepiej niech ksiądz idzie na północ, w góry. Przez granicę.

— Tam jest pięknie w tym kraju za granicą — mówiła jakaś kobieta. — Jeszcze mają tam kościoły. Nikomu nie wolno do nich chodzić oczywiście, ale są. Ba, słyszałam, że w miastach nawet są księża. Mój kuzyn był raz za gó-



rami w Las Casas i słuchał mszy w jednym domu; był tam i ołtarz jak trzeba i ksiądz był ubrany jak za dawnych czasów. Tam księdzu będzie dobrze.

Ksiądz poszedł za Marią do szafasu. Butelka z wódką leżała na stole. Dotknął jej palcami: nie zostało wiele. Spytał: — Moja teczka, Mario? Gdzie moja teczka?

— Zbyt niebezpiecznie będzie ją teraz nosić — odparła Maria.

— Więc jak mam nosić wino?

— Nie ma wina.

— Jak to?

Wyjaśniła: — Nie chcę sprowadzać nieszczęścia na księdza i na innych. Stłukłam butelkę. Nawet jeśli to sprowadzi przekleństwo...

Powiedział łagodnie i smutnie: — Nie bądź przesądna. To było po prostu... wino. Nie ma nic świętego w winie. Tylko trudno jest je dostać tutaj. Dlatego właśnie trzymałem zapas w Concepción. Ale znaleźli je.

— Może teraz ksiądz pójdzie... w ogóle stąd pójdzie. Ksiądz się już tu nikomu na nic nie przyda — powiedziała zapalczywie. — Czy ksiądz nie rozumie? Nie chcemy księdza tu więcej.

— O tak, rozumiem — rzekł. — Ale tu nie o to chodzi czego wy chcecie, albo czego ja chcę...

— Ja się znam na tym — mówiła dziko. — Chodziłam do szkoły. Nie jestem taką ignorantką jak ci inni. Ja wiem, że ksiądz jest złym księdzem. Wtedy kiedy byliśmy razem... założyłabym się, że to nie był jedyny raz. Słyszałam coś niecoś o księdzu. Czy ksiądz myśli, że Bóg chce, aby taki ksiądz-moczymorda został tu i ginął za niego? — Stał cierpliwie przed nią i słuchał, tak jak stał przed porucznikiem. Nie wyobrażał sobie, żeby stać ją było na takie myśli. Mówiła dalej: — Przypuśćmy, że ksiądz zginie. Ksiądz będzie męczennikiem, czy nie tak? I co to będzie za męczennik z księdza. Taki, że ludzie będą sztydzić tylko.

Nigdy mu nie przyszło na myśl, że ktoś może go kiedyś uważać za męczennika. „To trudne. Bardzo trudne” — powiedział. „Pomyślę o tym. Nie chciałbym, żeby sztydzono z Kościoła”.

— Więc niech ksiądz myśli o tym zagranicą...

— Ale...

Powiedziała: — Kiedy zdarzyło się ksiądz wie co, byłam dumna. Myślałam, że wrócą dawne dobre czasy. Nie każda zostaje księżą kobietą. A dziecko... Myślałam, że ksiądz będzie mógł zrobić wiele dla niej. Ale tyle co ksiądz zrobił dobrego, to i złodziej mógłby zrobić...

— Było wielu dobrych złodziei — odparł niepewnie.

— Na miłość Boską, niech ksiądz weźmie tę wódkę i idzie sobie.

— Jeszcze jeden drobiazg — mówił. — W mojej teczce... było coś...

— Niech ksiądz sam to sobie znajdzie na śmietniku. Ja tego więcej nie dotknę.

— A dziecko — rzekł. — Dobra z ciebie kobieta, Mario. To znaczy, chciałem powiedzieć, że... postarasz się dobrze ją wychować... po chrześcijańsku.

— Z niej nigdy nic dobrego nie będzie. Przecież widzi to ksiądz sam.

— Ona nie może być znów taka zła... w jej wieku — błagał.

— Pójdzie dalej tą drogą na jaką weszła.

— Następna msza jaką odprawię będzie za nią.

W ogóle nie słuchała nawet. Powiedziała: — Ona jest zła na wskroś. — Zdawał sobie sprawę z tego, że pomiędzy łóżkiem a drzwiami konała wiara. Już niedługo msza nie będzie dla nikogo znaczyła więcej niż czarny kot przechodzący drogę. Narażał życie ich wszystkich dla rzeczy takich jak sól rozsypana na szczęście, czy splunięcie na urok. Zaczął: — Mój muł...

— Właśnie dają mu kukurydzę — powiedziała i dodała: — Lepiej niech ksiądz idzie na północ. Już nie ma szans dostania się na południe.

— Myślałem, że może Carmen...

— Będą tam pilnowali.

— No, trudno... Może kiedyś... gdy sprawy będą lepiej wyglądały... — Nakreślił znak krzyża i pobłogosławił ją, ale ona stała przed nim niecierpliwie, pragnąc żeby odszedł już stąd na zawsze.

— A więc do widzenia, Mario.

— Do widzenia.

Przeszedł plac ze skulonymi ramionami. Czuł, że każdy mieszkaniec tej wioski obserwuje go z zadowoleniem. Był

sprawcą ich nieszczęść, ale z niejasnych i zabobonnych przyczyn woleli nie wydawać go policji. Zazdrościł nieznanemu yankesowi, którego nie wahaliby się wpędzić w pułapkę, a który w każdym razie nie musiał się nosić z ciężarem wdzięczności względem nich.

Poniżej zbocza ubitego kopytami mułów i postrzępionego korzeniami drzew płynęła rzeka. Była głęboka na jakieś pół metra i zaśmiecona pustymi puszkami i potłuczonymi butelkami. Pod przyczepioną do drzewa tabliczką z napisem „Zabrania się zostawiać śmieci...” nagromadzone były wszystkie odpadki z całej wsi i stopniowo osuwały się do rzeki. Zostaną zmyte, gdy przyjdą deszcze. Ustawił stopę między starymi puszkami a gnijącymi jarzynami i sięgnął po teczkę. Westchnął: była to całkiem dobra teczka; jeszcze jedna pamiątka po spokojnej przeszłości... Niedługo będzie trudno sobie przypomnieć, że życie kiedykolwiek było inne. Zamek był zerwany. Pomacał wewnątrz jedwabnej podszewki...

Papiery były w niej. Ociągając się upuścił teczkę. Wraz z nią porzucił wśród puszek całą swoją ważną i godną młodość. Teczka otrzymał od swych parafian w Concepción w piątą rocznicę święceń... Ktoś poruszył się za drzewem. Uniósł stopę spomiędzy odpadków. Muchy brzęczały mu wokół kostek. Ukrył papiery w dłoni i obszedł pień drzewa, żeby zobaczyć, kto go podpatruje... Na korzeniu siedziało dziecko uderzając piętami o korę. Oczy miała szczelnie zamknięte.

— Moja droga, czy ktoś ci coś zrobił?... — spytał. Oczy otwarły się momentalnie. Były zaczerwienione i gniewne i miały wyraz absurdałnej dumy.

Odparła: — Ty... ty...

— Ja?

Podszedł do niej zachowując ogromną ostrożność, jak gdyby była zwierzęciem, które mu nie ufało. Zrobiło mu się słabo od rozpierającej go tęskoty. Spytał: — Moja droga, dlaczego ja?...

Odparła z pasją: — Śmieją się ze mnie.

— Z mojego powodu?

Mówiła: — Wszyscy inni mają ojców... którzy pracują.

— Ja też pracuję.

— Ty jesteś księdzem, czy nie tak?

— Tak.

— Pedro mówi, że ty nie jesteś mężczyzną. Nie nadajesz się dla kobiet. — Dodała: — Nie wiem co on przez to rozumie.

— Przypuszczam, że on sam nie wie.

— Och tak, on wie — powiedziała. — On ma dziesięć lat. A ja też chcę wiedzieć. Ty stąd odchodzisz, prawda?

— Tak.

Znów był przerażony jej dojrzałością, gdy uśmiechnęła się uśmiechem wybranym ze swego bogatego repertuaru. Rzekła kusząc go: — Powiedz mi... — Siedziała tam na pniu drzewa, obok śmietnika sprawiając wrażenie opuszczonej. Świat był już w jej sercu, jak mała plamka zepsucia w owocu. Była bez opieki; nie miała wdzięku, czy uroku, który by się wstawiał za nią. Jego serce było wstrząśnięte pewnością straty. Powiedział: — Moja droga, uważaj...

— Na co? Dlaczego stąd odjeżdżasz?

Podszedł nieco bliżej; myślał... chyba wolno pocałować własną córkę. Ale ona wyrwała mu się. — Nie dotykaj mnie — pisnęła swym starym głosem i zaczęła chichotać. Wszystkie dzieci rodziły się z pewną wiedzą o miłości, myślał. Brały ją z mlekiem przy piersi. Ale od rodziców i przyjaciół zależał rodzaj miłości jaką znały: zbawczą czy zgubną. Chuć także była rodzajem miłości. Widział, że jego córka jest osadzona w swym życiu jak mucha w bursztynie: Oto ręka Marii wzniesiona do bicia; Pedro rozmawiający z nią przedwcześnie o zmroku; policja przeszukująca las; wszędzie gwałt. Modlił się w milczeniu: „O Boże, daj mi śmierć wszystko jedno jaką: bez żalu, w stanie grzechu; tylko zbaw to dziecko”.

Sam był pono człowiekiem przeznaczonym do zbawiania dusz. Wydawało się to rzeczą całkiem prostą kiedyś, gdy wygłaszał kazania na błogosławieństwie, zakładał bractwa, popijał kawę ze starszymi paniami w pokojach o zakratowanych oknach, błogosławił nowe domy ofiarując odrobinę kadzidła, nosił czarne rękawiczki... to było tak łatwe jak oszczędzanie pieniędzy. Teraz to było nieosiągalną sztuką. Zdawał sobie sprawę z tego, że zupełnie nie dorasta do swego zadania..

Ukląkł i przyciągnął ją do siebie, a ona chichotała i sza-

motała się, by się od niego uwolnić: — Kocham cię. Jestem twoim ojcem i kocham cię. Staraj się to zrozumieć. — Trzymał ją mocno za przegub. Nagle uspokoiła się i stała patrząc na niego. Powiedział: — Oddałbym swoje życie, to głupstwo, swoją duszę... moja droga, moja kochana, staraj się zrozumieć, że ty jesteś... taka ważna. — Zawsze wiedział, że w tym leżała różnica pomiędzy wiarą jego, a ich — politycznych przywódców ludu, którzy troszczyli się tylko o takie rzeczy jak państwo, republika. To dziecko było ważniejsze niż cały kontynent. Mówił dalej: — Musisz dbać o siebie, bo jesteś taka... potrzebna. Prezydent tam w stolicy chodzi otoczony ludźmi uzbrojonymi w karabiny... ale ty, moje dziecko, masz wszystkich aniołów w niebie... — Patrzała na niego ciemnymi, nierozumnymi oczyma. Czuł, że zjawił się za późno. Powiedział: — Do widzenia, moja droga — i niezgrabnie pocałował ją. Niemądry, ślepo kochający, starzejący się człowiek. Skoro tylko ją puścił i zaczął powrotną wędrówkę na plac, czuł jak za jego zgarbionymi plecami nikczemny świat zakrada się do dziecka, by je zniszczyć. Muł stał osiodłany koło kiosku z napojami gazowymi. Jakiś mężczyzna odezwał się: — Lepiej niech ksiądz idzie na północ — i stał kiwając ręką. Nie powinien mieć ludzkich uczuć, a raczej powinien kochać każdą duszę, tak jakby była jego dzieckiem. Jego opiekuńcze skłonności muszą się rozciągnąć nad całym światem... ale czuł że są przywiązane, niby kulawe zwierzę do pnia drzewa, i bolesne. Skierował muła na południe.

Jechał dokładnie śladem policji. Jeśli tylko będzie podróżował powoli i nie minie żadnego włóczęgi, droga wydawała się dość bezpieczna. Najbardziej potrzebował teraz wina; a musiało to być wino z winogron. Bez niego był bezużyteczny. Równie dobrze mógłby uciec na północ w góry i do bezpiecznego kraju poza nimi, gdzie najgorszą rzeczą, jaka mogła mu się przydarzyć, była grzywna i kilka dni więzienia, ponieważ nie mógł jej zapłacić. Lecz nie był jeszcze gotów na ostateczną kapitulację: każdą małą kapitulację musiał opłacać dalszą wytrwałością, a teraz czuł potrzebę wykupienia w jakiś sposób swego dziecka. Zo-

stanie jeszcze miesiąc, jeszcze rok... Wlokąc się tu i tam na swym mule usiłował przekupić Boga obietnicami stałości... Muł zarył się nagle kopytami i stanął w miejscu: mały, zielony wąż uniósł się na ścieżce, po czym z sykiem zniknął w trawie jak płomień zapalniczki. Muł ruszył dalej.

Gdy zbliżał się do jakiejś wioski, zatrzymywał muła i podchodził pieszo tak blisko jak się dało: mogli się tam zatrzymać policjanci. Potem przejeżdżał szybko, nie mówiąc do nikogo nic poza *Buenos días*, a gdy był znów na leśnej ścieżce, odnajdywał ślad konia porucznika. Nie miał teraz żadnego jasnego planu. Chciał po prostu oddalić się na jak największą odległość od wsi, w której spędził noc. W jednej ręce wciąż trzymał pomiętą kulę z papieru. Ktoś przyczepił mu do siodła wiązniękę może pięćdziesięciu bananów, obok *machete* i torebki, która zawierała jego zapas świec. Co jakiś czas zjadał banana. Były brązowe, dojrzałe i wodniste, o smaku mydła. Zostawiały mu nad ustami plamę na kształt wąsów.

Po sześciu godzinach podróży przybył do La Candelaria, podłużnej, nędznej wioski o blaszanych dachach, rozciągającej się nad jednym z dopływów rzeki Grijalva. Wyjechał ostrożnie na zakurzoną ulicę. Było wczesne popołudnie. Na dachach siedziały sępy, kryjąc swe małe łebki przed słońcem, a w wąskim cieniu rzucanym przez domy leżało w hamakach paru ludzi. Muł włókł się naprzód bardzo powoli w ocieźlałej atmosferze dnia. Ksiądz pochylił się ku przodowi na kulę siodła.

Muł sam stanął obok hamaku. Leżał w nim jakiś człowiek zwinięty w poprzek, z jedną nogą zwieszoną, żeby utrzymać hamak w ruchu: w górę i w dół, w górę i w dół, i wytwarzać mały powiew. Ksiądz pozdrowił go: *Buenas tardas*. Człowiek otworzył oczy i przypatrywał mu się.

— Jak daleko jest do Carmen?

— Trzy ligi.

— Czy mogę dostać się czółnem przez rzekę?

— Tak.

— Gdzie?

Człowiek machnął ospale ręką, jak gdyby chciał powiedzieć: wszędzie, ale nie tutaj. Miał tylko dwa zęby: żółte kły, wystające po obu stronach ust, jak zęby dawno wymarłych zwierząt, które ogląda się osadzone w glinie.

— Co robiła tutaj policja? — spytał ksiądz. Chmara much pojawiła się i osiadła na szyi muła. Uderzył w nie kijem: uniosły się ociążale, zostawiając kropelkę krwi, po czym znów opadły na twardą, szarą skórę. Muł zdawał się niczego nie czuć i stał w słońcu ze zwieszonym łbem.

— Szukacie kogoś? — spytał człowiek.

— Słyszałem — odrzekł ksiądz — że ogłoszono nagrodę... za *gringo*.

Człowiek huśtał swój hamak w tył i w przód. — Lepiej być żywym i biednym, niż bogatym i umarłym — powiedział.

— Czy mogę ich dogonić, jeśli pójdę w kierunku Carmen?

— Oni nie idą do Carmen.

— Nie?

— Idą do miasta.

Ksiądz ruszył w dalszą drogę. Dwadzieścia metrów dalej znów się zatrzymał, tym razem przy kiosku z lemoniadą i zapytał obsługującego chłopca: „Czy mogę znaleźć łódkę aby przepłynąć przez rzekę?”

— Kiedy nie ma łódki.

— Nie ma łódki?

— Ktoś ją ukradł.

— Proszę o sidral. — Wypił żółty, musujący, syntetyczny płyn, który pozostawił mu uczucie większego pragnienia, niż miał przedtem. Spytał: — Jak można się przedostać na drugą stronę?

— Po co pan chce się tam dostać?

— Jadę do Carmen. Jak się policja przedostała?

— Przepłynęli.

— *Mula, mula* — powiedział ksiądz, przynaglając muła do drogi. Przejechał obok nieuniknionego podium dla orkiestry i pomnika w pretensjonalnym stylu, przedstawiającego kobietę w todze wymachującą wieńcem. Część piedestału odłamała się i leżała na środku drogi; muł obszedł dokoła. Ksiądz spojrzął za siebie. Daleko, przy ulicy metys siedział wyprostowany w hamaku i przypatrywał mu się. Muł skręcił w dół, na stromą ścieżkę wiodącą ku rzece. Ksiądz znów spojrzął w tył. Mieszaniec wciąż był w hamaku, ale trzymał obie nogi na ziemi. Zwyczajnie

pokój kazał księdzu uderzyć muła: „Mula, Mula”, ale muł nie spiesząc się zsuwał się wybrzeżem w dół ku rzece.

Gdy znalazł się na brzegu, muł odmówił wejścia do wody; ksiądz rozczepił zębami koniec kija i ukłuł ostrym końcem bok zwierzęcia. Ociągając się muł wszedł i brodził; woda podniosła się najpierw po strzemiona, później do kolan. Muł zaczął płynąć, rozplaszczony jak aligator, tak że widać mu było tylko ślepią i nozdrza. Ktoś krzyknął z brzegu.

Ksiądz rozejrzał się: na brzegu rzeki stał metys i wołał, lecz niezbyt głośno, tak że nie donosiło głosu. Wyglądało jak gdyby miał jakąś tajemnicę do powiedzenia, której nie powinien usłyszeć nikt prócz księdza. Kiwał na niego, wzywając go do powrotu, ale muł wygramolił się z wody na wysoki brzeg. Ksiądz nie zwracał uwagi na wołania; niepokój wypełniał mu mózg. Przynaglał muła do drogi poprzez zielony półmrok bananowego gaju i nie oglądał się za siebie. W ciągu wszystkich tych lat były dwa miejsca, do których zawsze mógł wrócić i bezpiecznie odpocząć w ukryciu: jedno to Concepción, jego dawna parafia, która teraz była dla niego zamknięta; drugie to Carmen, gdzie się urodził i gdzie byli pochowani jego rodzice. Wyobrażał sobie, że może będzie i trzecie, ale już nigdy tam nie wróci teraz... Skierował łeb muła w stronę Carmen i znów objął ich las. Idąc w tym tempie przybędą tam w nocy, czego właśnie pragnął. Bez bicia muł szedł nader opieszale, ze zwieszonym łbem i pachnąc trochę krwią. Pochylony do przodu na wysokim siodle, ksiądz zasnął. Śniło mu się, że mała dziewczynka w sztywnej sukience z białego muszlinu recytowała katechizm. Gdzieś opodal siedział biskup i grupa Dzieci Marii, starszawe kobiety o szarych, twardej, pobożnych twarzach, z przypiętymi blado-niebieskimi wstążkami. Biskup powiedział: „Znakomicie... znakomicie” i klaskał w ręce — klap, klap. Jakiś mężczyzna we fraku powiedział: „Brakuje pięćset pezów na nowe organy. Proponuje się urządzić specjalny koncert, na którym mamy nadzieję...” Przypomniał sobie w przerażającym olśnieniu, że nie powinien w ogóle się tam znajdować... był w złej parafii... powinien właśnie dawać rekolekcje w Concepción. Montez pojawił się za dzieckiem w białym muszlinie, gestykulując, przypominając mu... Coś się stało Montezowi,



miał zaschłą ranę na czole. Z okropną pewnością czuł, że coś grozi dziecku. Powiedział: „Moja droga, moja droga” i obudził się; wolny, kołyszący chód muła i odgłos kroków — wróciły mu przytomność.

Odwrócił się: metys szedł za nim, ociekając wodą; musiał chyba przepłynąć rzekę. Dwa jego kły wystawały ponad dolną wargą, gdy szczyrzył zęby, przymilając się.

— Czego chcecie? — spytał ostro ksiądz.

— Pan mi nie powiedział, że jedzie do Carmen.

— A po co miałem powiedzieć?

— Widzi pan, ja też chcę iść do Carmen, a lepiej podróżować w towarzystwie. — Miał na sobie koszulę, parę białych spodni i pantofle gimnastyczne, przez które było widać wielki palec u nóg, pulchny i żółty jak coś, co żyje pod ziemią. Podrapał się pod pachami i podszedł z poufałością do strzemięcia księdza, mówiąc: — Czy nie uraziłem pana?

— Dlaczego nazywacie mnie „pan”?

— Każdy może poznać, że pan jest człowiekiem wykształconym.

— Las jest otwarty dla wszystkich — powiedział ksiądz.

— Pan zna Carmen dobrze? — spytał człowiek.

— Niezbyt dobrze. Mam tam paru przyjaciół.

— Pan zapewne jedzie tam za interesem?

Ksiądz nic nie odpowiedział. Czuł na nodze lekki, błagalny dotyk jego ręki. Człowiek mówił znów: — Dwie ligi stąd, niedaleko drogi, jest *finca*. Dobrze było by tam stanąć na noc.

— Śpieszę się — odparł ksiądz.

— Ale co panu przyjdzie ze zjawienia się w Carmen o pierwszej czy drugiej nad ranem? Moglibyśmy przespać się w *finca* i przyjść tam zanim słońce będzie wysoko.

— Zrobię jak mi się będzie podobało.

— Oczywiście, proszę pana, oczywiście. — Tamten milczał przez chwilę, po czym powiedział: — Nie jest dobrze podróżować w nocy bez broni, panie. Co innego człowiek jak ja...

— Jestem biednym człowiekiem — rzekł ksiądz. — Widzicie to sami. Nie ma z czego mnie obrabować.

— Ale poza tym jest *gringo*. Mówią, że to dzika bestia, prawdziwy *pistolero*. Podchodzi do człowieka i mówi

w swoim języku: „Stop; wskaż mi drogę do takiego a takiego miejsca”, a jeśli się nie rozumie, co on mówi i może jeszcze zrobi jakiś ruch, od razu strzela. Ale może señor zna amerykański?

— Oczywiście, że nie. Skąd miałbym znać? Ja biedny człowiek. Ale nie wierzę w byle bajdę.

— Pan jest z daleka?

Ksiądz myślał chwilę: — Concepción. — Tam już nie mógł więcej zaszkodzić.

Tamten wydawał się na razie zadowolony. Szedł obok muła z ręką na strzemieniu. Co jakiś czas spluwał. Spoglądając w dół ksiądz mógł widzieć wielki palec sunący po ziemi jak liszka. Prawdopodobnie człowiek ten był niegroźny. To tylko ogólne warunki życia przyczyniały się do powstawania podejrzliwości. Nastął zmierzch i prawie natychmiast zrobiło się ciemno. Muł poruszał się jeszcze wolniej. Dokoła nich wybuchł gwar. Było to jak w teatrze, gdzie z opuszczeniem kurtyny rozpoczyna się wrzawa za kulisami i na korytarzach. Jakieś nieznanne stwory — może jaguary — ryczały w gęstwinie, małpy poruszały się na wyższych gałęziach, a moskity brzęczały wokół jak maszyny do szycia. — Chce się pić po takim marszu — powiedział człowiek. — Może pan ma przypadkiem jakiś napitek, proszę pana?...

— Nie.

— Jeśli pan chce być w Carmen przed trzecią, musi pan bić muła. Może ja wezmę kijaszek?

— Nie, nie, niech sobie bydlę idzie jak chce. Wszystko mi jedno... — powiedział śpiącym głosem.

— Pan mówi jak ksiądz.

Szybko wróciła mu przytomność, ale nie mógł nic dojrzeć pod wielkimi, ciemnymi drzewami. Odparł: — Cóż za bzdury pleciecie.

— Ja jestem bardzo dobry chrześcijanin — rzekł człowiek, głaszcząc stopę księdza.

— Nie przeczę. Chciałbym móc powiedzieć to samo o sobie.

— Ach, pan powinien umieć poznać komu można wierzyć. — Splunął przyjaźnie.

— Nie mam nikomu nic do powierzenia — odparł

ksiądz. — Chyba te spodnie; są bardzo podarte. I tego muła. Widzicie sami, że to nie jest dobry muł.

Przez chwilę panowała cisza. Mieszaniec jakby rozważał ostatnie słowa księdza, po czym ciągnął dalej: — To nie byłby zły muł, gdyby go pan dobrze traktował. Ja wiem najlepiej jak się obchodzić z mułami. Wyraźnie widać, że jest zmęczony.

Ksiądz spojrzął na szary, kiwający się, durny łeb.

— Tak myślicie?

— Ile pan wczoraj przejechał?

— Może ze dwanaście lig.

— Nawet muł musi odpoczywać.

Ksiądz wyjął bosc nogi ze strzemion i zlął na ziemię. Przez niecałą minutę muł stąpał nieco szybciej, po czym jeszcze bardziej zwolnił tempo. Gałęzie i korzenie na leśnej ścieżce pocięły księdzu nogi, które już po pięciu minutach zaczęły krwawić. Na próżno starał się nie kuleć. Mieszaniec zawołał: — Jakie pan ma delikatne nogi. Powinien pan nosić buty.

Z uporem powtórzył: — Ja biedny człowiek.

— Tak pan nigdy nie zajdzie do Carmen. Miejęż rozum człowieku. Jeśli pan nie chce zboczyć z drogi do *finca* to mniej niż pół ligi stąd jest mały szalas. Możemy tam się przespać parę godzin, a i tak będziemy w Carmen o świcie. — Coś zaszeleściło w trawie obok ścieżki. Ksiądz pomyślał, że to węże, a on ma gołe nogi. Moskity kłuły go w przeguby. Były jak małe lekarskie strzykawki napełnione trucizną i mierzące w żyły. Czasem świetlista bańka robaczka świętojańskiego zbliżała się do twarzy metysa, to zapalając się, to gasnąc jak latarka elektryczna. Mówił dalej z wyrzutem: — Pan mi nie ufa. Dlatego właśnie, że jestem człowiekiem, który chętnie wyświadcza dobre uczynki obcym, dlatego że staram się postępować po chrześcijańsku, pan mi nie ufa. — Robił wrażenie jakby sztucznie starał się wywołać w sobie wybuch złości. Dodał: — Gdybym chciał pana obrabować, czyż nie mógłbym już był tego zrobić? Przecież pan jest stary.

— Nie tak bardzo znów stary — odparł łagodnie ksiądz. Jego sumienie zaczęło automatycznie pracować: było jak automat, który przyjmuje każdą monetę, nawet fałszywą blaszkę oszusta. Słowa pyszne, pożądlive, zazdrosne.

tchórzliwe, niewdzięczne — wszystkie one wywoływały odpowiedni oddźwięk. Wszystkie stosowały się do niego. Mieszaniec powiedział: — Straciłem wiele godzin prowadząc pana do Carmen. Nie chcę żadnego wynagrodzenia, bo jestem dobrym chrześcijaninem. Prawdopodobnie straciłem przez to sporo grosza w domu, ale mniejsza o to...

— Jeśli się nie mylę, mówiliście, że macie coś do załatwienia w Carmen — odparł łagodnie ksiądz.

— Kiedy to powiedziałem? — Tak, widocznie nie pamiętał... może sam był także niesprawiedliwy... — Dlaczego miałbym mówić nieprawdę? Nie, straciłem cały dzień, żeby panu się przysłużyć, a pan nie zwraca uwagi na to, że przewodnik jest zmęczony...

— Nie potrzebowałem przewodnika — protestował delikatnie.

— Tak pan mówi kiedy droga jest prosta, ale gdyby nie ja już dawno by pan wybrał złą ścieżkę. Sam pan powiedział, że nie zna pan dobrze Carmen. Dlatego poszedłem z panem.

— Oczywiście, że staniemy na odpoczynek, skoro jesteście zmęczeni — powiedział ksiądz. Czuł się zawstydzony swoim brakiem zaufania, ale mimo to podejrzenie pozostało jak narośl, którą tylko nożem można wyciąć.

Po upływie pół godziny przybyli do szałas, ulepionego z błota i gałęzi, na malutkiej polance. Musiał go być sklecić jakiś chłop, którego wyparł zewsząd nachodzący las; niepohamowana siła natury, nie do powstrzymania siekierą i ogniem. Szczerniała ziemia nosiła jeszcze na sobie ślady zmagających na celu usunięcie gąszczu, aby można było uzyskać mizerny i niewystarczający zbiór. Metys powiedział: — Ja zajmę się mułem. Niech pan wejdzie do środka, połóż się i odpocznie.

— Ale to przecież wy jesteście zmęczeni.

— Ja zmęczony? — zdziwił się metys. — Skąd panu to przyszło do głowy? Ja się nigdy nie męczę.

Z ciężkim sercem ksiądz zdjął torbę umocowaną przy siodle, pchnął drzwi i wszedł do środka w zupełną ciemność. Zaświecił zapałkę: nie było mebli, tylko wzniesienie z ubitej ziemi i słomiana mata, zbyt podarta, żeby opłacało się ją stąd zabierać. Zapalił świecę i wytopionym z niej woskiem przylepił ją do podium, po czym usiadł

i czekał. Tamten długo nie wracał. W zaciśniętej ręce ksiądz wciąż jeszcze trzymał kulkę papieru, ocaloną z teczki. Trzeba zachować przy sobie jakieś sentymentalne pamiątki, jeśli ma się w ogóle żyć. Argument niebezpieczeństwa stosuje się tylko do tych, którzy żyją bezpiecznie. Zastanawiał się, czy metys ukradł jego muła i wyrzucał sobie swoją niezbędną podejrzliwość. Wtém drzwi się otworzyły i wszedł metys: dwa żółte kły i paznokcie drapiące pod pachą. Usiadł na ziemi opierając się o drzwi i powiedział:

— Niech pan śpi. Pan jest zmęczony. Obudzę pana, kiedy będziemy mieli ruszać.

— Nie jestem bardzo śpiący.

— Niech pan zdmuchnie świecę. Będzie się panu lepiej spało.

— Nie lubię ciemności — powiedział ksiądz. Bał się.

— A może ksiądz odmówi wieczorną modlitwę?

— Dlaczego mnie tak tytułujecie? — spytał ostro, patrząc ponad rysującą się w ciemnościach podłogę w kierunku miejsca gdzie przy drzwiach siedział metys.

— Och, oczywiście, że się domysliłem. Ale ksiądz się nie potrzebuje mnie bać. Ja dobry chrześcijanin.

— Jesteście w błędzie.

— Mógłbym łatwo się przekonać, nieprawdaż? — odparł mieszaniec. — Wystarczyłoby, gdybym powiedział: niech ksiądz wysłucha mojej spowiedzi. Ksiądz nie mógłby odmówić człowiekowi z ciężkim grzechem na sumieniu.

Ksiądz nie odpowiedział nic, czekając na to żądanie spowiedzi. Ręka trzymająca papiery drgała nerwowo. — Och, ksiądz nie potrzebuje się mnie obawiać — ciągnął ostrożnie metys. — Ja bym księdza nie wydał. Ja chrześcijanin. Ja tylko myślałem, że modlitwa... by się przydała...

— Nie trzeba być księdzem, żeby umieć się modlić. — Zaczął mówić: *Pater noster qui es in coelis...* a moskity nadlatywały z brzękiem w kierunku płomienia świecy. Był zdecydowany nie spać. Metys miał jakiś plan. Nawet sumienie przestało oskarżać księdza o brak miłości. Wiedział. Znajdował się w obecności Judasza.

Oparł głowę o ścianę i na pół przymknął oczy. Przypomnił sobie Wielki Tydzień w dawnych czasach, gdy wypchany Judasz był wieszany na dzwonnicy. Chłopcy

Jak mało miał powodów do tego, by się pysznić. Tego roku odprawił tylko cztery msze i wysłuchał może ze stu spowiedzi. Wydawało mu się, że nieuk z pierwszego lepszego seminarium tyle samo mógłby zdziałać... lub więcej. Zachowując wszelką ostrożność podniósł się i zaczął iść na palcach bosej nogi przez izbę. Musi dostać się do Carmen i znów odejść stamtąd i to szybko, przed tym człowiekiem... Otwarte usta ukazywały blade, twarde, bezzębne dziąsła: chrząkał i rzucał się we śnie, potem przewrócił się na podłogę i leżał bez ruchu.

Sprawił wrażenie człowieka opuszczonego, który zrezygnował z dalszej walki i leżał tam powalony jakąś mocą... Księdzu pozostało jeszcze tylko przejść ponad jego nogami i pchnąć drzwi, które otwierały się na zewnątrz.

Przekroczył jedną nogą jego ciało, gdy ręka tamtego chwyciła go za kostkę. Metys wpatrywał się w niego:

— Dokąd pan idzie?

— Za potrzebą — odparł ksiądz.

Ręka wciąż trzymała go za kostkę. — Dlaczego pan nie może zrobić tego tutaj? — skomlał. — Kto ojcu broni? Pan jest ojcem, księdzem, nieprawda?

— Mam dziecko — powiedział ksiądz — jeśli o to wam chodzi.

— Ksiądz wie, o co mi chodzi. Ksiądz zna się na Bogu, nie? — Rozpalona ręka wciąż trzymała go. — Może ksiądz ma go tu... w kieszeni. Ksiądz nosi go z sobą, nie? Na wypadek jeśli ktoś jest chory... Przecie ja jestem chory. Dlaczego ksiądz mi go nie da? A może ksiądz myśli, że on by nie chciał mieć ze mną nic do czynienia... gdyby wiedział?

— Bredzicie w gorączce.

Ale człowiek mówił bez przerwy. Księdzu przyszło na myśl źródło naftowe, na które poszukiwacze natrafili niedaleko Concepción. Teren widocznie nie był na tyle dobry, żeby warto go było eksploatować, ale przez czterdzieści osiem godzin widać było na tle nieba czarną fontannę tryskającą z bagnistej, bezużytecznej ziemi i marnujące się jakieś dwieście tysięcy litrów na godzinę. Było to jak zmysł religijny człowieka, wybuchający nagle w górę w postaci czarnej kolumny złości i nieczystości, płynących na marne.

— Mam księdzu powiedzieć co ja zrobiłem? Księżda obo-

wiązek słuchać tego. Brałem pieniądze od kobiet, żeby robić, ksiądz wie co, i dawałem pieniądze chłopcom...

— Nie chcę tego słuchać.

— To księdza obowiązek.

— Jesteście w błędzie.

— O nie, ja mam rację. Ksiądz mnie nie nabierze. Niech ksiądz słucha. Dawałem pieniądze chłopcom... ksiądz wie, o co mi chodzi. I jadłem mięso w piątki. — Okropna mieszanina rzeczy ordynarnych, trywialnych i groteskowych strzelała spomiędzy dwóch żółtych kłów, a ręka obejmująca kostkę księdza trzęsa się i trzęsa od febry. — Kłamałem, nie pościłem w czasie Wielkiego Postu nie wiem od ilu lat. Kiedyś miałem dwie kobiety... powiem księdzu co zrobiłem... — Miał ogromne poczucie własnej ważności: nie był zdolny do wyobrażenia sobie świata w którym miałby tylko typową rolę; świata zdradliwego, gwałtownego i pożądanego, w którym jego bezwstyd był nic nie znaczącym drobiazgiem. Jakże często ksiądz słyszał to samo na spowiedzi. Ludzie byli tak ograniczeni: brakło im pomysowości nawet na wynalezienie jakiegoś nowego występku; tyle i zwierzęta wiedziały. To za ten świat umarł Chrystus. Im więcej zła się widziało i słyszało koło siebie, tym większa chwała łączyła się z tą śmiercią. Zginąć za to, co dobre czy piękne — za dom, dzieci, lub cywilizację — to było bardzo łatwe. Ale tylko Bóg mógł się zdobyć na śmierć za ludzi letnich i zepsutych. Spytał: — Czemu mi to wszystko mówicie?

Tamten leżał wyczerpany i milczał. Zaczynał ociekać potem, jego ręka rozluźniła uchwyt na kostce księdza. Ksiądz pchnął drzwi i wyszedł na zewnątrz. Panowała zupełna ciemność. Jak znaleźć muła? Stał nad słuchując. Coś wyło i to niezbyt daleko. Bał się. Za nim w szafasie paliła się świeca i dochodził stamtąd jakiś dziwny, burzący odgłos: metys płakał. Znów przyszedł mu na myśl teren naftowy, małe czarne kałuże i bańki wydymające się powoli, pękające i znów zaczynające się wydymać.

Ksiądz zaśwycił zapalną i szedł prosto przed siebie: jeden, dwa, trzy kroki i... wpadł na drzewo. W tej nieprzeniknionej ciemności zapalka nie miała większego znaczenia niż robaczek świętojański. Szepnął: — Mula, mula. — Bał się krzyknąć, żeby metys go nie usłyszał. Poza tym

było mało prawdopodobne, żeby głupie zwierzę dało mu jakąś odpowiedź. Nienawidził je: kołyszącą się głowę, spłaszczoną jak mandarynka, żujący, łapczywy pysk, zapach krwi i odchodów. Zaświecił drugą zapałkę i zaczął znów iść: po paru krokach znowu natrafił na drzewo. Z szałasów wciąż wydobywały się bulgoczące dźwięki. Musi dostać się do Carmen i wyjechać stamtąd, zanim ten człowiek będzie miał możliwość skomunikować się z policją. Zaczął znów przemierzać polankę: raz, dwa, trzy, cztery i... drzewo. Coś poruszyło się pod jego nogą i pomyślał o skorpionach. Raz, dwa, trzy... i nagle dobiegł go z ciemności groteskowy ryk muła; był głodny, lub może węszył jakieś zwierzę.

Muł był spętany kilka metrów za szałasem. Światło świecy znikło z oczu. Zapałki kończyły mu się, ale po dwóch dalszych próbach znalazł muła. Mieszaniec rozsiadł go i ukrył siodło. Ksiądz nie mógł tracić więcej czasu na szukanie. Wsiadł na muła i wtedy zrozumiał, że niemożliwością jest zrobienie jednego kroku bez założenia mułowi na szyję kawałka sznura. Próbował ciągnąć go za uszy, ale nie było w nich więcej czucia niż w klamkach od drzwi. Stał nieruchomo jak konny posąg. Ksiądz zaświecił zapałkę i przyłożył płomień do boku muła, który nagle wyrzucił w górę tylne kopyta, tak że ksiądz upuścił zapałkę. Muł znów stanął bez ruchu, ze zwieszonym posępnie łbem i wielkim przedpotopowym zadem. Głos odezwał się oskarżająco: — Ksiądz zostawia mnie tutaj, żebyśmy zginął.

— Nonsens — powiedział ksiądz. — Śpieszy mi się. Będziecie się dobrze czuli rano, ale ja nie mogę czekać na was.

W ciemności dało się słyszeć jakieś szamotanie. Ksiądz poczuł rękę, która chwyciła go za bosą nogę. — Niech mnie ksiądz nie zostawia samego — mówił głos. — Błagam księdza jako... chrześcijanin.

— Nic wam się tu nie stanie.

— Skąd można mieć pewność, skoro *gringo* gdzieś tu się włóczy?

— Nie wiem nic o *gringo*. Nie spotkałem nikogo, kto go widział. Poza tym, on jest tylko takim samym człowiekiem...



— Nie chcę być sam. Mam przecucie...

— Niech będzie — rzekł ksiądz ze znużeniem — poszukajcie siodła.

Gdy osiodłali muła, wyruszyli w dalszą drogę. *Mestizo* znów trzymał za strzemień. Milczeli. Co pewien czas mieszaniec potykał się. Zaczynał się szary, fałszywy świt. Mała iskra okrutnej satysfakcji żarzyła się gdzieś na dnie umysłu księdza: to był Judasz chory i chwiejny i przerażony w ciemności. Wystarczyłoby tylko przyspieszyć muła uderzeniem, żeby zostawić go samego w lesie. W pewnej chwili wbił koniec swego kija i zmusił muła do mozolnego klusa, ale poczuł szarpnięcie: ręka metysa szarpała za strzemień, hamując go. Usłyszał jęk który brzmiał jak: „O Matko Boska”. Pozwolił mułowi zwolnić kroku. Modlił się w milczeniu: „Boże zmiłuj się nade mną”. Chrystus umarł także i za tego człowieka. Jakże więc mógł sądzić że ze swą pychą i żądzą i tchórzostwem był bardziej godzien tej śmierci niż ów mieszaniec? Ten człowiek zamierzał zdradzić go za pieniądze, które były mu potrzebne, a on sam za co zdradził Boga? Nawet nie za prawdziwą namiętność. Spytał: — Złe się czujecie? — Nie było odpowiedzi. Zsiadł z muła i powiedział: — Siadajcie. Ja się przejdę kawałek na piechotę.

— Nic mi nie jest — odparł metys głosem, w którym brzmiała nienawiść.

— Lepiej wsiąśćcie.

— Księdzu się zdaje, że jest bardzo szlachetny. Że pomaga swoim nieprzyjaciołom. To po chrześcijańsku, nieprawda?

— Czy wy jesteście moim nieprzyjacielem?

— Ksiądz tak myśli. Ksiądz myśli, że ja lecę na siedemset pezów. Tyle wynosi nagroda. Ksiądz myśli, że biednego człowieka jak ja nie stać na to, żeby nie donieść policji...

— Bredzicie w gorączce.

Tamten odpowiedział chorym głosem, z którego przebijała chytrność: — Oczywiście ksiądz ma rację.

— Radzę wam wsiąść. — Metys omal nie upadł. Ksiądz musiał go podeprzeć. Zwieszał się bezwładnie z muła, z ustami prawie na wysokości ust księdza, który czuł na twarzy jego nieprzyjemny oddech. Metys odezwał się: — Ubogi człowiek nie ma wyboru, proszę księdza. Gdy-

bym był bogatym człowiekiem... tylko trochę bogatym... byłbym dobry.

Nagle, bez żadnego powodu, przyszły księdzu na myśl Dzieci Marii objadające się ciastkami. Zachichotał i rzekł:

— Wątpię... Gdyby to miała być dobroć...

— Co ksiądz powiedział? Ksiądz mi nie ufa — mówił dalej powoli — a że jestem biedny i że ksiądz mi nie ufa... — Opadł na kulę siodła trzęsąc się i oddychając ciężko. Ksiądz podtrzymywał go jedną ręką i powoli posuwali się w stronę Carmen. To nie miało sensu: nie mógł tam się teraz zatrzymać. Nie byłoby rzeczą wskazaną nawet wchodzić do wsi. Bo jeśli to się rozniesie, ktoś przypłaci życiem: wezmą zakładnika. Gdzieś daleko zapał kogut. Z gąbczastego gruntu podniosła się mgła na wysokość kolan. Pomyślał o wybuchach magnezji pomiędzy stołami na kozłach, wśród gołych ścian sali parafialnej. O której godzinie piał koguty? Jednym z najdziwniejszych fenomenów na świecie dzisiaj był zupełny brak zegarów. Można było chodzić cały rok i nie słyszeć jak zegar bije. Zegary były związane z kościołami. Zostały więc tylko szare, powolne świtanie i śpiesznie zapadające noce jako jedyna miara czasu.

Zwieszający się z siodła mieszaniec powoli stał się widoczny. Żółte kły sterczały z otwartych ust. Ksiądz pomyślał, że ten człowiek rzeczywiście zasługiwał na swą nagrodę: siedemset pezów to nie było znów tak wiele, ale przypuszczalnie mógł żyć za to przez cały rok w tej zakurzonej, beznadziejnej wsi. Znów zachichotał. Nigdy nie potrafił brać powikłań losu zupełnie na serio. A było rzeczą całkiem możliwą, myślał, że rok bez kłopotów może ocalić duszę tego człowieka. Wystarczyło tylko spojrzeć na odwrotną stronę każdej sytuacji, żeby natychmiast wyłoniły się te drobne, absurdalne, sprzeczności. Uległ kiedyś rozpaczycy... a powstała z tego ludzka dusza i miłość... nie najlepsza miłość, ale zawsze miłość. Metys rzekł nagle: — To los tak chciał. Kiedyś jasnowidz mi powiedział... nagroda...

Przytrzymał mieszańca mocno w siodle i szedł dalej. Jego stopy krwawiły, ale niedługo stwardnieją. Dziwna cisza opadła nad lasem i stopiła się we mgle nad ziemią. Noc była hałaśliwa, ale teraz wszędzie panował spokój. Było to jak zawieszenie broni, gdy działa obu stron milczą.

Można było pomyśleć, że cały świat wsłuchuje się w coś, czego nigdy przedtem nie słyszał: w pokój.

Doszły go słowa: — Książd jest tym księdzem, co?

— Tak. — Miał wrażenie jak gdyby obaj wyszli ze swoich przeciwległych okopów i spotkali się na ziemi niczyjej pomiędzy drutami, żeby zawrzeć braterstwo. Pamiętał opowiadanie z wojny europejskiej: jak podczas ostatnich lat żołnierze spotykali się czasem pod wpływem impulsu pomiędzy liniami. „Ty naprawdę jesteś Niemcem?” mogli spytać z niedowierzaniem na widok twarzy podobnej do własnej, albo „Ty jesteś Anglikiem?”

— Tak — powtórzył, a muł włókł się dalej.

Czasem w dawnych czasach gdy uczył dzieci, indiańskie dziecko o czarnych jak pastylki oczach pytało go: „Jaki też jest ten Pan Bóg?” Dawał tanią odpowiedź, przyrównując go do ojca i matki, lub może bardziej ambitnie wplątywał w to brata i siostrę, usiłując wyobrazić Go w postaci wszystkich miłości i stosunków ludzkich połączonych w ogromną, a jednak osobową namiętność... Ale centralnym punktem jego własnej wiary była przemożna tajemnica: że stworzeni jesteśmy na obraz Boży. Bóg był ojcem, ale był także policjantem, zbrodniarzem, kapłanem, szaleńcem i sędzią. Coś podobnego do Boga zwisało z szubienicy, lub skręcało się w dziwacznych pozach przed kulami na dziedzińcu więziennym, albo też przeginało się jak wielbłąd w akcie seksualnym. Siadywał w konfesjonale, wysłuchując skomplikowanych relacji o pomysłowych zbrodniach, jakie potrafił wymyślić obraz Boży. Także i teraz obraz Boży podskakiwał w górę i w dół na grzbiecie muła, a żółte zęby sterczały mu nad dolną wargą. Obraz Boży wreszcie zdobył się na ów rozpaczliwy odruch buntu dokonany z Marią w szałasie wśród szcurów. Czasem pewnie dla żołnierza pociechą jest fakt, że obie strony dokonują takich samych okrucieństw: nikt nigdy nie był sam. Spytał: — Czujecie się lepiej teraz? Nie tak zimno wam, co? Ani nie tak gorąco? — Położył rękę na ramieniu obrazu Bożego z uczuciem jakby wymuszonej tkliwości.

Człowiek milczał i tylko zsuwał się z grzbietu muła to w jedną stronę, to w drugą.

— Już nie jest dalej niż dwie ligi — powiedział książd zachęcająco. Musiał teraz się zdecydować. Miał w umyśle

jaśniejszy obraz Carmen, niż jakiegokolwiek innej wsi czy miasta w prowincji. Długa, trawiasta pochyłość rozciągała się od rzeki ku cmentarzowi na małym wzgórku wysokim może na dwadzieścia stóp, gdzie byli pochowani jego rodzice. Ściana cmentarza zawaliła się. Parę krzyży zostało połamanych przez entuzjastów. Jakiś anioł stracił jedno ze swoich skrzydeł, a nieuszkodzone jeszcze nagrobki pochylały się pod ostrym kątem w wysokiej, bagiennej trawie. Posąg Matki Boskiej stracił uszy i ramiona i stał jak jakaś pogańska Wenus nad grobem bogatego, a zapomnianego dziś handlarza drzewem. Dziwny był ten szal oszpecania, zwłaszcza że — jasna rzecz — nigdy nie dało się oszpecić dostatecznie tych obiektów. Gdyby Bóg wyglądał jak ropucha można byłoby oczyścić kulę ziemską z ropuch. Ale gdy Bóg wyglądał jak człowiek, nie wystarczało zadowolić się kamiennymi fugurami: trzeba było zabić wśród grobów siebie samego.

— Czujecie się dość mocni teraz, żeby się utrzymać? — spytał i usunął rękę. Ścieżka rozdzielała się. Jedna droga prowadziła do Carmen, druga na zachód. Wepchnął muła na drogę wiodącą do Carmen, uderzając go po zadzie. — Będziecie tam za dwie godziny — rzekł i stał patrząc jak muł idzie w stronę jego domu z donosicielem przewieszonym przez siodło.

Metys zrobił wysiłek żeby usiąść. — Dokąd ksiądz idzie?

— Jesteście moim świadkiem, że nie byłem w Carmen — powiedział ksiądz. — Ale jeśli powołacie się tam na mnie, dadzą wam jedzenie.

— Dlaczego... dlaczego... — Mieszaniec usiłował wykręcić w tył łeb muła, ale nie miał dość siły na to. Muł szedł wciąż naprzód. Ksiądz wołał za nim: — Pamiętajcie. Nie byłem w Carmen... — Ale dokąd mógł teraz pójść? Powstało w nim przeświadczenie, że było tylko jedno miejsce w całym kraju, dokąd mógł pójść bez obawy, że narazi niewinnego człowieka na wzięcie jako zakładnika. Ale nie mógł tam pójść tak ubrany... Metys trzymał się mocno kuli siodła i przewracał błagalnie żółtymi oczyma. — Przecież ksiądz mnie tu nie zostawi samego. — Ale ksiądz zostawiał za sobą na leśnej ścieżce coś więcej niż metysa. Muł stał w poprzek drogi kiwając durnym łbem,

jak bariera pomiędzy nim a jego rodzinnym miejscem. Czuł się jak człowiek bez paszportu, którego wyrzucają z każdego portu.

Mieszaniec wołał za nim: — I ksiądz nazywa siebie chrześcijaninem. — Udało mu się jakoś wyprostować. Zaczął wymyślać potokiem bezsensownych, nieprzyzwoitych słów, które niknęły w lesie jak słabe uderzenia młotka. Szepnął: — Jeśli zobaczę cię jeszcze kiedyś, nie możesz winić *mnie o to...* — Oczywiście miał wystarczający powód, żeby się złościć: stracił siedemset pezów. Krzyczał bezsilnie: — Ja nie zapominam twarzy, którą raz widziałem.

## R o z d z i a ł 2

Młodzi mężczyźni i kobiety spacerowali dookoła *plazy* w upalną, naelektryzowaną noc. Mężczyźni krążyli w jedną stronę, dziewczęta w drugą, nie odzywając się do siebie ani słowem. Na niebie, w północnej stronie, zamigotała błyskawica. Wyglądało to jak jakaś religijna uroczystość, której sens się zupełnie zatracił, ale na którą wciąż jeszcze stroili się w swoje najlepsze ubrania. Czasem grupa starszych kobiet dołączała do procesji z nieco większym podnieceniem i śmiechem, jak gdyby zachowały jeszcze pamięć o tym, czym była ta uroczystość zanim zagubiono wszystkie księgi. Człowiek z rewolwerem na biodrze spoglądał ze stopni urzędu skarbowego, a niski, wysuszony żołnierz siedział przy drzwiach więzienia z karabinem między kolanami. Cienie palm mierzyły w niego jak las szabel. W oknie dentysty paliło się światło ukazując obrotowe krzesło, poduszki z czerwonego pluszu, szklankę do płukania zębów na małym stojaku i dziecinną szafkę pełną przyrządów. Za odrutowanymi siatką oknami prywatnych domów, babcie kiwały się w przód i w tył w krzesłach na biegunach, pośród rodzinnych fotografii. Nic nie miały do roboty, nic nie miały do powiedzenia; były za ciepło ubrane i pocily się nieco. Oto było stołeczne miasto prowincji.

Człowiek w wytartym drelichu obserwował to wszystko

siedząc na ławce. Wracający do koszar oddział uzbrojonych policjantów przeszedł obok, maszerując nierówno i trzymając karabiny byle jak. Plaza była oświetlona na każdym rogu pękiem trzech żarówek, połączonych brzydkimi drutami zwisającymi nad głową. Jakiś żebrak posuwał się od ławki do ławki nigdzie nie otrzymując jałmużny.

Usiadł obok człowieka w drelichu i zaczął długą perorę. W jego zachowaniu było coś z poufałości i coś z groźby. Z każdej strony ulice biegły ku rzece, ku portowi i bagnistej równinie. Powiedział, że ma żonę i tyle dzieci, które w ciągu ostatnich paru tygodni jadły *tak* mało. Nagle przerwał i dotknął palcami ubrania tamtego. — Ile to kosztowało? — spytał.

— Zdziwilibyście się, gdybym wam powiedział jak mało.

Wtem zegar wybił pół do dziesiątej i momentalnie wszystkie światła pogasły. Żebrak zauważył: — To może człowieka doprowadzić do rozpacz. — Rozglądał się to w tę stronę, to w drugą, w miarę jak parada spacerowiczów odpływała w dół. Człowiek w drelichu wstał. Żebrak wstał także i powlókł się za nim na skraj placu kłapiąc po bruku bosymi nogami. Powiedział: — Parę pezów nic by dla pana nie znaczyło...

— Ach, gdybyście wiedzieli, ile by to dla mnie znaczyło.

Żebrak speszył się i rzekł: — Człowiek w moim położeniu czasem czuje, że za parę pezów zrobiłby wszystko. — Teraz, gdy światła pogasły w całym mieście, stali poufale w cieniu. — Czy może pan mieć mi to za złe? — zapytał.

— Nie, nie. Daleki jestem od tego.

Wszystko, co mówił, zdawało się wzmagać irytację żebraka. — Czasami czuję, że byłbym w stanie zabić... — mówił żebrak.

— To oczywiście byłby bardzo zły postępek.

— Złe bym postąpił, gdybym chwycił człowieka za gardło?...

— No, człowiek umierający z głodu ma prawo się bronić, to prawda.

Żebrak obserwował z pasją swego towarzysza, rozpra-

wiąjącego tak jak gdyby rozważał jakąś akademicką kwestię. — Oczywiście ze mną nie opłacałoby się ryzykować. Cały mój majątek na tym świecie, to dokładnie piętnaście pezów i siedemdziesiąt pięć centów. Sam nie jadłem od czterdziestu ośmiu godzin.

— Matko Święta — powiedział żebrak. — Pan jest twardy jak kamień. Czy pan jest bez serca?

Człowiek w drelichowym ubraniu nagle zachichotał. Żebrak znów odezwał się: — Pan kłamie. Dlaczego pan nie jadł... jeśli pan ma piętnaście pezów?

— Otóż widzicie, chcę wydać to na napitek.

— Co za napitek?

— Taki napitek, którego obcy przybysz nie wie gdzie w tym mieście szukać.

— Pan ma na myśli alkohol?

— Tak... wino przede wszystkim.

Żebrak podszedł bardzo blisko; jego noga dotknęła nogi tamtego. Położył mu rękę na rękawie. Ktoś mógłby pomyśleć, że są dobrymi przyjaciółmi lub nawet braćmi, stojącymi razem poufale w ciemności. Nawet światła w domach już gasły, a taksówki, które w dzień czekały w połowie wzgórza na nigdy nie zjawiających się pasażerów, rozjeżdżały się. Tylnie światło zamigotało i znikło obok koszar policji. Żebrak powiedział: — Człowieku, oto twój szczęśliwy dzień. Ile mi dasz?...

— Za napitek?

— Za zaprowadzenie cię do kogoś, kto da ci trochę wódki... prawdziwej, wyśmienitej wódki z Vera Cruz.

— Z moim gardłem, wolę jednak wino — wyjaśnił człowiek w drelichu.

— *Pulque* albo *mescal*, on ma wszystko.

— Wino?

— Wino z pigwy.

— Dam wszystko co posiadam — przysięgał tamten uroczyście i ściśle — to znaczy wszystko z wyjątkiem centów, za trochę prawdziwego, autentycznego wina z winogron. — Gdzieś u stóp wzgórza, nad rzeką bił bęben: raz-dwa, raz-dwa; i słychać było nierówny odgłos maszerujących stóp. Żołnierze, albo policjanci, szli na spoczynek do koszar.

— Ile?



— No, dam wam piętnaście pezów, a wy przyniesiecie mi wino za tyle pieniędzy, ile zechcecie wydać.

— Chodź ze mną.

Zaczęli schodzić ze wzgórza. Na rogu, w miejscu gdzie jedna ulica szła w górę w kierunku koszar obok apteki, a druga w dół do hotelu, wybrzeża i magazynu *United Banana Company*, człowiek w drelichu zatrzymał się. Maszerowali tam policjanci z luźno zawieszonymi karabinami. — Czekaście chwilę. — Wśród policjantów szedł metys o dwóch zwierzęcych kłach wystających nad wargą. Człowiek w drelichu patrzył za nim dopóki nie przeszedł. W pewnej chwili metys odwrócił głowę i oczy ich się spotkały. Potem policjanci przeszli obok i wyszli na plac. — Chodźmy. Prędko.

— Nie będą nas zaczepiać. Polują na grubszą zwierzynę — powiedział żebrak.

— Jak myślicie, co ten człowiek robił z nimi?

— Któż to wie? Może zakładnik.

— Gdyby był zakładnikiem, związałyby mu ręce, nieprawdaż?

— Skąd ja mogę wiedzieć? — Miał wojowniczą niezależność, jaką spotyka się w krajach, gdzie żebranie jest prawem biednego. Dodał: — Chcesz spirytusu czy nie?

— Chcę wina.

— Nie wiem co akurat ma. Musisz wziąć, co się nadarzy.

Prowadził go w stronę rzeki. Zauważył jeszcze: — Nie wiem nawet, czy jest w mieście. — Żuki wysypywały się chmarami i pokrywały bruk. Pękały pod stopami jak purchawki. Od rzeki dochodził skisły zapach gnijących roślin. Białe popiersie jakiegoś generała błyszczało w malutkim parku składającym się z rozpalonych chodników i kurzu. Elektryczne dynamo pulsowało na parterze jedyne hotelu. Szerokie, drewniane schody rojące się od żuków wiodły na pierwsze piętro. — Zrobiłem co mogłem — stwierdził żebrak. — Nikt nie mógłby zrobić więcej.

Na pierwszym piętrze z jakiegoś pokoju wyszedł mężczyzna ubrany we frakowe ciemne spodnie i białą obcisłą kamizelkę. Przez ramię miał przewieszony ręcznik. Miał krótką szpakowatą, arystokratyczną bródkę i nosił zarówno szelki jak i pasek. Gdzieś w oddali bulgotała rura,

a żuki rozbijały się o gołą żarówkę. Zebrak mówił coś nalegającym tonem. Raz w czasie rozmowy światło całkiem zgasło, a potem znów zamigotało, lecz niedość jasno. Wyłot schodów na górnym piętrze był zawalony plecionymi krzesłami na biegunach, a na dużej tabliczce wypisane były kredą nazwiska gości, trzy tylko na dwadzieścia pokoi.

Zebrak zwrócił się na powrót do swego towarzysza. Tego pana nie ma w hotelu — powiedział. — Dyrektor tak mówi. Czy poczekamy na niego?

— Czas nie odgrywa dla mnie roli.

Weszli do dużej, skąpo umeblowanej sypialni z kaflową posadzką. Małe, czarne, żelazne łóżko wyglądało jak rzecz pozostawiona przez kogoś przypadkiem przy wyprowadzaniu się. Usiedli na nim obok siebie i czekali, a przez dziury w drucianej moskitierze wpadały żuki. — To bardzo ważny człowiek — mówił Zebrak. — To kuzyn gubernatora. On może wszystko załatwić, absolutnie wszystko. Ale oczywiście trzeba być przedstawionym przez kogoś, komu ufa.

— A wam ufa?

— Kiedyś pracowałem u niego. Musi mi ufać — dodał szczerze.

— Czy gubernator wie o tym?

— Oczywiście że nie. Gubernator to surowy człowiek. Od czasu do czasu słychać było bulgot rur wodociągowych.

— A dlaczegóż miałby ufać mnie?

— Ach, każdy może poznać amatora alkoholu. Pan przyjdzie znowu po więcej. On sprzedaje dobre gatunki. Lepiej niech pan mi da piętnaście pezów. — Przeliczył je starannie dwa razy, po czym powiedział: — Dostanę dla pana butelkę najlepszej wódki Vera Cruz. Zobaczysz czy nie dostanę. Światło zgasło i siedzieli w ciemności. Łóżko zaskrzypiało, gdy jeden z nich się poruszył.

— Nie chcę wódki — odezwał się głos. — W każdym razie... niezbyt dużo.

— Więc co pan chce?

— Powiedziałem wam: wina.

— Wino drogie.

— Nic nie szkodzi. Chcę wina, albo w ogóle nic.

— Wina z pigwy?

- Nie, nie. Francuskiego wina.
- Czasem ma kalifornijskie wino.
- Też może być.
- Oczywiście on sam dostaje je za darmo. Od celników.

Na dole zaczęło znów pulsować dynamo i światło mgliste zabłysło. Drzwi otwarły się i dyrektor skinął na żebraka. Nastąpiła długa rozmowa. Człowiek w drelichu oparł się o łóżko. Jego podbródek był w paru miejscach pocięty wskutek zbyt dokładnego golenia. Twarz miał wpadniętą i niezdrową, sprawiającą wrażenie, że kiedyś był pulchny i okrągły, ale wychudł. Wyglądał na człowieka interesów, który przechodzi ciężki okres.

Żebrak wrócił i powiedział: — Ten pan jest zajęty, ale zaraz wróci. Dyrektor posłał po niego chłopaka.

— Gdzie on jest?

— Nie można mu przeszkadzać. Gra w bilard z naczelnikiem policji. Podeszedł z powrotem do łóżka, rozgniatając dwa żuki bosą stopą. — To jest pierwszorzędny hotel — dodał. — A gdzie pan się zatrzymał. Pan jest tu obcy, nieprawdaż?

— Och, ja tylko przejeżdżam.

— Ten pan jest bardzo wpływowy. Byłoby dobrze zafundować mu kieliszek. Przecież nie weźmie pan chyba wszystkiego ze sobą. Może pan równie dobrze pić tu, jak gdzie indziej.

— Chciałbym zachować trochę... i wziąć ze sobą do domu.

— To wszystko jedno. Ja mówię, że dom jest tam, gdzie jest krzesło i szklanka.

— A jednak... — Światło znowu zgasło, a na horyzoncie błyskawica wydeła się jak kurtyna. Przez moskitierę doszedł odgłos niedalekiego grzmotu, podobny do hałasu jaki się słyszy z drugiego końca miasta podczas niedzielnej walki byków.

— Czym się pan zajmuje? — spytał poufnie żebrak.

— Och, chwytam, co się da i gdzie się da.

Siedzieli razem w milczeniu, wsłuchani w odgłos kroków na drewnianych schodach. Drzwi otworzyły się, ale nie mogli nic dojrzeć. Jakiś głos zaklął z rezygnacją i spytał: — Kto tu jest? — Następnie rozbłysła zapałka, uka-

zała wielką, siną szczękę i zgasła. Dynamo zaczęło pracować i światło znów się zapaliło. Przybysz odezwał się znużonym głosem: — Ach, to wy.

— To ja.

Był to niski mężczyzna o zbyt wielkiej, rozlazłej twarzy, ubrany w obcisły, popielaty garnitur. Kamizelkę rozpiął mu zatknięty pod nią rewolwer. Powiedział: — Nie mam nic dla was. Nic.

Zebrak przemierzył pokój i zaczął usilnie nalegać na niego mówiąc bardzo cicho. W pewnej chwili łagodnie ścisnął palcami bosej stopy wyczyszczony do połysku but tamtego. Mężczyzna westchnął, wydał policzki i obserwował uważnie łóżko, jakby się obawiał, że zamierzają je ukraść. Zwrócił się ostro do człowieka w drelichowym ubraniu: — A więc wy chcecie wódki Vera Cruz, proszę, proszę! To jest nielegalne.

— Nie chcę wódki. Nie o wódkę mi chodzi.

— Piwo wam nie wystarczy?

Kapryśnie i rozkazująco stanął na środku pokoju, trzeszcząc bucikami na posadzce: on, kuzyn gubernatora. — Mógłbym kazać was aresztować — groził.

Człowiek w drelichu skurczył się w formalnym ukłonie i rzekł: — Oczywiście, ekscelencjo...

— Czy myślicie, że nie mam nic lepszego do roboty niż gasić pragnienie każdego żebraka, któremu się spodoba?...

— Nigdy nie ośmieliłbym się trudzić ekscelencji, gdyby ten człowiek nie...

Kuzyn gubernatora splunął na posadzkę.

— Ale jeśli ekscelencja woli, żebym sobie poszedł...

Tamten powiedział ostro: — Mam miękkie serce. Zawsze staram się dobrze czynić bliźnim... jeśli tylko to jest w mojej mocy i nie jest szkodliwe. Mam stanowisko, rozumiecie. Te trunki znalazły się w moim posiadaniu całkiem legalnie.

— Oczywiście.

— I muszę zażądać od was zwrotu kosztów.

— Oczywiście.

— W przeciwnym razie byłbym zrujnowany. — Delikatnie, jakby uwierały go buty, podszedł do łóżka i zaczął je rozbierać. — Jesteście dyskretni? — spytał przez ramię.

— Potrafię dotrzymać sekretu.

— Jeszcze nie. Może trzech, czy czterech. No, resztką piwa idzie. *Salud!* — Odłożył kieliszek z żalem. — Może teraz mógłbym napić się trochę waszej... powiedzmy lemoniady?

— Tak. Oczywiście.

— Czy myśmy się kiedyś przedtem spotkali? Wasza twarz jakoś...

— Nie wydaje mi się, bym miał ten zaszczyt.

— Oto inna tajemnica — powiedział *jefe*, wyciągając długą, tłustą nogę i łagodnie spychając żebraka na skraj łóżka: — Jak się człowiekowi wydaje, że widział już przedtem niektórych ludzi i miejsca. Czy to było we śnie, czy w przeszłym życiu? Kiedyś słyszałem jak jeden doktor tłumaczył, że jest to sprawa akomodacji wizji. Ale to był yankeś a więc materialista.

— Pamiętam jak kiedyś... — zaczął kuzyn gubernatora. Błyskawica strzeliła nad portem i piorun uderzył na dachu. To była atmosfera całego kraju: burza na zewnątrz i leniwie ciągnąca się rozmowa. Słowa takie jak „tajemnica”, „dusza” i „źródło życia” powtarzały się ustawicznie gdy siedzieli na łóżku rozmawiając i nie mieli nic do roboty, nic, w co by mogli wierzyć, nie mieli gdzie pójść.

Człowiek w drelichu rzekł: — Wydaje mi się, że może lepiej pójść.

— Dokąd?

— Och... do przyjaciół — powiedział wymijająco, zakreślając szeroko rękami cały świat fikcyjnych przyjaciół.

— No to chyba weźcie wasz trunek z sobą — powiedział kuzyn gubernatora. — Ostatecznie zapłaciliście za niego — przyznał.

— Dziękuję, ekscelencjo. — Podniósł butelkę wódki. Zostało w niej płynu może na trzy palce. Butelka od wina była oczywiście całkiem pusta.

— Schowajcie ją, schowajcie ją, człowieku — powiedział żywo kuzyn gubernatora.

— Och, oczywiście, ekscelencjo, będę ostrożny.

— Nie potrzebujecie nazywać go ekscelencją — powiedział *jefe*. Ryknął śmiechem i zrzucił żebraka z łóżka na podłogę.

— Nie, nie, to znaczy... — Ostrożnie wysunął się z pokoju ze śladami łez pod czerwonymi, napuchniętymi powie-

kami. Z hallu usłyszał, że rozmowa potoczyła się dalej. „Tajemnica”, „dusza” i tym podobne słowa płynęły znowu, bez końca i celu.

Żuki poznikały; widocznie zmył je deszcz spływający pionowo w dół z regularnym natężeniem, jakby wbijając gwoździe w wieko trumny. Ale powietrze nie było czystsze. Ubranie przesiąknięte było zarówno potem i deszczem. Ksiądz stał parę sekund w bramie hotelu. Z tyłu głucho warczało dynamo. Potem przebiegł kilka metrów do następnej bramy i przystanął, spoglądając poprzez popiersie generała na przywiązane żagłówki i starą barkę z kominem. Nie wiedział dokąd iść. W swoich planach nie uwzględnił deszczu: myślał, że będzie mógł się gdzieś zaczepić i przespać na ławce, albo nad rzeką.

Kilku żołnierzy szło ulicą w stronę wybrzeża kłócąc się o coś gwałtownie. Nie zwracali uwagi na deszcz, jakby go nie czuli, jak gdyby wszystko w ogóle było tak złe, że deszcz był drobiazgiem, którego nawet nie można było zauważyć... Ksiądz pchnął drewniane drzwi, przy których stał — były to drzwi *cantiny*, sięgające mu tylko do kolan — i wszedł uciekając przed deszczem. Zobaczył sterty butelek z napojami gazowymi i jeden stół bilardowy. Wyniki gry zaznaczono pierścieniami na sznurku. Było tam trzech czy czterech ludzi; ktoś położył kaburę rewolweru na kontuarze. Ksiądz szedł zbyt szybko i potracił łokcie człowieka, który właśnie miał zagrać. Tamten odwrócił się z wściekłością: „Matko święta”... To był Czerwona Koszuła. Czy człowiek nigdzie, nawet na chwilę, nie był bezpieczny?

Ksiądz przeproszał pokornie, wycofując się bokiem w kierunku drzwi, ale znów zbyt szybko; zaczepił kieszenią o ścianę i butelka z wódką brzękła. Trzy czy cztery złośliwe twarze patrzyły na niego z ubawieniem.

To był obcy, więc się zabawią jego kosztem. — Co tam macie w kieszeni — spytał Czerwona Koszuła. Był to młodzieniec nie mający jeszcze dwudziestu lat, o złotych zębach i drwiących, zarozumiałych ustach.

— Lemoniadę — odparł ksiądz.

— Po co nosicie z sobą lemoniadę?

— Popijam nią wieczorem... chininę.

Czerwona Koszula nadał się i trącił jego kieszeń grubszym końcem kija bilardowego. — Lemoniada, tak?

— Tak, lemoniada.

— Zobaczmy tę lemoniadę. — Obrócił się z pychą do innych i powiedział: — Ja wywącham przemytnika na dziesięć kroków. — Wsadził rękę do kieszeni księdza i wyciągnął butelkę z wódką. — Proszę — powiedział. — Nie mówiłem... — Ksiądz rzucił się do drzwi i wybiegł na deszcz. Jakiś głos krzyknął: — Łapaj go. — Bawili się za wszystkie czasy.

Biegł ulicą pod górę w stronę rynku, skręcił w lewo, a potem w prawo. Miał szczęście że na ulicach było ciemno, a księżyc był za chmurami. Trzymając się z dala od oświetlonych okien był prawie niewidoczny. Słyszał jak się nawoływali. Nie ustawali w pościgu; było to lepsze niż bilard. Gdzieś ktoś zagwizdał; policja dołączyła do zabawy.

W tym to mieście chciał się urządzać gdyby opuszczał Concepcjón, pozostawiając tam długi godne księdza. Gdy tak skręcał to w tę, to w tamtą stronę, myślał o katedrze, o Montezie i o kanoniku, którego kiedyś znał. Coś ukrytego bardzo głęboko, chęć ucieczki, ukazała mu na chwilę przeraźliwy komizm całej sytuacji. Zachichotał, odetchnął głęboko i znów zachichotał. Słyszał jak się nawoływali i pogwizdywali w ciemności. Deszcz wciąż padał, spływał i chlupotał o cementową posadzkę bezużytecznego frontonu, który kiedyś był częścią katedry. Było zbyt gorąco żeby grać w piłkę; na krawędzi stało kilka żelaznych huśtawek przypominających szubienice. Biegł na powrót w dół; miał pewien plan.

Krzyki zbliżyły się; od strony rzeki nadchodziła nowa grupa ludzi, którzy prowadzili pościg metodycznie. Z ich wolnego poruszania się mógł odgadnąć, że byli to policjanci; oficjalni myśliwi. Znajdował się więc pomiędzy dwiema grupami: amatorów i zawodowców. Ale drzwi były znajome; pchnął je, szybko wszedł na patio i zamknął za sobą.

Stał w ciemności i oddychał ciężko, nasłuchując zbliżających się ulicą kroków; deszcz wciąż padał. Wtem zorien-

tował się, że ktoś obserwował go z okna; mała, ciemna, uwiedła twarz, podobna do zasuszonych głów, kupowanych przez turystów. Zbliżył się do kraty i spytał: — Padre José?

— To tam. — Druga twarz ukazała się za plecami tamtego, niepewnie oświetlona płomieniami świecy, potem trzecia. Twarze wyskakiwały niczym grzyby po deszczu. Mógł wyczuć jak go obserwowano, gdy szedł z chlupotem poprzez patio i uderzył w drzwi.

Upłynęło parę sekund zanim rozpoznał Padre José. Był w absurdalnej, wydymającej się koszuli, w rękę trzymał lampę. Ostatni raz widział go na konferencji, gdy siedział w ostatnim rzędzie, gryząc paznokcie i obawiał się, że ktoś go może zauważyć. Bał się zupełnie niepotrzebnie. Nikt z zajętych ważnymi sprawami katedralnych księży nie znał nawet jego nazwiska. Dziwnie było pomyśleć, że teraz zdobył swoistą sławę, większą niż oni. — José — odezwał się łagodnie, mrugając na niego z pluskającej ciemności.

— Kim pan jest?

— Książd mnie nie pamięta? Oczywiście to było wiele lat temu.. nie pamięta książd konferencji w katedrze?...

— O Boże — powiedział Padre José.

— Szukają mnie. Myślałem że może książd mógłby... tylko na tę noc...

— Idźcie stąd — rzekł Padre José — idźcie stąd.

— Oni nie wiedzą, kim jestem. Myślą, że jestem przemytnikiem... ale w komisariacie poznają.

— Nie mówcie tak głośno. Moja żona...

— Niech mi książd tylko wskaże jakiś kącik — szepnął. Zaczął znów odczuwać strach. Przypuszczalnie wódka przestawała działać. W tym gorącym, wilgotnym klimacie było niemożliwe być długo pijanym: alkohol przenikał na zewnątrz pod pachami, spływał z czoła. A może po prostu wracało do niego pragnienie życia, powracające co jakiś czas, byle jakiego życia.

W świetle lampy twarz Padre José miała wyraz nienawiści. Spytał: — Dlaczego przyszliście do mnie? Dlaczego myślicie że...? Jeśli nie pójdziecie sobie, to zawołam policję. Wiecie co za człowiek ze mnie.

Prosił łagodnie: — Jesteś dobrym człowiekiem, José. Zawsze to wiedziałem.



— Jeśli nie pójdziecie, będę krzyczał.

Starał się przypomnieć sobie z jakiego powodu tamten mógł go nienawidzić. Z ulicy dochodziły głosy; jakieś kłótnie, pukanie. Czyżby przetrząsali domy? Powiedział: — Jeśli kiedyś obraziłem cię, José, wybac mi. Byłem zarozumiały, pyszny, wyniosły, w ogóle byłem złym księdzem. W swoim sercu zawsze wiedziałem, że ty jesteś lepszym człowiekiem ode mnie.

— Idźcie — pisał José — idźcie sobie. Nie potrzeba mi tu męczenników. Ja już nie należę do was. Zostawcie mnie w spokoju. Dobrze mi tak jak jest. — Usiłował zebrać swój jad w ślinę i splunął słabo w twarz tamtemu. Nawet go nie dosięgnął: ślina opadła bezwładnie w powietrzu. Dodał: — Idźcie i zgińcie prędko. To najlepsza rzecz jaką możecie zrobić. — Zatrzaskał drzwi. W tej samej chwili otworzyły się drzwi patio i weszli policjanci. Na mgnienie oka dojrzał Padre José spoglądającego przez okno; zaraz ogarnęła go ogromna postać w białej koszuli nocnej i odciągnęła stamtąd: niby opiekuńczy duch zmiotła go z pola okropnych ludzkich walk. Jakiś głos odezwał się: — To on. — Był to młody człowiek — Czerwona Koszuła. Ksiądz rozwarł dłoń i upuścił kulkę papieru pod ścianą domu Padre José. Było to jak ostateczna rezygnacja z całej przeszłości.

Wiedział, że był to początek końca; po tylu latach. Gdy wyjmowali mu z kieszeni butelkę z wódką zaczął odmawiać w myśli akt żalu, ale nie mógł się skupić. Na tym polegał fałsz skruchy na łożu śmierci: pokuta była owocem długiej zaprawy i dyscypliny; sam strach tu nie wystarczał. Usiłował myśleć o swoim dziecku ze wstydem, ale mógł tylko myśleć o niej z czymś w rodzaju zagłodzonej miłości: co się z nią stanie? A sam grzech był tak dawny, że brzydota wyblakła niczym staroświecki obraz i pozostawiła po sobie coś na kształt wdzięku. Czerwona Koszuła rozbił butelkę o bruk i dokoła nich rozszedł się zapach spirytusu, niezbyt mocny, bo w butelce nie było wiele.

Potem zabrali go z sobą. Teraz, kiedy go już złapali, odnosili się do niego przyjaźnie i — z wyjątkiem Czerwonej Koszuli, któremu zepsuł ruch bilardowy — żartowali z jego usiłowanej ucieczki. Nie mógł znaleźć żadnej odpowiedzi na ich dowcipy. Instynkt samozachowawczy prze-

szywał mu mózg jak jakaś przerażająca obsesja. Kiedy odkryją kim był rzeczywiście? Kiedy spotka metysa, albo porucznika, który go już przesłuchiwał? Szli powoli, gromadą, w górę, na rynek. Przed wejściem do koszar kolba jakiegoś karabinu uderzyła o ziemię. Mała lampka kopciała przy brudnej, bielonej ścianie. Na dziedzińcu kiwały się hamaki, okręcone wokół śpiących ciał jak siatki, w które wiąże się drób.

— Możecie usiąść — powiedział jeden z policjantów i popchnął go przyjaznym ruchem w stronę ławki. Wszystko teraz wydawało się nieodwołalne. Wartownik chodził w jedną i w drugą stronę przed drzwiami, a na dziedzińcu wśród hamaków słychać było nieprzerwany pomruk snu.

Ktoś odezwał się do niego. Gapił się bezradnie. — Co? — Policjanci i Czerwona Koszuła zdawali się spierać o to, czy kogoś należy obudzić. — Ależ to jego obowiązek, powtarzał Czerwona Koszuła. Miał przednie zęby jak królik. — Donoszę o tym gubernatorowi — dodał.

— Przyznajecie się do winy, nieprawdaż — zapytał jakiś policjant.

— Tak — powiedział ksiądz.

— Proszę. Czego więcej wam trzeba? Za to jest kara pięć pezów. Po co kogoś budzić.

— A kto weźmie sobie te pięć pezów, co?

— To nie wasza sprawa.

Ksiądz odezwał się nagle: — Nikt ich nie weźmie.

— Nikt?

— Wszystko, co mam, to dwadzieścia pięć centów.

Drzwi pokoju w głębi otworzyły się i wyszedł porucznik. Zapytał: — O co na Boga jest ten cały hałas?... — Policjanci stanęli nierówno i niechętnie na baczność.

— Złapałem człowieka, który miał przy sobie alkohol — odpowiedział Czerwona Koszuła.

Ksiądz siedział z oczyma spuszczoneymi na ziemię... „dlatego że ukrzyżowały... ukrzyżowały... ukrzyżowały...” Zal utknął beznadziejnie na słowach formułki. Nie odczuwał nic poza strachem.

— A więc — spytał porucznik — co to was obchodzi? Łapiemy ich na tuziny.

— Czy mamy go wprowadzić? — spytał jeden z policjantów.

Porucznik rzucił okiem na skuloną, służalczą postać na ławce. — Wstańcie — rzekł, Ksiądz powstał. Teraz, myślał, teraz... podniósł oczy. Porucznik spoglądał gdzie indziej, na zewnątrz, gdzie niezgrabnie laził wartownik to w jedną stronę, to w drugą. Na ciemnej, stężalej twarzy porucznika rysował się niepokój i zmęczenie...

— On nie ma pieniędzy — powiedział jeden z policjantów.

— Matko Boska — zachnął się porucznik — czy nigdy was nie nauczę?... — Przeszedł dwa kroki w kierunku wartownika i rzekł: — Zrewidujcie go. Jeśli nie ma pieniędzy, wsadźcie go do celi. Dajcie mu jakąś pracę... — Wyszedł na zewnątrz i w pewnej chwili podniósłszy otwartą dłoń, uderzył wartownika w ucho. Powiedział: — Wy śpicie. Maszerujcie tak, jak byście mieli nieco dumy... dumy — powtórzył. Przy białej ścianie kopciła mała acetylenowa lampa, a z dziedzińca dochodził zapach moczu. Policjanci leżeli w hamakach okręcenii siatką i bezpieczni.

— Mamy zapisać jego nazwisko? — spytał sierżant.

— Tak, oczywiście — powiedział porucznik, nie patrząc na niego; szybkim i nerwowym krokiem przeszedł obok lampy z powrotem na dziedziniec. Stał tam z odkrytą głową i rozglądał się; deszcz padał na jego elegancki mundur. Wyglądał na człowieka, któremu coś bardzo leży na sercu; jak gdyby znajdował się pod wpływem jakiejś utajonej pasji, która przerwała rutynę jego życia. Wrócił do izby. Nie mógł chwili ustać spokojnie.

Sierżant wepchnął księdza do pokoju w głębi. Na ścianie, z której płatami odpadało wapno wisiał jaskrawy, firmowy kalendarz; metyska o ciemnej skórze, w kostiumie kąpielowym, reklamowała jakiś napój gazowy. Ktoś napisał ołówkiem, zgrabnym, kaligraficznym pismem łatwy, zrozumiały napis, że człowiek nie ma nic do stracenia, jak tylko kajdany.

— Nazwisko? — spytał sierżant. Zanim zdążył się zastanowić odpowiedział: — Montez.

— Skąd?

Wymienił pierwszą lepszą wioskę. Zaabsorbowała go jego własna fotografia. Siedział na niej wśród nakrochmalonych, białych sukienek dziewcząt, które przystąpiły do pierwszej Komunii. Ktoś zakreślił kółko wokół jego twarzy,

żeby ją wyodrębnić. Na ścianie była także inna podobizna: yankesa z San Antonio, w Texas, poszukiwanego za morderstwo i rabunek banku.

— Przypuszczam — mówił ostrożnie sierżant — że kupiliście trunek od kogoś obcego...

— Tak.

— Którego nie moglibyście poznać?

— Nie.

— To rozumiem — rzekł z aprobatą sierżant. Jasne było, że nie chciał wszczynać sprawy. Wziął księdza całkiem poufale pod ramię, wyprowadził na zewnątrz i dalej przez podwórze. Niósł ze sobą wielki klucz, podobny do tych, jakich używano jako symbol w biblijnych sztukach i bajkach. Kilku ludzi poruszyło się w hamakach: wielka, nieogolona szczeka zwisiała z jednej strony jak niesprzedane resztki na kontuarze u rzeźnika; wielkie, rozdarte ucho; nagie udo, pokryte ciemnym włosiem. Zastanawiał się, kiedy też ukaże się twarz metysa, uradowanego, że go poznał.

Sierżant otworzył małe, zakratowane drzwi, kopnął coś siedzącego okrakiem przy wejściu i powiedział: — To wszystko dobrzy ludzie, wszystko dobrzy ludzie tutaj — i wciąż kopaniem torował sobie drogę. Okropny smród unosił się w powietrzu. W zupełnej ciemności ktoś płakał.

Ksiądz zatrzymał się na progu usiłując dojrzeć cokolwiek. Nieprzenikniona ciemność wydawała się poruszać i falować. Powiedział: — Tak mi sucho w gardle. Czy mógłbym dostać wody? — Odór zatykał mu nos i zebrało mu się na wymioty.

— Jutro rano — odparł sierżant. — Jesteście dość pijani na dzisiaj — i położywszy wielką, wyrozumiałą łapę na plecach księdza, wepchnął go do środka i zatrzasnął drzwi. Ksiądz nadepnął na jakąś dłoń, na czyjeś ramię i przyciskając twarz do kraty zaprotestował w bezsilnym przerażeniu: — Tu nie ma miejsca. Nic nie widzę. Co to za ludzie? — Na zewnątrz, już między hamakami, sierżant wybuchnął śmiechem: — *Hombre* — powiedział — *hombre*, czyście nigdy nie byli w więzieniu?

### R o z d z i a ł 3

— Macie papierosa? — odezwał się jakiś głos w pobliżu jego stopy.

Szybko cofnął się i nadepnął na czyjąś rękę. Znowu jakiś głos odezwał się rozkazująco: — Woda, prędko — jak gdyby mówiący myślał, że zaskoczy przybysza i zmusi go do dania mu jej.

— Macie papierosa?

— Nie. — Słabym głosem dodał: — W ogóle nic nie mam. — Zdawało mu się, że wrogość wyrasta wokół niego jak dym. Znow się poruszył. Ktoś powiedział: — Uważajcie na wiadro. — To stamtąd pochodził ten smród. Ksiądz stał zupełnie bez ruchu i czekał aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Na zewnątrz deszcz ustawał. Padał nieregularnie, a burza oddaliła się. Można było teraz doliczyć do sześćdziesięciu między błyskawicą a grzmotem. Zgodnie z przesądem oznaczało to sześćdziesiąt kilometrów. W pół drogi do morza, albo w pół drogi do gór. Macał stopą koło siebie, starając się znaleźć dosyć miejsca, żeby usiąść. Ale zdawało mu się, że wcale nie ma miejsca. W świetle błyskawicy dostrzegał hamaki na skraju dziedzińca.

— Macie coś do jedzenia? — spytał jakiś głos, a kiedy nie odpowiadał, znów: — Macie coś do jedzenia?

— Nie.

— Macie jakieś pieniądze? — spytał inny głos.

— Nie.

Wtem z odległości mniej niż dwóch metrów dobiegł go słaby krzyk... kobiety. Ktoś zmęczonym głosem powiedział: — Nie możecie tam być cicho? — Wśród ukradkowych poruszeń dobiegły go znowu stłumione jęki, które nie ból wyrażały. Ze zgrozą pojął, że rozkosz istniała nawet tu, w tłoku i ciemności. Znowu wysunął nogę i cal po calu zaczął torować sobie drogę, aby oddalić się od kraty. Oprócz ludzkich głosów słychać było inny nieustanny hałas, przypominający małą maszynę, elektryczny motorek pracujący ze stałą szybkością. Głośniejszy niż ludzki oddech, wypełniał on całą ciszę, jaka tam była. To moskity.

Odszedł od kraty może o dwa, trzy kroki. Zaczął różnicować głowy; widocznie przejaśniało się. Głowy zwisały wokół niego jak dynie. — Kto wy jesteście? — spytał jakiś głos. Nie odpowiedział; czuł rosnącą panikę. Nagle znalazł się przy tylnej ścianie. Dotykał ręką mokrego kamienia. Cela miała najwyżej cztery metry szerokości. Stwierdził, że z trudem może usiąść, pod warunkiem, że podwinie nogi pod siebie. Jakiś starzec leżał oparty o jego ramię. Książd mógł się domyślić jego wieku po tym, że miał kości lekkie jak piórko i nierówny, niespokojny oddech. Był to ktoś bliski narodzenia lub śmierci, a trudno było się spodziewać, że dziecko mogło się znajdować w takim miejscu. Starzec nagle spytał: — Czy to ty, Katarzyno? — i wypuścił oddech w długim, cierpliwym westchnieniu, jak gdyby czekał już długo i mógł sobie pozwolić jeszcze na długie czekanie.

Książd rzekł: — Nie. To nie Katarzyna. — Gdy to powiedział, zapadła nagle cisza; wszyscy nasłuchiwali, jak gdyby powiedział coś ważnego. Potem znów zaczęły się odgłosy i ruch. Ale dźwięk jego własnego głosu, poczucie nawiązania kontaktu z bliźnim, uspokoiło go.

— Oczywiście, że to nie Katarzyna — powiedział starzec. — Nie przypuszczałem właściwie, że to mogła być ona. Ona nigdy nie przyjdzie.

— Czy to wasza żona?

— Co wy znów wygadujecie. Nie mam żony.

— Katarzyna?

— To moja córka. — Wszyscy słuchali, z wyjątkiem dwojga niewidocznych ludzi, których obchodziła tylko własna ścieśniona i pokątna rozkosz.

— Może nie chcą jej pozwolić by tu przyszła?

— Ona nawet nie spróbuje — oświadczył starczy, pozabawiony nadziei głos z całkowitym przekonaniem. Ksiądz zaczął boleć podkurczone nogi. Powiedział: — Jeśli was kocha... — Gdzieś za zbitą masą ciemnych kształtów kobieta znów krzyknęła; był to ów końcowy krzyk protestu, oddania i rozkoszy.

— To wina księży — powiedział starzec.

— Księży?

— Księży.

— Dlaczego księży?

— Bo księży.

Jakiś niski głos w pobliżu kolan księdza odezwał się: — Ten stary, to wariat. Nie ma sensu się go pytać.

— Czy to ty, Katarzyno? — Dodał: — Właściwie nie wierzę, że to ty. Ot, tak się tylko pytam.

— No, ja mam na co się skarżyć — mówił dalej głos. — Człowiek musi bronić swego honoru. Zgodzicie się z tym, nieprawdaż?

— Nie znam się na honorze.

— Byłem w barze, kiedy nagle ten człowiek, o którym wam mówię, podchodzi do mnie i mówi: „Twoja matka to kurwa”. Nic mu nie mogłem zrobić, bo miał broń. Musiałem cierpliwie czekać. Wychlał zbyt wiele piwa — wiedziałem, że tak będzie — i kiedy zataczając się wyszedł, poszedłem za nim. Miałem butelkę, rozbiłem ją o mur. Rozumiecie? Nie miałem przecież pistoletu ze sobą. Jego rodzina ma protekcję u naczelnika, inaczej nie siedziałbym tutaj.

— To straszna rzecz zabić człowieka.

— Mówicie jak ksiądz.

— To wina księży — odezwał się starzec. — Macie rację.

— O co jemu chodzi?

— A cóż to ma za znaczenie, o co chodzi takiemu staruchowi? Chcę teraz wam opowiedzieć co innego...

Jakiś kobiecy głos powiedział: — Zabrali mu dziecko.

— Dlaczego?

— Bo było nieślubne. Postąpili całkiem legalnie.

Na słowo „nieślubne” serce zabiło mu boleśnie, jak człowiekowi zakochanemu, gdy ktoś obcy wymieni kwiat, któ-

rego nazwa jest także imieniem kobiety. „Nieślubne!” Słowo to nappełniło go smutnym poczuciem szczęścia. Zbliżyło do niego jego własne dziecko. Widział jak mała stoi pod drzewem koło śmietnika, bez opieki. Powtórzył: „Nieślubne?” jak gdyby wymawiał jej imię: z obojętnością którą maskował czułość.

— Mówili, że nie nadawał się na ojca. Ale oczywiście gdy księża uciekli, musiała wrócić do niego. Bo gdzież miałyby iść? — Wyglądało to na szczęśliwe zakończenie, ale kobieta dodała: — Oczywiście nienawidziła go. Księża ją przecież wychowali. — Mógł sobie wyobrazić małe, zacisnięte usta dobrze wychowanej mieszczki. Co ona tu robiła?

— Za co jest w więzieniu?

— Za to, że miał krucyfiks.

Z wiadra śmierdziało coraz silniej. Noc stała wokół nich jak ściana, przez którą nie przechodził najmniejszy powiew powietrza. Słyszał, jak ktoś oddawał mocz, bębniąc po blaszanych brzegach wiadra. Powiedział: — Nie mieli prawa...

— Oczywiście, że zrobili słusznie. To był śmiertelny grzech.

— Nie mieli prawa uczyć jej, żeby go nienawidziła.

— Oni wiedzieli, do czego mają prawo.

Powiedział: — Jeśli zrobili taką rzecz, byli złymi księżmi. Grzech należał do przeszłości. Ich obowiązkiem było uczyć... no, miłości.

— Wy nie wiecie co jest słuszne. Księża wiedzą.

Po chwili wahania powiedział bardzo wyraźnie: — Ja jestem księdzem.

To był chyba koniec. Nie trzeba było już dłużej mieć nadziei. Dziesięcioletnie polowanie wreszcie było skończone. Wokół niego zapadło milczenie. To miejsce było jak świat: przepelnione żądzą, zbrodnią i nieszczęśliwą miłością; biło smrodem w niebo. Ale zrozumiał, że mimo wszystko można było znaleźć tutaj pokój, jeśli wiedziało się na pewno, że mało czasu zostało.

— Wy księdzem? — spytała wreszcie kobieta.

— Tak.

— Czy oni wiedzą?

— Jeszcze nie.

Mógł wyczuć rękę macającą jego rękaw. Jakiś głos po-



wiedział: — Ksiądz nie powinien był nam tego mówić. Tu rozmaici ludzie siedzą. Mordercy...

Głos, który opisał mu swoją zbrodnię, rzekł: — Nie macie prawa mnie znieważać. Dlatego że zabiłem człowieka, to nie znaczy... — Zaczęto wszędzie szeptać. Głos mówił dalej z goryczą: — Nie jestem donosicielem tylko dlatego, że kiedy jakiś człowiek mi powiedział „twoja matka jest kurwą...”

Ksiądz rzekł: — Nie ma potrzeby żeby ktoś doniósł o mnie. To byłby grzech. Jak się rozjaśni, sami mnie poznają.

— Zastrzela księdza — powiedziała kobieta.

— Tak.

— Czy ksiądz się boi?

— Tak. Oczywiście.

Nowy głos odezwał się z kąta, z którego dochodziły przedtem odgłosy rozkoszy: — Mężczyzna nie boi się takiej rzeczy — mówił twardym i upartym tonem.

— Nie? — spytał ksiądz.

— Odrobina bólu. Cóż myślicie? I tak to musi kiedyś przyjść.

— Wszystko jedno — rzekł ksiądz. — *Ja się boję.*

— Ból zęba jest gorszy.

— Nie możemy wszyscy być mężni.

Głos powiedział pogardliwie: — Wy wierzący wszyscy jesteście tacy sami. Chrześcijaństwo robi z was tchórzy.

— Tak. Może macie rację. Otóż widzicie, ja jestem złym księdzem i złym człowiekiem. Umrzeć w stanie grzechu ciężkiego — zaśmiał się z zażenowaniem — nad tym warto się zastanowić.

— Proszę. Zupełnie to samo co powiedziałem. Wiara w Boga robi z ludzi tchórzy. — W głosie brzmiał odcień triumfu, jak gdyby coś udowodnił.

— A więc? — spytał ksiądz.

— Lepiej nie wierzyć... i być dzielnym mężczyzną.

— Aha... rozumiem. Oczywiście gdybyśmy wierzyli, że gubernator albo *jefe* nie istnieją, jeśli moglibyśmy się umówić, że to więzienie wcale nie jest więzieniem, tylko ogrodem, jacy moglibyśmy być wtedy dzielni!

— No, to byłaby po prostu głupota.

— Ale gdybyśmy stwierdzili że więzienie jest więzie-

niem, a gubernator, tam na rynku, istnieje bez żadnych wątpliwości, no, wtedy nie wiele znaczyłoby, że byliśmy dzielni przez godzinę czy dwie.

— Nikt nie mógłby twierdzić, że to więzienie nie jest więzieniem.

— Nie? Tak uważacie? Widać, że nie słuchacie tego, co mówią politycy. — Nogi bolały go bardzo. Zdrętwiały mu stopy, ale nie mógł rozprężyć mięśni, żeby im ulżyć. Nie było jeszcze północy. Godziny ciemności przed nim wyciągały się w nieskończoność.

Kobieta nagle powiedziała: — Pomyślcie tylko. Mamy męczennika tutaj...

Ksiądz zachichotał; nie mógł się powstrzymać. Rzekł: — Nie wydaje mi się, żeby męczennicy byli tacy. — Nagle spoważniał, bo przypomniały mu się słowa Marii... Nie należy ośmieszać Kościoła. Powiedział: — Męczennicy to ludzie święci. Nie należy myśleć, że ponieważ ktoś umiera, to od razu... nie. Mówię wam, że jestem w stanie grzechu ciężkiego. Zrobiłem rzeczy, o których nie mógłbym wam tutaj mówić. Mógłbym tylko wyszeptać je w konfesjonale. — Wszyscy słuchali uważnie tego, co mówił, jak gdyby zwracał się do nich w kościele. Zastanawiał się, gdzie też mógł siedzieć nieunikniony Judasz, ale nie czuł obecności Judasza, tak jak czuł ją wtedy w leśnym szałasie. Poczul jakąś ogromną i nie dającą się wyjaśnić miłość do mieszkańców tego więzienia. Przyszło mu na myśl zdanie: „Bóg tak umiłował świat...” Mówił dalej: — Moje dzieci, nigdy nie powinniście myśleć, że święci męczennicy są podobni do mnie. Wy macie dla mnie nazwę. Och, słyszałem ją od was już przedtem. Jestem księdzem-moczymordą. Jestem tu teraz dlatego, że znaleziono u mnie w kieszeni butelkę wódki. — Usiłował ruszyć stopy spod siebie. Skurcz minął; były teraz martwe, bez czucia. Ach, niech już tak zostaną. Nie będzie musiał ich już często używać.

Starzec mruzczał coś, a myśli księdza powędrowały z powrotem do Brigitty. Wiedza o świecie leżała w niej jak ciemna plamka na fotografii rentgena, która wiadomo co oznacza. Zastygłym w piersi uczuciem pragnął ją ocalić, ale znał opinię lekarza: choroba była nieuleczalna.

Głos kobiety odezwał się błagalnie: — Odrobina trunku, proszę księdza... nie jest przecież grzechem. — Zastana-

wiał się skąd ona się tu wzięła. Prawdopodobnie za posiadanie w domu świętego obrazu. Miała nużący, żarliwy głos dewotki. Były to kobiety wyjątkowo niemądre z ich świętymi obrazami. Dlaczego ich nie paliły? Obraz nie był potrzebny do... Powiedział surowo: — Och, to że jestem pijakiem, to nie wszystko. — Los pobożnych kobiet zawsze go martwił: podobnie jak politycy, żyły one złudzeniem. Bał się o nie. Tak często umierały w stanie bezgranicznego zadowolenia z siebie. Było jego obowiązkiem, kiedy tylko się dało, pozabawiać je ich sentymentalnych pojęć o tym, co jest dobre... Twardo powiedział: — Mam dziecko.

Jakże zacna była ta kobieta! Słysząc było w ciemnej celi jak jej głos go usprawiedliwia. Nie mógł słyszeć, co mówiła, ale było to coś o Dobrym Łotrze. Powiedział: — Moje dziecko, łotr żałował. Ja nie żałowałem. — Przypomniał sobie chwilę gdy jego dziecko wchodziło do szafasu; promień słońca padał na nią z tyłu, a jej spojrzenie było ciemne, złośliwe i wiedzące. Dodał: — Nie wiem jak żałować. — To była prawda: utracił zdolność żalu. Nie mógł powiedzieć sobie, że chciałby aby jego grzech nigdy nie zaistniał, bo grzech ten wydawał mu się teraz tak mało znaczący, a kochał jego owoc. Potrzebował spowiednika, który skierowałby jego umysł zwolna w złowrogie kanały wiodące do zgrozy, bólu i żalu.

Kobieta zamilkła. Pomyślał, że może mimo wszystko był dla niej zbyt ostry. Jeśli przekonanie, że był męczennikiem utwierdzało ją w wierze... Ale odrzucił tę myśl. Obowiązywała go prawda. Przesunął się na pośladek o parę centymetrów i spytał: — O której robi się jasno?

— O czwartej... piątej... — odpowiedział jakiś mężczyzna. — Skąd możemy wiedzieć, proszę księdza? Nie mamy zegarków.

— Długo tu jesteście?

— Trzy tygodnie.

— Cały dzień was tu trzymają?

— O nie. Wypuszczają nas do sprzątnięcia dziedzińca.

Pomyślał sobie, że właśnie wtedy zostanie rozpoznany, a może wcześniej, bo przecież ktoś z tych ludzi na pewno go wyda. Po chwili rozmyślań oświadczył: — Wyznaczyli na mnie nagrodę. Pięćset czy sześćset pezów, nie jestem pewien. — Potem znów zamilkł. Nie mógł namawiać

głosy powoli stały się twarzami. Nie było niespodzianek. Konfesjonał uczy księży rozpoznawać kształt głosu: zwisającą wargę, czy rozlazły podbródek i fałszywą szczerzość zbyt prosto patrzących oczu. O parę kroków od siebie zobaczył pobożną kobietę, śpiącą niespokojnie. Jej twarde usta były otwarte i ukazywały mocne zęby sterczące jak grobowce. Dalej starzec. W kącie leżał mędek ze swą kobietą niedbale rozłożoną na jego kolanach. Teraz, kiedy dzień wreszcie nadszedł jedynie ksiądz nie spał, oprócz małego indiańskiego chłopca, który siedział przycupnięty przy drzwiach ze skrzyżowanymi nogami i z miną tak zaciekawioną i zadowoloną, jak gdyby nigdy przedtem nie przebywał w tak miłym towarzystwie. Na dziedzińcu widać już było wapno przeciwległej ściany. Ksiądz zaczął oliczalnie żegnać się ze światem; nie był w stanie zrobić tego z przejściem. Jego moralne zepsucie było mniej oczywiste dla jego zmysłów niż śmierć. Jedna kula, myślał, prawie na pewno przeszyje serce; w plutonie musi być choć jeden celny strzelec. Życie ujdzie w „ułamku sekundy” (tak się to określało) ale przez całą noc rozumiał coraz bardziej, że czas zależy od zegarów i zmiany światła. Nie było zegarów, a światło nie zmienia się. Nikt właściwie nie wie jak długa może być sekunda bólu. Może trwać przez cały życie... lub na zawsze. Ni stąd ni z owąd przyszedł mu na myśl pewien człowiek, którego spowiadał. Umierał na raka. Jego krewni musieli owinąć sobie twarze, tak przerażający był smród gnijących wnętrzności. To nie był święty. Nic w życiu nie było tak ohydne, jak śmierć.

Jakiś głos na dziedzińcu krzyknął: — Montez. — Usiadł na swych zmartwiałych nogach. Myślał automatycznie. To ubranie nie zda się już na długo. Było poplamione i spaskudzone zetknięciem z podłogą celi i współtowarzyszami niedoli. Kupił je z wielkim ryzykiem w magazynie nad rzeką, udając że jest drobnym wieśniakiem z pretensjami powyżej swego stanu. Wtem przypomniał sobie, że nie na długo będzie mu ono potrzebne. Dziwnie wstrząsnęła nim ta myśl; tak jak gdyby zamykał drzwi swego domu po raz ostatni. Głos powtórzył niecierpliwie: — Montez.

Przypomniał sobie, że chwilowo tak się nazywa. Odebrał wzrok od swego zniszczonego ubrania i zobaczył sierżanta otwierającego celę. — Chodźcie tu, Montez. —

Łagodnie oparł głowę starca o wilgotną ścianę i usiłował wstać, ale nogi ugięły się pod nim jak ciasto. — Cóż wy chcecie spać całą noc? — gderał opryskliwie sierżant. Był czymś zirytowany, bo nie odnosił się tak przyjaźnie, jak poprzedniego wieczoru. Kopnął jakiegoś śpiącego i zaczął walić w drzwi celi: — Jazda. Wszyscy wstawać, wychodzić na dziedziniec. — Tylko mały Indianin posłuchał i wysunął się chyłkiem. Miał wciąż dziwnie zadowoloną minę. Sierżant narzekał: — Brudne psy. Cóż oni chcą, żebyśmy ich jeszcze myli? Wy, Montez, chodźcie tu. — Czucie w nogach powracało z bólem. Udało mu się dostać do drzwi.

Dziedziniec powracał ospale do życia. Pod jedynym kranem stała kolejka ludzi, myjących sobie twarz. Jakiś człowiek w podkoszulku i kalesonach siedział na ziemi, obejmując karabin. — Wychodzić na dziedziniec i myć się — ryczał na więźniów sierżant, ale gdy ksiądz wyszedł, chwycił go: — Wy nie, Montez.

— Ja nie?

— Mamy dla ciebie co innego do roboty — powiedział sierżant. Ksiądz stał wyczekująco, podczas gdy inni więźniowie wychodzili na dziedziniec. Mijali go jeden po drugim. Nie patrzył im w twarz, lecz na nogi. Nikt nie odezwał się ani słowem. Stopy kobiety, w czarnych trzewikach na niskim obcasie, wlokąc się przeszły obok niego. Szepnął bez podnoszenia wzroku: — Módl się za mnie.

— Coście tam powiedzieli, Montez?

Nie mógł zdobyć się na żadne kłamstwo. Czuł, że w ciągu tych dziesięciu lat jak gdyby wyczerpał cały swój zapas wykrętów.

Trzewiki przystanęły. Głos kobiety rzekł: — On żebrał. — Dodała okrutnie: — Powinien był mieć więcej rozsądku. Nie mam do dania. — Potem wyszła na swych płaskich stopach na dziedziniec.

— Wyspalicie się dobrze, Montez? — dokuczał mu sierżant.

— Nie specjalnie.

— Cóż chcecie? — mówił sierżant. — To wam da nauczkę, żebyście się zanadto w wódce nie lubowali, no nie?

— Tak. — Zastanawiał się jak długo jeszcze potrwają te wszystkie wstępne formalności.

— A więc, skoro wydajecie wszystkie pieniądze na wódkę, musicie odpracować wasz nocleg. Wynieście wiadra z cel i uważajcie, żeby nic nie wylać. To miejsce i tak już dosyć śmierdzi.

— Gdzie mam zanieść?

Sierżant wskazał na drzwi wychodków za kranem. — Zgłoście się do mnie jak skończycie — powiedział i wrócił na dziedziniec, rycząc po drodze rozkazy.

Ksiądz schylił się i chwycił wiadro. Było pełne i bardzo ciężkie. Pochylony pod ciężarem zaczął iść przez dziedziniec. Pot zalewał mu oczy. Otarł je i w kolejce do mycia zobaczył jedną po drugiej znajome twarze... zakładników. Stał tam Miguel, którego wzięto na jego oczach. Przypomniał sobie krzyk matki, zmęczony gniew porucznika i wschodzące słońce. Oni go także zobaczyli. Postawił ciężkie wiadro i patrzył na nich. Gdyby udał, że ich nie poznaje, byłoby to jak wskazówka, jak domaganie się, jak żądanie, aby cierpieli dalej i pozwolili mu uciec. Miguela zbito. Miał ranę pod okiem. Bzykały koło niej muchy, tak jak bzykały wokół otartego boku muła. Kolejka posunęła się dalej. Minęli go z wzrokiem wbitym w ziemię, a ich miejsce zajęli obcy. Modlił się w milczeniu: O Boże, przyślij im kogoś, kto bardziej zasługuje na to, żeby dla niego cierpieli. Wydawało mu się przekłętą ironią, że poświęcają się dla księdza-moczymordy, który ma nieślubne dziecko. Żołnierz wciąż siedział w kalesonach z karabinem między kolanami i obgryzał paznokcie. Ksiądz poczuł się dziwnie opuszczony, dlatego właśnie, że zakładnicy nie okazali, iż go poznają.

Wychodek był to po prostu dół kloaczny, z dwiema deskami w poprzek, na których można było stanąć. Wypróżnił wiadro i wrócił przez dziedziniec do cel. Było ich sześć. Brał wiadra, jedno po drugim. Raz musiał przystanąć, gdyż zebrało mu się na wymioty: plusk, plusk, tam i z powrotem przez dziedziniec. Przyszedł do ostatniej celi. Nie była pusta. W tyle przy ścianie leżał człowiek. Poranne słońce właśnie dosięgło jego nóg. Muchy unosiły się bzykając nad kupą wymiotów na podłodze. Oczy otwały się i obser-

wowały księdza pochylającego się nad wiadrem. Dwa kły sterczały...

Ksiądz poruszał się szybko i obryzgał podłogę. Metys odezwał się swoim, zanadto dobrze znanym, gderliwym tonem: — Czekajcie no. Nie wolno wam tego tutaj robić. — Wyjaśnił z dumą: — Ja nie jestem więźniem. Jestem gościem. — Ksiądz wykonał przepraszający gest, bo obawiał się mówić, i znów się ruszył. — Stójcie. Chodźcie no tutaj — rozkazująco powiedział metys.

Ksiądz stał uparcie koło drzwi na pół odwrócony.

— Chodźcie tutaj — powtórzył metys. — Jesteście więźniem, prawda? A ja jestem gościem... gubernatora. Czy chcecie, żebym zawołał policjanta? Jeśli nie, to róbcie, co wam każę i chodźcie tutaj.

Wyglądało na to, że Bóg decydował się... wreszcie. Podszedł z wiadrem w rękę i stanął obok wielkiej, płaskiej, bosej stopy. Metys spojrział na niego z kąta zaciemnionego przez cień padający od ściany, po czym spytał ostro i niespokojnie: — Co wy tu robicie?

— Sprzątam.

— Nie o to mi chodzi.

— Zostałem złapany z butelką wódki — powiedział ksiądz, starając się nadać głosowi ton prostacki.

— Ja was znam — powiedział metys. — Nie mogłem oczom uwierzyć, ale kiedyście się odezwali...

— Nie wydaje mi się...

— Ten księży głos — rzekł mieszaniec z niesmakiem. Był jak pies innej rasy; mimo woli nastroszył się. Wielki, tłusty palec u nogi poruszał się wrogo. Ksiądz postawił wiadro. Opierał się ale bez nadziei na powodzenie: — Jesteście pijani.

— Piwo, piwo — mówił metys. — Nic tylko piwo. Obiecali mi co najlepsze, ale nie można im ufać. Czy ja nie wiem, że *jefe* ma zapas koniaku pod zamknięciem?!

— Muszę wypróżnić wiadro.

— Jeśli się stąd ruszycie, będę krzyczał. Muszę myśleć o tylu rzeczach — żalił się z goryczą metys. Ksiądz czekał; nie mógł zrobić nic innego. Był zdany na łaskę tego człowieka. Głupie wyrażenie, bo te malaryczne oczy nigdy nie wiedziały, co to jest łaska. W każdym razie zaoszczędził sobie upokorzenia, jakim byłoby błaganie go.

— Jak widzicie, jest mi tu wygodnie — wyjaśnił starranie metys. Żółte palce jego nóg zwinęły się z zadowoleniem koło rzygowin. — Dobre żarcie, piwo, towarzystwo i ten dach nie przecieka. Nie mówcie co się potem stanie — sam wiem: kopną mnie i wyrzucą stąd jak psa, jak psa. — Jego głos nabrzmiął piskliwym oburzeniem: — Chciałbym wiedzieć, za co was tu zamknęli. Według mnie to jest świństwo. Przecież to ja mam was znaleźć, no nie? Kto dostanie nagrodę, jeśli już was mają? Nie zdziwiłbym się gdyby *jefe*, albo ten skurwysyn sierżant. — Zafrasowany snuł ponure myśli. — Nie można dziś nikomu ufać.

— No i oczywiście jest jeszcze Czerwona Koszula — zauważył ksiądz.

— Czerwona Koszula?

— Właściwie to on mnie złapał.

— Rany Boskie — rzekł metys — oni wszyscy mają wpływy u gubernatora. — Podniósł błagalny wzrok i dodał: — Ksiądz jest wykształconym człowiekiem. Niech ksiądz mi coś poradzi.

— To byłoby morderstwo — rzekł ksiądz — grzech śmiertelny.

— Nie o to mi chodzi. Mam na myśli nagrodę. Widzi ksiądz, tak długo jak oni nie wiedzą, mam zapewnione, no... wygodne życie tutaj. Człowiek zasługuje na parę tygodni urlopu. A ksiądz i tak nie może uciec, prawda? Byłoby lepiej, nieprawdaż, złapać księdza poza więzieniem. Gdzieś w mieście. To znaczy, że nikt inny nie mógłby rościć... — Dodał z pasją: — Biedny człowiek musi myśleć o tylu rzeczach.

— Przypuszczam, że dano by wam coś niecoś nawet i tutaj — rzekł ksiądz.

— Coś niecoś — powtórzył metys, dźwignął się i oparł o ścianę: — Dlaczego nie miałbym dostać wszystkiego?

— Co się tu dzieje? — spytał sierżant. Stał w progu na słońcu i zaglądał do środka.

Ksiądz powiedział powoli: — Chciał żebym sprzątnął jego wymioty. Powiedziałem, że pan mi nie kazał...

— Ach, on jest gościem — rzekł sierżant. — Ma być traktowany odpowiednio. Zróbcie jak wam każe.

Metys uśmiechnął się sztucznie i spytał: — A może by tak flaszeczkę piwa, panie sierżancie?



— Jeszcze nie — odparł sierżant. — Musicie najpierw rozejrzeć się po mieście.

Ksiądz ujął wiadro i wrócił na dziedziniec, a oni spierali się dalej. Miał wrażenie jak gdyby wymierzono mu w plecy pistolet. Wszedł do wychodka i wypróżniał wiadro, po czym wyszedł z powrotem na dziedziniec: pistolet był teraz wymierzony w pierś. Stali obaj w drzwiach celi i rozmawiali. Przeszedł przez dziedziniec. Przypatrywali mu się gdy wrócił. Sierżant mówił do metysa: — Mówicie, że wam wątroba dolega i że nie widzicie dziś dobrze. Więc sprzątnijcie sami wasze wymioty. Jeśli wy nie spełniacie swoich obowiązków... — Za plecami sierżanta metys mrugnął na księdza chytrze, co bynajmniej nie podziałało uspokajająco. Teraz gdy pierwszy strach minął, czuł tylko żal. Bóg zdecydował. Musiał żyć dalej, robić decyzje, działać według własnego uznania, planować...

Sprzątanie cel, polegające na wylaniu wiadra wody na podłogę każdej celi, zajęło mu jeszcze pół godziny. Patrzał jak pobożna kobieta znika — miał wrażenie, że na zawsze — w bramie, gdzie jej siostra czekała z grzywną. Obie były owinięte czarnymi szalami i wyglądały jak przedmioty, które kupuje się na wyprzedazy, twarde i suche. Potem zameldował się znów u sierżanta, który obejrzał cele, skrytykował jego pracę i kazał mu rozlać więcej wody, aż nagle znudzony tym wszystkim powiedział mu, że może iść do *jefe* z prośbą o zwolnienie. Cekał więc godzinę na ławce koło drzwi do pokoju *jefe*, obserwując wartownika, który chodził ospale tam i z powrotem w upalnym słońcu.

A kiedy wreszcie policjant wprowadził go, nie *jefe*, lecz porucznik siedział przy biurku. Ksiądz stanął niedaleko własnej fotografii na ścianie i czekał. Raz zerknął prędko i nerwowo na pomięty wycinek ze starej gazety i pomyślał z ulgą, że nie jest teraz bardzo podobny do tego. Jakim nieznośnym stworzeniem musiał być w tamtych czasach, a przecież wtedy był jeszcze względnie niewinny. To była inna zagadka: czasem zdawało mu się, że powszednie grzechy — niecierpliwość, drobne kłamstwo, pycha, zaniebdana okazja — odcinają człowieka od łaski bardziej dokładnie, niż najgorsze ze wszystkich grzechów. Wtedy, gdy był niewinny, nie odczuwał miłości do nikogo. Teraz, gdy był zepsuty, nauczył się...

— A więc? — spytał porucznik nie odrywając oczu od papierów — sprzątnął dokładnie cele? — Po czym mówić dalej: — Powiedzcie sierżantowi, że chcę tu widzieć dwa tuziny żołnierzy z należycie wyczyszczonymi karabinami nie dalej jak za dwie minuty. — Spojrzał z roztargnieniem na księdza i spytał: — Na co wy czekacie?

— Czekam aż wasza Ekscelencja pozwoli mi odejść.

— Nie jestem ekscelencją. Nauczcie się nazywać rzeczy ich imieniem. — Dodał ostro: — Byliście tu już kiedyś?

— Nie. Nigdy.

— Nazywacie się Montez. Zdaje mi się, że ostatnio spotykam zbyt wielu ludzi o tym nazwisku. Wasi krewni? — Siedział przypatrując mu się uważnie, jak gdyby zaczynał sobie coś przypominać.

Ksiądz powiedział z pośpiechem: — Mój kuzyn został rozstrzelany w Concepción.

— To nie była moja wina.

— Miałem na myśli tylko... że byliśmy bardzo podobni. Nasi ojcowie byli bliźniakami. Mniej niż pół godziny różnicy było między nimi. Zdawało mi się, że wasza Ekscelencja miał na myśli...

— O ile sobie przypominam, wyglądał zupełnie inaczej. Wysoki, chudy człowiek... wąski w ramionach...

Ksiądz wtrącił prędko: — Może podobieństwo rodzinne...

— No, ale ja go tylko raz widziałem. — Porucznik zachowywał się niemal tak jakby miał coś na sumieniu, gdy tak siedział zamyślony, przesuając niespokojnie po papierze swoje ciemne, indiańskie ręce... Spytał: — Dokąd idziecie?

— Bóg to wie.

— Wy ludzie jesteście wszyscy tacy sami. Nigdy nie nauczycie się prawdy... że Bóg nie wie nic. — Jakiś drobny żyjący okruczeństwo przeleciał po papierze na kształt odrobiny sadzy. Porucznik przycisnął go palcem i spytał: — Nie mieliście pieniędzy na zapłacenie kary? — po czym przypatrywał się innej plamce, która wychyła się pomiędzy stron szukając schronienia. Na tym upale życie krzewiło się bujnie.

— Nie.

— Z czego będziecie żyli?

— Może dostanę jakąś pracę...

— Stajecie się zbyt starzy na to, żeby pracować. — Nagle włożył rękę do kieszeni, wyjął pięcio-pezową monetę: — Macie. A teraz wynoście się stąd i żebym was więcej nie widział. Pamiętajcie.

Ksiądz trzymał w zaciśniętej pięści monetę, cenę mszy. Ze zdumieniem powiedział: — Pan jest dobrym człowiekiem.

## R o z d z i a ł 4

Było jeszcze bardzo wczesnie rano, gdy przepłynął rzekę i ociekając wodą wyszedł na drugi brzeg. Nie przypuszczał, żeby ktoś mógł się kręcić w pobliżu. Bungalow, szopa kryta blachą, maszt na chorągiew. Zawsze zdawało mu się, że Anglicy o zachodzie słońca opuszczają flagę i śpiewają „God Save the King”. Ostrożnie okrążył szopę. Drzwi ustąpiły pod naciskiem. Stał w ciemnym wnętrzu, gdzie już był kiedyś poprzednio. Ile tygodni temu? Nie miał pojęcia. Pamiętał tylko, że było to na długo przed porą deszczową. Deszcze zaczynały się właśnie teraz. Za tydzień tylko samolot będzie w stanie przedostać się przez góry.

Macał wokół siebie nogą. Był tak głodny, że nawet kilka bananów bardzo by się przydało; nie miał nic w ustach od dwóch dni; ale nie było tu w ogóle bananów, ani jednego. Widocznie zjawił się w dniu, w którym zbiór odszedł w dół rzeki. Stał tuż przy drzwiach, usiłując przypomnieć sobie co mówiła mu dziewczynka: alfabet Morse'a, jej okno. Gdzieś za śmiertelnie białym, zakurzonym podwórzem druciana moskitiera błyszczała w słońcu. Przyszła mu nagle na myśl pusta spiżarnia. Zaczął niespokojnie nasłuchiwać. Nie było słyhać najmniejszego odgłosu. Dzień tutaj jeszcze się nie zaczął pierwszym, sennym człapaniem butów po cementowej posadzce, drapiącymi pazu-

rami przeciągającego się psa, pukaniem do drzwi. Nie było słyhać nic, w ogóle nic.

Która to mogła być godzina? Ile godzin było już jasno? Trudno było dociec. Czas był elastyczny i napięty do ostateczności. Przypuśćmy, że mimo wszystko nie było bardzo wcześnie... może szósta, siódma... Zrozumiał jak bardzo liczył na to dziecko. Ona była jedyną istotą, która mogła mu pomóc bez narażania siebie. Jeśli nie przedostanie się przez góry w ciągu kilku dni, będzie w pułapce. Mógłby wówczas równie dobrze oddać się w ręce policji, bo jak przeżyłby porę deszczową, gdy nikt nie odważy się dać mu żywności czy udzielić schronienia? Byłoby lepiej, szybciej, gdyby go rozpoznano na policji przed tygodniem. Byłoby o wiele mniej kłopotu. Wtem usłyszał jakiś hałas. Nadzieja wracała jakby na próbę. Słyhać było drapanie i skowyt. To właśnie rozumiało się pod słowem „świt”: odgłos życia. Zgłodniały czekał na to przy drzwiach.

I przyszło: przez podwórze włókł się kundel; brzydka suka ze zwieszonymi uszami, wlokła skaleczoną czy złamaną nogę i skomlała. Miała chory grzbiet. Szła bardzo powoli. Jej wystające zębra przywodziły na myśl eksponat w muzeum przyrodniczym. Jasne było, że nie jadła nic od wielu dni, że była porzucona.

W przeciwieństwie do niego zachowała coś w rodzaju nadziei. Nadzieja jest instynktem, który tylko człowiek swym rozumem potrafi zabić. Zwierzę nigdy nie zna rozpacz. Patrząc jak idzie, pokaleczona, odnosił wrażenie, że to się zdarzało co dzień, że obserwował jedno z regularnych zjawisk nowego dnia, takich jak śpiew ptaków w szczęśliwszych okolicach. Dowlokła się do drzwi werandy i zaczęła drapać jedną łapą, leżąc rozciągnięta jak orzeł w herbie. Trzymała nos przy szparze. Mogło się wydawać, że wdycha zatęchłe powietrze pustych pokoi; potem zaskowytowała niecierpliwie i zaczęła machać ogonem, jak gdyby słyszała, że coś się w środku rusza. Wreszcie zaczęła wyć.

Ksiądz nie mógł dłużej wytrzymać. Wiedział już, co to mogło być. Lepiej więc spojrzeć na to własnymi oczami. Wyszedł na podwórze, a suka odwróciła się niezdarnie — parodia psa podwórzowego — i zaczęła na niego szczeleć. Nie chciała byle kogo. Chciała tego, do czego była przyzwyczajona: chciała powrotu starego świata.

Zajrzał przez okno; może to był pokój dziecka. Zabrano stąd wszystko poza rzeczami nieużytecznymi i połamanymi. Widział tekturowe pudło pełne podartego papieru i małe krzesło bez nogi. W białą ścianę był wbity wielki gwóźdź, w miejscu gdzie wisiało może lustro lub obraz. Była tam również złamana łyżka do butów.

Suka warcząc wlokła się przez werandę. Instynkt jest jak poczucie obowiązku: można go bardzo łatwo pomieszać z wiernością. Uwolnił się od zwierzęcia po prostu, wychodząc na słońce. Pies nie mógł obrócić się tak szybko, żeby za nim nadażyć. Książdz pchnął drzwi, które momentalnie ustąpiły; nikt nie zadał sobie trudu zamknięcia ich na klucz. Na ścianie wisiała jakaś stara skóra aligatora, źle wycięta i niedołącznie wysuszona. Coś sapało za nim, więc odwrócił się. Suka przelożyła dwie łapy przez próg, ale teraz, gdy już znajdował się w domu, nie zwracała na niego uwagi. Obejmował dom w posiadanie, był panem, a przecież czuła całe mnóstwo rozmaitych zapachów które musiały ją interesować. Wlokła się po podłodze głośno wachając mokrym nosem.

Książdz otworzył drzwi na lewo; może to była sypialnia. W rogu leżał stos starych butelek od lekarstw. W niektórych z nich była odrobina zabarwionego płynu. Były tam lekarstwa na bóle głowy, na bóle żołądka, lekarstwa do zażycia przed posiłkiem i do zażycia po posiłku. Ktoś musiał być bardzo chory, jeśli potrzebował ich aż tyle? Leżała też połamana klamerka do włosów i kulka wyczesanych siwiejących blond włosów. Pomyślał z ulgą: to jej matka, to tylko jej matka.

Zajrzał do innego pokoju, który wychodził na powoli płynącą i pustą rzekę widoczną przez okno zasłonięte moskinierą. Musiał to być salonik, bo został w nim stół; składany stolik do kart z dykty, kupiony za parę szylingów, którego nie opłacało im się zabierać z sobą, gdziekolwiek by nie jechali. Zastanawiał się, czy matka była umierająca. Może ukończyli już tegoroczne zbiory i wyjechali do stolicy, gdzie był szpital. Z tego pokoju przeszedł do innego; był to pokój, który widział z zewnątrz: pokój dziewczynki. Ze smutnym zaciekawieniem przerzucił zawartość kosza od śmieci. Miał uczucie, jak gdyby porząd-

łował rzeczy po śmierci i zastanawiał się, co jest zbyt bolesne do zachowania.

Czytał: „Bezpośrednią przyczyną Amerykańskiej Wojny o Niepodległość była tak zwana Boston Tea Party”. Musiała to chyba być część wypracowania, napisanego starannie wielkimi, solidnymi literami. „Ale faktyczną sporną kwestią” (to słowo było napisane z błędem, wykreślone i przepisane na nowo) „było, czy ma się prawo nakładać podatki na ludzi, którzy nie są reprezentowani w parlamencie”. Musiał to być brulion, tyle tam było poprawek. Podniósł jakiś inny, pierwszy z brzegu, świstek. Chodziło o ludzi zwanych Wigami i Torysami. Nie znał tych słów. Coś przypominającego ścierkę do kurzu trzepocząc sfrunęło z dachu na podwórze: sęp. Ksiądz czytał dalej: „Jeśli pięciu ludziom zajęło trzy dni skoszenie łąki o powierzchni czterech i jednej czwartej akra, jaką przestrzeń skosiłoby dwóch ludzi w ciągu jednego dnia?” Pytanie było równo podkreślone liniijką, a pod nią zaczynały się obliczenia, beznadziejna płatanina cyfr, które się nie zgadzały. Po zmiętym, odrzuconym na bok papierze można się było domyślić upału i irytacji. Wyobrażał ją sobie bardzo wyraźnie, w chwili gdy zdecydowanie uwolniła się od tego zadania: kształtne, regularne rysy i dwa cienkie warkocze. Przypominał sobie jej gotowość do ślubowania wieczystej nienawiści wszystkim, którzy go skrzywdzą; i przypominał sobie swoje własne dziecko, kuszące go na śmietniku.

Zamknął starannie drzwi za sobą, jak gdyby chciał zapobiec ucieczce. Słyszał jak gdzieś warczała suka i poszedł za nią do izby, która kiedyś była kuchnią. Leżała w zamarłej pozie nad kością i szczyrzyła swoje stare zęby. Twarz jakiegoś Indianina ukazała się za siatką okienną, niby coś powieszzonego do suszenia, ciemna, uwiędła i nieapetyczna. Pożądliwym wzrokiem wpatrywał się w kość. Spojrzał na przechodzącego przez kuchnię księdza i natychmiast zniknął, jak gdyby nigdy go tam nie było, zostawiając dom w takim opuszczeniu jak poprzednio. Ksiądz także wpatrywał się w kość.

Było na niej wciąż jeszcze dużo mięsa. Niewielka chmurka much wisiała nad nią, o kilka centymetrów od pyska suki. Teraz, gdy Indianin zniknął, suka miała oczy

wlepione w księdza. Wszyscy byli tu konkurentami. Ksiądz postąpił naprzód krok czy dwa i tupnął dwukrotnie.

— Poszedł stąd — krzyknął i machnął rękami, ale kundel nie ruszył się, a tylko rozpląszczył nad kością i skupiając w żółtych oczach całą siłę jaka została w połamanym ciele, warczał przez zęby. Wyglądało to jak nienawiść na łożu śmierci. Ksiądz podszedł ostrożnie naprzód. Nie przyzwyczał się jeszcze do faktu, że zwierzę nie mogło skoczyć. Psa kojarzy się z ruchem, ale to stworzenie, niczym człowiek-kaleka, potrafiło tylko myśleć. Można było widzieć jak te myśli — głód, nadzieja i nienawiść — rysują się na gałce ocznej.

Ksiądz wyciągnął rękę w stronę kości i muchy z brzękiem uniosły się w górę. Zwierzę zamilkło i patrzyło uważnie. — Spokojnie, spokojnie — powiedział ksiądz przymilając się chytrze. Wykonywał w powietrzu drobne, wabiące gesty. Zwierzę uparcie wpatrywało się w niego. Nagle ksiądz odwrócił się i odszedł, jak gdyby rezygnował z kości. Mruczał cicho pod nosem jakieś zdanie z mszy, demonstracyjnie nie zwracając uwagi. Potem znowu szybko odwrócił się. Nie udało się. Suka obserwowała go, wykręcając szyję, aby nadażyć za jego przemyślnymi ruchami.

Przez chwilę był wściekły: żeby jakiś kundel z przetrąconym grzbietem ukradł jedyne pożywienie! Zaczął przeklinać, używając popularnych określeń, podchwyconych około wiejskich estrad dla orkiestr. W innych okolicznościach byłby zdumiony, że tak łatwo przychodziły mu na język. Nagle roześmiał się. Oto była ludzka godność: sprzeczać się z psem o kość. Na dźwięk jego śmiechu zwierzę postawiło uszy, których koniuszki drgały niespokojnie. Ale nie czuł litości. Jej życie było bez znaczenia wobec ludzkiego życia. Rozejrzał się za czymś do rzucenia, ale pokój był ogołocony prawie ze wszystkiego poza tą kością. Kto wie, może zostawiono ją naumyślnie dla kundla. Przyszło mu na myśl, że to dziewczynka pamiętała o tym przed wyjazdem z chorą matką i głupim ojcem. Miał wrażenie, że zawsze tylko ona musiała myśleć za wszystkich. Nie mógł znaleźć nic lepszego do tego celu jak połamany, druciiany koszyk, którego używano do jarzyn.

Podszedł znów do suki i lekko uderzył ją w pysk. Chwyliła za drut swymi starymi, połamanymi zębami i nie



ruszała się z miejsca. Uderzył ją powtórnie, tym razem mocniej. Chwyliła za drut tak mocno, że musiał go jej wyrwać. Uderzył ją kilkakrotnie, aż wreszcie zorientował się, że suka może się ruszać jedynie z największym wysiłkiem. Nie była w stanie uciec od ciosów, ani puścić kości. Mogła jedynie cierpieć. W przerwach pomiędzy ciosami świeciła żółtymi, przerażonymi i złymi ślepiami.

Wtedy zmienił metodę. Użył kosza do jarzyn jako czegoś w rodzaju kagańca, przytrzymując nim zęby suki, a jednocześnie schylił się i porwał kość. Szarpnęła jedną łapę i ustąpiła. Opuścił drut i odskoczył w tył. Zwierzę próbowało bez powodzenia iść za nim, po czym opadło na podłogę. Ksiądz zwyciężył. Miał swoją kość. Suka nie usiłowała już nawet warczeć.

Ksiądz rozdarł kawał surowego mięsa zębami i zaczął żuć. Nigdy jeszcze jedzenie tak mu nie smakowało. Teraz, gdy przez chwilę czuł się szczęśliwy, zaczął odczuwać trochę litości. Myślał: zjem tylko tyle, a ona niech ma resztę. Zaznaczył w myśli miejsce na kości i odgryzł następny kawał. Mdłości odczuwane od kilku godzin opuściły go i pozostawiły po sobie potężny głód. Jadł dalej, a suka przypatrywała mu się. Teraz kiedy walka się skończyła, zdawała się nie mieć do niego pretensji. Zaczęła uderzać ogonem o podłogę z nadzieją, pytająco. Ksiądz doszedł do miejsca, które zaznaczył, ale teraz wydawało mu się, że jego uprzedni głód był urojony. To co teraz odczuwał, to był głód. Potrzeby człowieka są większe niż psa. Zostawi mu ten zwój mięsa przy stawie. Ale kiedy chwila przyszła, zjadł także i to. Ostatecznie pies ma zęby, więc zje samą kość. Rzucił ją koło pyska suki i wyszedł z kuchni.

Jeszcze raz przemierzył puste pokoje. Złamana łyżka do butów, butelki od lekarstw, wypracowanie o Amerykańskiej Wojnie o Niepodległość. Nie było nic, co mogłoby mu wyjaśnić, dlaczego stąd wyjechali. Wyszedł na werandę i przez dziurę w deskach zobaczył, że na ziemię wypadła książka i leżała między nieotynkowanymi słupkami z cegły, na których stał dom odizolowany w ten sposób od szlaków mrówek. Od wielu miesięcy ksiądz nie widział żadnej książki. Leżała tam i pleśniała pod kolumnami prawie jak obietnica lepszej przyszłości; obietnica życia

w prywatnych domach, w których będą odbiorniki radiowe i półki z książkami i łóżka zaścielone na noc i obrusy przy posiłkach. Przykłęknął na ziemi i sięgnął po nią. Nagle pojął, że gdy skończy się ta długa walka, gdy przekroczy góry i granicę prowincji, może znów jeszcze będzie mógł się cieszyć życiem.

Była to angielska książka, ale z lat które spędził w amerykańskim seminarium pamiętał angielski na tyle, że z pewną trudnością mógł ją czytać. Nawet gdyby nie mógł zrozumieć ani słowa, zawsze to była książka. Nazywała się *Klejnoty w pięciu słowach. Skarbiec angielskiej poezji*. Na czystej kartce za okładką nalepione było drukowane zaświadczenie: „Przyznane... po czym następowało nazwisko Coral Fellows wypisane ręcznie... za postępy w wypracowaniach z języka angielskiego na poziomie klasy trzeciej”. Był tam też jakiś zawiły herb, który zdaje się zawierał gryfa i liść dębowy, a także motto łacińskie „Virtus Laudata Crescit” i podpis odbity gumową pieczętką: Henry Beckley, B.A., Kierownik Kursów Korespondencyjnych Ltd.

Książd usiadł na schodkach werandy. Wszędzie panowała cisza. Na opuszczonej plantacji bananowej nie było śladu życia, poza sępem, który jeszcze nie stracił nadziei. Indianin mógł być przywidzeniem. Po posiłku chwilką lektury, pomyślał książd z melancholijnym humorem i otworzył książkę na chybił trafił. A więc dziewczynce było na imię Coral. Myślał o sklepach w Vera Cruz pełnych koralu; twardych, kruchych kamieni, które z jakiegoś powodu uważano za nader odpowiednie dla małych dziewcząt po pierwszej Komunii. Czytał (\*):

„Z bagien gdzie łyski żyją i czaple,  
W nagłym porywie wychynę;  
Zarzę się najpierw pośród paproci  
I z błyskiem sunę w dolinę”.

Był to bardzo niejasny wiersz, pełen słów, które wyglądały jak esperanto. Więc taka jest angielska poezja, myślał. Dziwne. Odrobina poezji, jaką znał, miała za przedmiot

---

(\*) Tennyson: *The Brook* (Potok) (przyp. Red.).

wrotem do domu, bo trawa jest mokra. Kobieta szła za nim potulnie. Nie chciała zdaje się dotknąć ciała, przyglądała się tylko jak składa je znowu w ciemności na kukurydzy. Usiadł na ziemi i rzekł powoli: —

— Trzeba będzie je pogrzebać.

Zrozumiała to i skinęła głową.

— Gdzie jest twój mąż? Czy ci pomoże? — spytał.

Zaczęła mówić szybko. Przypuszczalnie mówiła narzeczem Camacho, bo poza paru hiszpańskimi słowami nie mógł nic zrozumieć. Słowo „Americano” znów się powtórzyło; przypomniał sobie poszukiwanego człowieka, którego podobizna sąsiadowała na ścianie z jego własną. Zapytał:

— Czy on to zrobił? — Potrząsnęła głową. Co się więc stało? — zastanawiał się. Może zbieg ukrył się tutaj, a żołnierze strzelali do szafasów? To było prawdopodobne. Nagle przykuło jego uwagę to, że wymówiła nazwę plantacji bananowej. Ale tam nikt nie umarł, ani nie było śladów gwałtu, chyba że cisza i opuszczenie były śladami. Przypuszczał, że matka zachorowała, ale mogło zdarzyć się coś gorszego. Wyobraził sobie, że może durny kapitan Fellows zdjął sztucer i operując nim niezgrabnie wyszedł naprzeciw człowiekowi, którego głównym talentem było szybkie dobywanie broni lub strzelanie bezpośrednio z kieszeni. To biedne dziecko... kto wie jaką odpowiedzialność była może zmuszona wziąć na siebie.

Otrząsnął się z tej myśli i zapytał: — Masz łopatę? Nie zrozumiała go i musiał jej na migi pokazać kopanie. Nowy grzmot stoczył się pomiędzy nich. Nadchodziła druga burza, jak gdyby nieprzyjaciół odkrył, że pierwszy ogień zaporowy zostawił mimo wszystko paru niedobitków przy życiu; ten ich rozmiażdży. Znów usłyszał ogromne tchnienie deszczu, odległego o wiele mil. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że kobieta wymówiła słowo „kościół”. Jej znajomość hiszpańskiego ograniczała się do odosobnionych słów. Zastanawiał się co przez to rozumiała. Wtem deszcz dopadł ich. Stał jak ściana pomiędzy nim a ucieczką, spiętrzył się niby sterta i ogroził ich ze wszystkich stron. Zapadła zupełna ciemność, przerywana tylko błyskawicami.

Dach nie mógł wytrzymać takiego deszczu; przeciekał na całej powierzchni. Suche liście kukurydzy, na których

leżało zmarłe dziecko, trzaskały jak płonący chrust. Ksiądz trząsł się z zimna. Prawdopodobnie zbliżał się atak febry. Musi się stąd wydostać, zanim utraci w ogóle zdolność poruszania się. Kobieta, której teraz nie mógł dojrzeć, powtórzyła znowu błagalnie słowo „Iglesia”. Przyszło mu na myśl, że ona chce pochować dziecko w pobliżu Kościoła, lub może tylko zanieść przed ołtarz, aby dotknęła je stopa Chrystusa. Cóż za fantastyczny pomysł.

Skorzystał z długiego błysku niebieskiego światła, żeby gestami rąk dać do zrozumienia, iż to jest niemożliwe. — Żołnierze — rzekł, a ona natychmiast odparła: — *Americano*. — To słowo wciąż pojawiało się, jak gdyby miało wiele znaczeń i zależnie od akcentu z jakim się je wymawia oznaczało wyjaśnienie, ostrzeżenie lub groźbę. Może chciała powiedzieć, że wszyscy żołnierze byli zajęci pościgiem. Ale nawet w tym wypadku deszcz psuł wszystko. Do granicy było jeszcze trzydzieści kilometrów, a ścieżki górskie były po burzy prawdopodobnie nie do przebycia. Jeśli zaś chodzi o kościół... nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie mógł być kościół. Od lat w ogóle nie widział śladu kościoła i trudno było uwierzyć, że wciąż jeszcze istnieją, o parę dni drogi zaledwie. W świetle nowej błyskawicy zobaczył kobietę, przyglądającą mu się z kamienną ciepłością.

Od trzydziestu godzin mieli do jedzenia tylko cukier: duże brązowe bryły wielkości głowy dziecka. Nie spotkali nikogo i nie zamienili ani jednego słowa. Po co mieliby mówić, skoro jedynymi niemal słowami jakie oboje znali były „Iglesia” i „Americano”? Kobieta szła w trop za nim z martwym dzieckiem uwiązany na plecach. Zdawało się, że nigdy nie ulegała zmęczeniu. Dzień i noc marszu wyprowadziły ich z bagien do podnóża gór. Spali o pięćdziesiąt stóp ponad nurtem leniwej, zielonej rzeki, schowani pod wystającą skałą, gdzie ziemia była sucha; wszędzie indziej było głębokie błoto. Kobieta siedziała z podkurczonymi nogami i spuszczoną głową. Nie zdradzała żadnego uczucia, ale położyła ciało dziecka za sobą, jak cenny przedmiot, którego trzeba strzec przed włóczęgami. Szli kierując się słońcem, dopóki nie wskazała im drogi porośnięta lasem czarna ściana gór. Mogło się zdawać, że

są jedynymi istotami ocalonymi z umierającego świata i że noszą na sobie widoczne ślady tego umierania.

Czasem zastanawiał się, czy jest bezpieczny, ale gdy nie ma widzialnych granic między jedną prowincją a drugą, gdy nie ma kontroli paszportów, ani biur celnych, niebezpieczeństwo zdaje się wędrować razem z człowiekiem, podnosząc swe ciężkie stopy w takt jego kroków. Posuwali się bardzo nieznacznie naprzód. Ścieżka wznosiła się stromo może na jakieś pięćset stóp, a potem opadała. Błoto czyniło marsz jeszcze trudniejszym. W pewnym miejscu ścieżka zatoczyła ogromny łuk, tak że po trzech godzinach powrócili do punktu położonego o niecałe sto metrów dalej od miejsca, z którego wyszli.

O zachodzie słońca drugiego dnia wyszli na szeroki płaskowyż, porośnięty krótką trawą. Na tle nieba czernił się dziwny las krzyży, pochylonych pod rozmaitym kątem. Niektóre z nich były wysokie na sześć metrów, inne nie dochodziły do trzech. Wyglądały jak drzewa pozostawione na wysianie się. Ksiądz zatrzymał się i patrzył na nie. Były to pierwsze symbole chrześcijańskie, wystawione publicznie, jakie widział od pięciu z górą lat. Oczywiście, jeśli ten pusty płaskowyż w górach można było nazwać miejscem publicznym. Żaden ksiądz nie brał chyba udziału w budowie tej dziwnej grupy surowych krzyży. Było to dzieło Indian i nie miało nic wspólnego ze schludnością mszalnych szat i starannie opracowanymi symbolami liturgiki. Sprawiało to wrażenie drogi na przełaj do ciemnego i magicznego serca wiary, w głąb nocy, w którą otworzą się groby, a umarli zaczną chodzić. Coś poruszyło się za jego plecami i odwrócił się.

Kobieta upadła na kolana i wlokła się po okrutnej ziemi w stronę krzyży. Zwłoki dziecka kiwały się na jej grzbiecie. Gdy zbliżyła się do największego krzyża, zdjęła dziecko z ramion i zbliżyła do drzewa najpierw jego twarz, a potem biodra. Następnie przeżegnała się, nie tak jak to czynią normalnie katolicy, ale w dziwny i skomplikowany sposób, obejmujący nos i uszy. Czy spodziewała się cudu? A jeśli tak, dlaczego miałby jej być odmówiony? — myślał ksiądz. Wiara, mówiło się, przenosi góry, a tu była wiara; wiara w ślinę, która uzdrowiła ślepcę i w głos, który wskrzeszał umarłych. Wzeszła gwiazda wieczorna.

Wisiała nisko nad samą krawędzią płaskowyżu; zdawało-by się, że można po nią sięgnąć. Dał się odczuć łagodny powiew gorącego wiatru. Ksiądz przyłapał się na tym, że patrzy na dziecko, oczekując jakiegoś znaku życia. Gdy ciało nie poruszyło się, doznał uczucia jakby Bóg pominął okazję. Kobieta usiadła, wyjęła z zawiniątka bryłę cukru i zaczęła jeść, a dziecko leżało spokojnie u stóp krzyża. Ostatecznie dlaczego mielibyśmy wymagać od Boga, by karał niewinnego dalszym życiem?

— *Vamos* — rzekł ksiądz, ale kobieta skrobała cukier ostrymi, przednimi zębami, nie zwracając na niego uwagi. Spojrzał na niebo i zobaczył, że czarne chmury zatarły gwiazdę wieczorną. — *Vamos*. — Na płaskowyżu nie było nigdzie żadnego schronienia.

Kobieta nie ruszyła się. Jej zorana, grubo ciosana twarz o płaskim nosie, ujęta w czarne warkocze, była zupełnie bierna. Zdawało się, że spełniła swój obowiązek i może się teraz udać na wieczny spoczynek. Księdza nagle ogarnął dreszcz. Ból, który uciskał mu czoło przez cały dzień niczym obręcz sztywnego kapelusza, wżarł się głębiej. Pomyślał: muszę znaleźć jakieś schronienie. Pierwsza powinność człowieka jest względem samego siebie. Nawet Kościół uczy czegoś w tym rodzaju. Całe niebo pociemniało. Krzyże sterczały w górę jak suche, brzydkie kaktusy. Ruszył w stronę krawędzi płaskowyżu. Raz, zanim ścieżka zaczęła schodzić w dół, obejrzał się. Kobieta wciąż gryzła bryłę cukru. Przypomniawszy sobie, że była to cała żywność jaką mieli.

Droga była bardzo stroma, tak stroma, że musiał się odwrócić i schodzić tyłem. Po obu stronach drzewa wyrastały prostopadle z szarej skały, a o jakieś dwieście metrów poniżej ścieżka znów zaczynała wspinać się w górę. Ociekał potem i czuł dotkliwe pragnienie. Gdy zaczął padać deszcz, w pierwszej chwili odczuł jakby ulgę. Zatrzymał się tam, gdzie był, bez ruchu, skulony pod ogromnym głazem. Nie było żadnego schronienia bliżej niż na dnie *barrancas*, a dotarcie tam wydawało mu się bezcelowym wysiłkiem. Dreszcze wstrząsały nim teraz prawie bez przerwy. Zdawało mu się, że bólu nie odczuwa już wewnątrz głowy; ból stał się czymś zewnętrznym, jakby wszystkim niemal — hałasem, myślą, zapachem. Zmysły

mieszały mu się z sobą. W pewnej chwili ból był jak natrętny głos, tłumaczący mu, że wszedł na złą ścieżkę. Przypomniawszy sobie widzianą kiedyś mapę dwu sąsiednich prowincji. Prowincja, z której uciekał była usiana wioskami; na gorącej, bagnistej ziemi ludzie mnożyli się jak moskity. Ale w drugiej prowincji, w północno-zachodnim rogu mapy, nie było prawie nic poza czystym, białym papierem. Jesteś teraz na tym pustym papierze, mówił mu ból. Ale jest ścieżka, spierał się znużony. Ach, ścieżka — mówił ból — ścieżka może być i sto kilometrów, zanim w ogóle gdzieś dotrze. Wiesz, że nie wytrzymasz takiej odległości. Wszystko dokoła to tylko biały papier.

Innym razem ból był jakąś twarzą. Był przekonany, że Amerykanin mu się przygląda. Miał skórę całą w kropki, jak na fotografii w gazecie. Widocznie szedł za nimi cały czas, bo chciał zabić matkę, tak jak zabił dziecko. Mordercy mają ten rodzaj sentymentalizmu. Trzeba było koniecznie coś przedsięwziąć. Deszcz był jak kurtyna, za którą niemal wszystko mogło się zdarzyć. Pomyślał: Nie powinienem być jej tak zostawić samej. Boże, przebac mi. Nie mam poczucia odpowiedzialności. Czegóż możesz się spodziewać po księdzu-moczymordzie? Podniósł się z trudem i zaczął wspinać się z powrotem na płaskowyż. Dręczyły go myśli. Nie chodziło tylko o kobietę. Był odpowiedzialny także za Amerykanina. Dwie twarze — jego własna i bandyty — wisiały razem na ścianie w koszarach policji, niby podobizny dwóch braci w galerii rodzinnych portretów. Nie wystawia się swego brata na pokusy.

Miotany dreszczami, ociekając potem i deszczem wyostał się na krawędź płaskowyżu. Nie było tam nikogo; martwe dziecko nie było przecież kimś. Ot, niepotrzebny przedmiot, porzucony u stóp jednego z krzyży. Matka poszła do domu. Zrobiła bowiem to, co chciała zrobić. Zdumienie jakby wydobyło go na chwilę z gorączki, która jednak wkrótce znów go ogarnęła. Wszystko co pozostało, to niewielka grudka cukru, leżąca przy ustach dziecka. Może na wypadek gdyby zdarzył się cud, a może jako pokarm dla ducha? Ksiądz schylił się z niejasnym poczuciem wstydu i wziął ją. Nieżywe dziecko nie mogło warknąć na niego jak przetrącony pies. Lecz kimże on był, aby nie wierzyć w cuda? Deszcz znowu spływał strumieniami.

Ksiądz zawahał się, a potem włożył cukier do ust. Jeśli Bóg zechce wrócić życie, czy nie może dać także pożywienia?

Gdy tylko zaczął jeść, febra wróciła. Cukier uwiązał mu w gardle. Czuł straszne pragnienie. Zginając się do ziemi usiłował zlizać nieco wody z wklęsłości gruntu, a nawet ssał własne przemoczone spodnie. Dziecko leżało na ulewnym deszczu niczym ciemna kupka bydlęcego nawozu. Ksiądz ruszył znowu na skraj płaskowyżu i w dół zboczem *barranca*. Czuł się teraz osamotniony. Nawet twarz zniknęła. Brnął sam przez pustą, białą kartę, z każdym krokiem zagłębiając się coraz bardziej w opuszczony kraj.

Gdzieś, w którejś stronie, były oczywiście miasta. Gdyby iść dość daleko, dosięgłoby się wybrzeża, Pacyfiku, linii kolejowej do Guatemali. Są tam szosy i samochody. Pociągu nie widział już od dziesięciu lat. Wyobrażał sobie czarną linię, biegnącą na mapie wzdłuż wybrzeża i widział sto, dwieście kilometrów nieznanego kraju. Oto dokąd zaszedł: uciekł od ludzi zbyt daleko. Teraz zabije go natura.

Mimo to szedł dalej. Nie było sensu wracać do opuszczonej wioski, do plantacji bananowej, zdychającego kundla i złamanej łyżki do butów. Nie można było zrobić nic innego jak tylko stawiać naprzód jedną nogę, a potem drugą; drapać się w dół, a potem w górę. Gdy deszcz minął, ze szczytu *barranca* nie było widać nic poza ogromną, poszarpaną masą ziemi, lasu i gór, spowitych w szarą, mokrą zasłonę. Spojrzał raz i szybko odwrócił oczy. Był to zbyt doskonały obraz rozpacz.

Minęło chyba wiele godzin zanim przestał się wspinać. Zapadł wieczór; w lesie niewidoczne małpy harcowały niezgrabnie i zuchwale po drzewach, jakieś stworzenia — prawdopodobnie węże — syczały w trawie jak płomienie zapalek. Nie bał się ich. Były przejawem życia, a on czuł że życie cały czas cofa się przed nim. Nie tylko ludzie; nawet zwierzęta i gady uciekały. Wkrótce zostanie sam, bez niczego prócz własnego oddechu. Zaczął recytować po cichu: „Panie, umiłowalem okazałość domu Twego”, a zapach mokrych, gnijących liści, upalna noc i ciemność obudziły w nim przekonanie, że znajduje się w szybie kopalni i schodzi w głąb ziemi, aby pogrzebać samego siebie. Wkrótce znajdzie swój grób.



Kiedy zbliżył się do niego człowiek uzbrojony w karabin, nie zareagował najmniejszym gestem. Człowiek podszedł ostrożnie: trudno było się spodziewać, że się znajdzie kogoś drugiego pod ziemią. Trzymając broń w pogotowiu spytał: — Kto wy jesteście?

Po raz pierwszy od dziesięciu lat ksiądz powiedział swoje nazwisko obcemu, bo był zmęczony i dalsze czepianie się życia wydawało mu się bezcelowe.

— Ksiądz? — spytał tamten ze zdumieniem. — Skąd ksiądz się tutaj wziął.

Gorączka znów ustąpiła, przywracając odrobinę poczucia rzeczywistości. — Nic się nie bójcie. Nie zrobię wam żadnego kłopotu. Idę dalej. — Zebrał całą pozostałą energię i zaczął iść. Zdziwiona twarz przeniknęła poprzez jego gorączkę i cofnęła się. Nie będzie już więcej zakładników, upewniał na głos sam siebie. Kroki podążały za nim. Był jak niebezpieczny człowiek, którego lepiej wyprowadzić za granicę posiadłości, zanim się wróci do domu. Powtórzył głośno: — Nic się nie bójcie. Nie zostaję tutaj. Nie chcę nic.

— Ojczy... — odezwał się głos z pokorą i niepokojem.

— Już stąd idę. — Usiłował biec i nagle znalazł się poza lasem, a tu w górze, na skraju lasu stał duży, bielony budynek. Koszary? Może tam byli żołnierze? Powiedział: — Jeśli mnie zauważono, oddam się w ich ręce. Zapewniam was, że nikt tu nie będzie miał przykrości z mojego powodu.

— Ojczy... — Głowa bolała go nieznośnie. Potknął się i oparł się ręką o ścianę. Czuł się niezmiernie znużony. Spytał: — Koszary?

— Ojczy — rzekł głos, zdziwiony i zatroskany. — To nasz kościół.

\* — Kościół? — Ksiądz z niedowierzaniem przesunął ręką po ścianie, jak ślepiec usiłujący rozpoznać jakiś dom, ale był zbyt zmęczony, by czuć cokolwiek. Słyszał jak człowiek z karabinem, którego nie mógł dojrzeć, coś tam bełkotcze: — Taki zaszczyt, ojczy. Trzeba uderzyć w dzwon... — Ale ksiądz zwałił się na mokrą trawę i opierając głowę o ścianę zasnął czując za plecami swój dom.

Sen jego był pełen radosnego dźwięku dzwonów.



CZEŚĆ TRZECIA



## R o z d z i a ł 1

Kobieta w średnim wieku siedziała na werandzie i czerpała skarpetki. Na nosie miała binokle i dla wygody zrzuciła z nóg obuwie. Jej brat, Mr Lehr, czytał jakieś nowojorskie pismo ilustrowane, sprzed trzech tygodni co prawda, ale to nie miało właściwie znaczenia. Cała ta scena sprawiała wrażenie pokoju.

— Proszę brać wodę samemu, kiedy tylko ksiądz sobie życzy — powiedziała Miss Lehr.

W chłodnym kącie stał wielki, gliniany dzban wraz z czerpakiem i szklanym kubkiem. — To państwo nie muszą gotować wody? — spytał ksiądz.

— Och nie, *nasza* woda jest świeża i czysta — rzekła sztywno Miss Lehr, jak gdyby nie mogła ręczyć za żadną inną wodę.

— Najlepsza woda w całej prowincji — stwierdził jej brat. Błyszczące kartki magazynu przewracały się z chrzęstem. Pokryte były fotografiami senatorów i posłów: wielkie, gładko ogolone, podobne do brytanów szczęki. Za płotem ogrodu rozciągało się pastwisko, łagodnie i falisto wznoszące się w stronę najbliższego pasma gór, a przy bramie co dzień zakwitały i więdły kwiaty na drzewie tulipanowym.

— Ksiądz naprawdę lepiej wygląda — powiedziała Miss Lehr. Oboje mówili po angielsku gardłowo i z lekkim amerykańskim akcentem. Mr Lehr opuścił Niemcy jeszcze

będąc chłopcem, żeby uniknąć służby wojskowej. Miał twarz idealisty, przebiegłą i poorly zmarszczkami. Należało być przebiegłym w tym kraju, jeśli chciało się zachować w ogóle jakieś ideały. Był chytrym w obronie wygodnego życia.

— Och, potrzeba mu było tylko parę dni odpoczynku — rzekł Mr Lehr. Nie odczuwał on żadnej ciekawości w stosunku do człowieka, którego w stanie zupełnego osłabienia przyprowadził mu przed trzema dniami na mule nadzorca. Wiedział tylko to, co powiedział mu ksiądz. Była bowiem jeszcze jedna rzecz, której ten kraj uczył: nigdy nie zadawać pytań, ani nie robić żadnych przypuszczeń.

— Wkrótce będę mógł iść dalej — zauważył ksiądz.

— Nie ma pośpiechu — rzekła Miss Lehr, oglądając skarpetkę brata i szukając w niej dziur.

— Taki spokój tutaj.

— Och, mieliśmy tu trochę kłopotów — powiedział Mr Lehr. Odwrócił kartkę i dodał: — Ten senator Hiram Long... powinno się go powstrzymać. Znieważanie obcych krajów nie jest dobrą rzeczą.

— Czy nie usiłowali zabrać panu ziemi?

Twarz idealisty zwróciła się ku niemu z wyrazem niewinnej chytrości: — Och, dałem im tyle, ile chcieli; pięćset akrów jałowego gruntu. Zaoszczędziłem sobie wiele na podatkach. Nigdy nic tam nie chciało rosnąć. — Skinął głową w stronę słupków werandy. — To był ostatni prawdziwy kłopot. Widzi ksiądz te dziury od kul? To ludzie Villi.

Ksiądz znowu wstał i napił się jeszcze wody. Nie był bardzo spragniony; czynił to w poczuciu, że może sobie pozwolić na ten luksus. Spytał: — Jak długo zajmie mi dostanie się do Las Casas?

— Zaszędłby tam ksiądz w ciągu czterech dni — rzekł Mr Lehr.

— Nie w takim stanie — stwierdziła Miss Lehr. — Sześć dni co najmniej.

— Jakże to dziwne będzie mi się wydawać — mówił ksiądz. — Miasto z kościołami, z uniwersytetem...

— Oczywiście, proszę księdza — powiedział Mr Lehr. — Moja siostra i ja jesteśmy luteranami i nie sympatyzujemy

z waszym Kościołem. Wydaje mi się, że za dużo jest u was zbytku, podczas gdy ludzie przymierają głodem.

Miss Lehr zauważyła: — To nie jest wina księdza, kochanie.

— Zbytku? — spytał ksiądz. Stał obok glinianego dzbana, trzymając w ręku szklankę i spoglądając na podłużne, spokojne, trawiaste zbocza, usiłował zebrać swe myśli. — Pan myśli... — Może Lehr miał rację. Jemu samemu życie układało się kiedyś bardzo łatwo, a oto teraz znów przyzwyczajał się do nieróbstwa.

— Te wszystkie złocenia w kościołach.

— To często jest tylko farba, wie pan — mruzczał pojedynczo ksiądz. Myślał: Tak, trzy dni minęły, a ja nie zrobiłem nic, w ogóle nic. Spuścił wzrok na swoje stopy elegancko obute w trzewiki Mr Lehra i nogi odziane w jego spodnie. Mr Lehr powiedział do siostry: — Ksiądz się nie obrazi, jeśli będę mówił szczerze. Wszyscy jesteśmy chrześcijanami.

— Oczywiście. Chętnie słucham...

— Mnie się zdaje, że wy robicie zbyt wiele krzyku dookoła rzeczy nieistotnych.

— Tak? Co pan ma na myśli?...

— Post... ryba w piątek...

Tak. Przypomniał sobie jak coś z okresu dzieciństwa, że kiedyś był taki czas, gdy zachowywał te przepisy. — Ale przecież, panie Lehr, pan jest Niemcem — powiedział. — To wielki, militarny naród.

— Nigdy nie byłem żołnierzem. Jestem przeciwny...

— Tak, oczywiście, ale jednak pan rozumie... dyscyplina jest konieczna. Ćwiczenia mogą nie być przydatne w bitwie, ale kształcą charakter. Inaczej ma pan ludzi... no, takich jak ja. — Spojrzał z nagłą nienawiścią na swoje buty; wyglądały jak odznaka dezertera. — Takich jak ja — powtórzył z pasją.

Nastąpiła chwila dużego zakłopotania. Miss Lehr zaczęła mówić: — Ależ, proszę księdza... — Ale Lehr uprzedził ją i złożył ilustrowane pismo pełne gładko wygolonych polityków. Z gardłową precyzją odezwał się swym niemiecko-amerykańskim głosem: — Myślę, że już czas na kąpiel. Ksiądz też idzie? — Ksiądz posłusznie udał się za nim do ich wspólnej sypialni. Zdjął z siebie ubranie pana Lehra,

włożył płaszcz nieprzemakalny pana Lehra i boso poszedł za panem Lehrem przez werandę i znajdujące się za nią pole. Poprzedniego dnia spytał z niepokojem: — Czy nie ma tu węży? — na co Lehr mruknął pogardliwie, że jeśli by były jakieś węże, to prędko by zeszły z drogi. Lehr i jego siostra razem zmówili się, żeby zwalczać dzikość tych okolic po prostu przez ignorowanie wszystkiego, co stało w sprzeczności z typowym niemiecko-amerykańskim domem. W swoim rodzaju był to tryb życia godny podziwu.

U stóp pola mały, płytki strumyk płynął po brązowych kamykach. Lehr zdjął szlafrok i położył się płasko na wznak. Nawet w chudych, starzejących się nogach i zwiotczących mięśniach było coś z prostolinijnego idealisty. Małutkie rybki igrały powyżej jego piersi i lekko szarpały jego sutki, nie wywołując najmniejszego poruszenia. Był to szkielet młodzieńca, przeciwnego militarzowi do tego stopnia, że uciekł ze swej ojczyzny. Po chwili usiadł i zaczął starannie namydlać swe chude uda. Potem ksiądz wziął mydło i zrobił to samo. Czuł, że tego się po nim spodziewano, ale nie mógł obronić się przed myślą, że była to strata czasu. Pot czyścił człowieka tak samo dokładnie jak woda. Ale Lehr należał do rasy, która wymyśliła przysłowie, że czystość jest siostrą bogobojności; czystość fizyczna, nie moralna.

Gdy cienie wydłużyły się, a on leżał w chłodnym strumyku, miał mimo wszystko poczucie ogromnego zbytku. Pomyślał o celi więziennej, o starcu i pobożnej kobiecie, o metysie leżącym w poprzek drzwi szałas, o zmarłym dziecku i opuszczonej plantacji bananowej. Pomyślał ze wstydem o córce, którą zostawił na pastwę jej wiedzy i niewiedzy obok śmietniska. Nie miał prawa do tego luksusu.

Mr Lehr spytał: — Czy można prosić o mydło?

Przewrócił się na brzuch i zaczął mydlić plecy.

Ksiądz rzekł: — Chyba powinienem panu powiedzieć... jutro odprawię mszę we wsi. Czy woli pan, żebym opuścił pański dom? Nie chcę, żeby pan miał przeze mnie kłopot.

Mr Lehr mył się, rozpryskując wodę z powagą. Odparł: — Och, oni mi nic nie robią. Ale ksiądz niech lepiej będzie ostrożny. Ksiądz wie naturalnie, że to jest nielegalne.



— Tak — rzekł ksiądz. — Wiem o tym.

— Jednego księdza jakiego znałem skazano na 400 pezów grzywny. Nie mógł zapłacić i posłali go na tydzień do więzienia. Czemu ksiądz się uśmiecha?

— Tylko dlatego, że tu wydaje się tak... spokojnie. Tydzień więzienia!

— No, ja wciąż słyszę, że wam się to wszystko zwraca kiedy zbieracie na tacę. Czy ksiądz chce mydło?

— Nie, dziękuję. Skończyłem.

— Więc lepiej wycierajmy się. Miss Lehr lubi się kąpać przed zachodem słońca.

Gdy wracali jeden za drugim do bungalow, spotkali wielką masę Miss Lehr toczącą się w szlafroku. Spytała mechanicznie, jak zegar bardzo łagodnie wybijający godziny: — Woda przyjemna dzisiaj? — Brat odpowiedział tak samo jak odpowiadał chyba już z tysiąc razy: — Przyjemnie chłodna, kochanie. — Potoczyła się dalej w rannych pantoflach przez trawę, lekko przygarbiona z powodu krótkiego wzroku.

Mr Lehr zamknął drzwi do sypialni i powiedział: — Może ksiądz będzie łaskaw zostać tutaj dopóki Miss Lehr nie wróci. Ksiądz rozumie... od frontu domu można widzieć strumień.

Wysoki, kościsty i nieco sztywny, zaczął się ubierać. Dwa łóżka z mosiężnymi gałkami, jedno krzesło i szafa stały w pokoju, który przypominał klasztorną celę, nie było w nim tylko krzyża; nie było „rzeczy nieistotnych”, jakby to określił Mr Lehr. Ale była biblia. Leżała na podłodze obok jednego z łóżek i była w czarnym pokrowcu. Gdy ksiądz skończył się ubierać, otworzył ją.

Na kartce okładki znajdowała się etykieta stwierdzająca, że książka została dostarczona przez „Dom Gideons”. Tekst reklamowy głosił: „Biblia w każdym hotelowym pokoju. Zdobywać Ludzi Handlu dla Chrystusa. Dobra nowina”. Następowwała lista tekstów. Ksiądz przeczytał niektóre z nich ze zdumieniem:

Jeśliś w kłopotcie, czytaj

Psalm 34.

Jeśli interesy źle idą

Psalm 37.

Jeśli bardzo dobrze się wiedzie

I Koryntian, 10,2.

drzwiami rozsypywał się. Ksiądz spojrzał szybko, z ukosa na Pedra, wstrzymując oddech, żeby nie było czuć alkoholu, ale mógł dojrzeć tylko zarysy twarzy. Z uczuciem chytrności — jak gdyby oszukiwał jakiegoś chciwego kusiciela we własnym sercu — rzekł: — Pedro, powiedzcie ludziom, że chcę tylko po jednym pezie za chrzest... — Wciąż jeszcze wystarczy mi na wódkę, nawet gdyby miał zjawić się w Las Casas jak żebrak. Chyba przez dwie sekundy panowało milczenie, po czym przebiegły, wiejski głos zaczął swoją odpowiedź: — My jesteśmy biedni, proszę księdza. Jeden pezo, to mnóstwo pieniędzy. Ja na przykład mam troje dzieci. Niech ksiądz policzy po siedemdziesiąt pięć centów.

Miss Lehr wyciągnęła przed siebie stopy, obute w wygodne pantofle. Z ciemności panującej na zewnątrz, wpadały na werandę żuki. — Kiedyś w Pittsburgu... — zaczęła. Jej brat spał ze starą gazetą na kolanach: nadeszła poczta. Ksiądz wy dobył z siebie cichy chichot, który miał wyrażać życzliwość, jak za dawnych czasów. Próba się nie udała. Miss Lehr zatrzymała się i pociągnęła nosem. — To ciekawe. Zdawało mi się, że czuję... alkohol.

Ksiądz wstrzymał oddech i wparł się głębiej w krzesło na biegunach. Jak spokojnie tu jest, jak bezpiecznie, pomyślał. Przypomniał sobie jak to ludzie z miasta nie mogą spać na wsi z powodu ciszy. Cisza może brzęczeć jak hałas o bębenki uszu.

— Co ja mówiłam, proszę księdza?

— Kiedyś w Pittsburgu...

— Oczywiście. W Pittsburgu... Czekałam na pociąg. Otóż widzi ksiądz, nie miałam nic do czytania. Książki są takie drogie. Więc pomyślałam sobie, że kupię gazetę, wszystko jedno jaką, wiadomości są takie same. Ale kiedy ją otworzyłam... Gazeta nazywała się *Wiadomości Polityczne*, czy coś takiego. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że tak okropne rzeczy są drukowane. Oczywiście nie przeczytałam więcej niż parę linijek. To była chyba najokropniejsza rzecz, jaka mi się w życiu zdarzyła. Po prostu... przejrzałam.

— Tak.

— Nigdy o tym nie powiedziałam Mr Lehrowi. Chyba zmieniłby swoją opinię o mnie, gdyby wiedział.

— Ale przecież nie było nic złego w...

— Ale w ogóle wiedzieć o tym!...

Gdzieś daleko krzyknął jakiś ptak. Lampa na stole zaczęła kopcić; panna Lehr pochyliła się i przykręciła knot. Wrażenie było takie, jak gdyby przyciemniono jedyne światło na przestrzeni całych mil. Smak koniaku wrócił mu do ust jak zapach eteru, przypominający człowiekowi o niedawnej operacji, zanim jeszcze miał czas przyzwyczaić się do życia. Przywiązało go to do innego rodzaju bytu. Czuł się jeszcze nieswojo w tym głębokim spokoju. Powiedział sobie, że z biegiem czasu wszystko będzie dobrze, że przestanie, że tym razem zamówił tylko trzy butelki. To będą ostatnie butelki jakie w ogóle wypije; tam już więcej pić nie będzie. Wiedział, że kłamie. Mr Lehr obudził się i rzekł: — A więc jak mówiłem...

— Nic nie mówisz, kochanie. Spałeś.

— O nie, mówiliśmy o tym draniu Hooverze.

— Nie wydaje mi się, kochanie. Już od dawna nie mówiłeś o nim.

— No — powiedział Mr Lehr — ciężki dzień mieliśmy. Ksiądz też jest chyba zmęczony... po tych wszystkich spowiedziach — dodał z lekkim niesmakiem.

Od ósmej do dziesiątej był nieprzerwany strumień penitentów. Dwie godziny najgorszego zła, jakie mała miejscowość jak ta zdołała przez trzy lata wyprodukować. Nie było tego wiele. Miasto spisałoby się „lepiej”. A może nie? Człowiek niewiele potrafi zdziałać. Pijaństwo, cudzołóstwo, nieczystość. Ze smakiem koniaku w ustach ksiądz siedział na krześle na biegunach w przegrodzie stajni nie patrząc w twarz człowieka kłęczącego z boku. Inni ludzie czekali kłęcząc w pustej przegrodzie. Stajnia Mr Lehra opróżniła się w ostatnich latach. Pozostał tylko jeden dychawiczny koń, który sapał w ciemnościach, podczas gdy postępujące głosy wyliczały grzechy.

— Ile razy?

— Dwanaście, ojcie. Może więcej — a koń znów sapał.

Poczucie niewinności łączące się z grzechem jest zdumiewające. Tylko twardy i ostrożny człowiek, a także święty, jest go pozbawiony. Ci ludzie wychodzili ze stajni czyści.

On jeden zostawał bez skruchy, spowiedzi i rozgrzeszenia. Pragnął powiedzieć temu człowiekowi: „Miłość nie jest grzechem, ale trzeba kochać w świetle i radości; jest grzechem tylko wtedy, gdy ją trzeba ukrywać i gdy się jest nieszczęśliwym... może być większym cierpieniem niż cokolwiek, z wyjątkiem utraty Boga. Taka miłość *jest* utratą Boga. Nie potrzeba ci pokuty, moje dziecko, już dość wycierpiałeś”. A innemu: „Żądza nie jest najgorszą rzeczą. Żądzy musimy unikać właśnie dlatego że w każdej chwili, każdego dnia, może się ona przekształcić w miłość. A kiedy kochamy nasz grzech, wtedy rzeczywiście jesteśmy nieodwołalnie zgubieni”. Ale powróciła rutyna konfesjonału, jak gdyby znowu znajdował się w małym, dusznym, drewnianym pudełku, w którym ludzie grzebią swoje nieczystości razem ze swoim księdzem. Mówił: — Grzech śmiertelny... niebezpieczeństwo... wola poprawy — jak gdyby te słowa w ogóle coś znaczyły. Dodał: — Odmów trzy Ojczy Nasz i trzy Zdrowaśki.

Szeptał znużony: — Picie to tylko początek... — Widział że nie potrafi nawet przytoczyć żadnego przykładu, skazującego ten banalny nałóg, chyba że ukaże siebie samego, w tej stajni cuchnącego wódką. Szybko zadał pokutę, ostro, mechanicznie. Człowiek odejdzie mówiąc „to zły ksiądz”, nie czując zachęty, ani zainteresowania...

Powiedział: — Te przykazania zostały stworzone dla człowieka. Kościół nie wymaga... jeśli nie możesz pościć, jedz — i tyle. — Penitenci wiercili się niespokojnie w sąsiedniej przegrodzie stajni, koń rżał a stara kobieta wciąż plotła i plotła o dniach, w które nie zachowała postu i o skracanych pacierzach wieczornych. Wtem, zupełnie nieoczekiwanie, z dziwnym uczuciem tęsknoty pomyślał o zakładnikach na dziedzińcu więziennym, czekających w kolejce do kranu i nie patrzących na niego. Pomyślał o cierpieniach znoszonych cierpliwie wszędzie po drugiej stronie gór. Przerwał kobiecie z wściekłością: — Dlaczego nie spowiadasz mi się jak należy? Nie obchodzi mnie, ile ryb kupujesz, albo że jesteś śpiąca wieczorem... przypomnij sobie swoje rzeczywiste grzechy.

— Ale ja jestem porządna kobieta, proszę księdza — pisnęła ze zdumieniem.

— To po co zajmujesz tu czas i miejsce tym nieporząd-

nym ludziom? Dodał: — Czy kochasz kogokolwiek oprócz siebie samej?

— Kocham Boga, proszę księdza — odparła wyniośle. Rzucił na nią przelotnie okiem w świetle palącej się na podłodze świecy. Twarde, stare rodzyńki oczu pod czarnym szalem... jeszcze jedna z tych pobożnych... jak on sam.

— Skąd wiesz? Nie ma różnicy między kochaniem Boga, a kochaniem człowieka.. czy dziecka. Miłość oznacza pragnienie przebywania z Nim, blisko Niego. — Zrobił bezradny gest rękami. — Miłość to pragnienie obrotu Go przed tobą samą.

Po odejściu ostatniego penitenta przeszedł przez dziedziniec wracając do bungalow. Widział jak przy zapalanej lampie Miss Lehr robi na drutach i czuł zapach trawy w obejściu, mokrej od pierwszych deszczy. Człowiek mógłby tu być szczęśliwy, gdyby nie był przywiązany do strachu i cierpienia. Nieszczęście, podobnie jak pobożność, może stać się przyzwyczajeniem. Może jego obowiązkiem jest przełamać je i odkryć pokój. Zazdrościł tym wszystkim ludziom, którzy wyspowiadali mu się i otrzymali absolucję. Za sześć dni, mówił sobie, w Las Casas, i ja także... Ale nie mógł uwierzyć, że ktoś, gdzieś, kiedyś zdejmie mu ciężar z serca. Nawet, gdy pił, czuł się związany ze swoim grzechem przez miłość. Łatwiej było uwolnić się od nienawiści.

— Niech ksiądz siada — rzekła Miss Lehr. — Ksiądz musi być zmęczony. Oczywiście ja nigdy nie byłam zwoleńniczką spowiedzi. Mr Lehr również nie.

— Nie?

— Nie wiem jak ksiądz może wytrzymać siedząc tam i słuchając tych wszystkich okropnych rzeczy... Pamiętam, że kiedyś w Pittsburgu...

W ciągu nocy sprowadzono dwa muły, żeby mógł wyruszyć natychmiast po mszy, po drugiej mszy jaką odprawił w stodole Mr Lehra. Jego przewodnik spał gdzieś, przypuszczalnie z mułami; chudy, nerwowy chłopak, nigdy jeszcze nie był w Las Casas. Drogę znał tylko z opowiadań. Miss Lehr nalegała poprzedniego wieczoru, że musi księdza zbudzić, chociaż on sam budził się zawsze przed świtem. Leżąc w łóżku słyszał budzik dzwoniący

w innym pokoju, zupełnie jak telefon. Wkrótce usłyszał człapanie pantofli Miss Lehr w korytarzu na zewnątrz i pukanie do drzwi. Mr Lehr spał nadal niewzruszenie leżąc na plecach, szczupły i sztywny jak biskup na swoim grobowcu.

Ksiądz spał w ubraniu, więc otworzył drzwi zanim Miss Lehr zdążyła odejść. Pękata postać w siatce do włosów wydała lekki pisk konsternacji.

— Przepraszam.

— Och, nie ma za co. Jak długo potrwa msza, proszę księdza?

— Będzie bardzo wielu ludzi do komunii. Może ze trzy kwadranse.

— Przygotuję księdzu kawę i kanapki.

— Proszę się nie trudzić.

— Ach, nie możemy księdza wysłać na czczo.

Poszła za nim do drzwi, trzymając się nieco z tyłu, żeby nic ani nikt jej nie widział na tym szerokim, pustym, porannym świecie. Szare światło rozchodziło się nad pastwiskami. Przy bramie drzewo tulipanowe rozkwitało jak co dzień. Bardzo daleko, za strumykiem gdzie się kąpał, ludzie szli z wioski w stronę stodoły Mr Lehra. Z tej odległości byli zbyt drobni, by wydawać się ludźmi. Czuł wokół siebie nadzieję szczęścia, w którym weźmie udział; coś podobnego do nastroju dzieci w kinie, czy na rodeo. Zdawał sobie sprawę z tego jak bardzo mógłby być szczęśliwy, gdyby zostawiał za górami tylko trochę niemiłych wspomnień. Człowiek zawsze powinien przekładać pokój nad gwałt, a on zmierzał przecież ku pokojowi.

— Pani była bardzo dobra dla mnie.

Jakże dziwne wydawało mu się na początku, że traktowano go jak gościa, nie jak zbrodniarza, czy złego księdza. To byli heretycy. Nigdy nie przyszło im do głowy, że nie był porządnym człowiekiem; nie mieli wścibskiej przenikliwości braci katolików.

— Było nam przyjemnie, że mogliśmy księdza gościć u siebie. Ale ksiądz będzie zadowolony z odjazdu. Las Casas to piękne miasto. Bardzo moralne miejsce, jak Mr Lehr zwykł mówić. Jeśli ksiądz spotka księdza Quintana, niech go ksiądz od nas pozdrowi. On był u nas trzy lata temu.

Dzwon zaczął bić. Był to dzwon kościelny, który został spuszczonej z wieży kościelnej i zawieszony przed stodołą pana Lehra. Słuchając jego dźwięku odnosiło się wrażenie, że jest to niedziela jak wszędzie indziej.

— Chciałabym móc czasem pójść do kościoła — rzekła Miss Lehr.

— Dlaczegożby nie?

— Mr Lehrowi to by się nie podobało. On jest bardzo surowy. Ale to tak rzadko się zdarza teraz. Następne nabożeństwo będzie chyba znowu za trzy lata.

— Ja tu wrócę wcześniej.

— O nie — zaprzeczyła Miss Lehr. — Droga jest ciężka, a Las Casas to piękne miasto. Jest tam elektryczne światło na ulicach, są dwa hotele. Ksiądz Quintana obiecał, że wróci... ale chrześcijanie są wszędzie, nieprawda? Po co miałby tu wracać? Zresztą tak źle nam się tu nie powodzi.

Grupka Indian przeszła koło bramy. Dzikie, drobne stworzenia z epoki kamiennej. Mężczyźni, ubrani w krótkie kaftany, szli trzymając długie kije. Kobiety o czarnych warkoczach i nieregularnych rysach, niosły na plecach dzieci. — Indianie dowiedzieli się, że ksiądz tu jest. Nie zdziwiłabym się, gdyby przeszli pięćdziesiąt mil, żeby się tutaj dostać — zauważyła Miss Lehr. Zatrzymali się przy bramie i przypatrywali mu się. Gdy spojrział na nich ukłękli i przeżegnali się. Dziwnie skomplikowana mozaika ruchów obejmowała dotknięcie nosa, uszu i brody. — Mój brat tak się gniewa, gdy widzi jak ktoś klęka przed księdzem, ale ja nie uważam, żeby w tym było coś złego — powiedziała Miss Lehr.

Za rogiem domu muły grzebały kopytami. Przewodnik musiał je tam przyprowadzić, żeby im dać kukurydzę. Muły jadły wolno, więc trzeba było dać im paszę zawczasu. Był już czas na odprawienie mszy i odjazd. Czuł zapach wczesnego poranka. Świat był jeszcze świeży i zielony, a w dole, we wsi czekało parę psów. Budzik cykał w rękę Miss Lehr. — Muszę już iść — powiedział ksiądz. Czuł dziwną niechęć do pożegnania się z Miss Lehr, z domem i z jej bratem śpiącym w drugim pokoju. Odczuwał jakby tkliwość zmieszana z zależnością. Człowiek budzący się po niebezpiecznej operacji przywiązuje szczególną war-

tość do pierwszej twarzy, jaką widzi, gdy narkoza przestaje działać.

Nie miał szat liturgicznych, ale msze w tej wsi były bardziej zbliżone do dawnych proboszczowskich czasów, niż jakiegokolwiek inne z tych, które odprawił w ciągu ostatnich ośmiu lat. Nie było obawy, że msza zostanie przerwana; nie było pośpiechu w rozdawaniu sakramentów z powodu zbliżającej się policji. Były nawet relikwie ołtarzowe przyniesione z zamkniętego kościoła. Ale ponieważ było tu tak spokojnie, tym bardziej zdawał sobie sprawę ze swojej niegodności, gdy przygotowywał się do przyjęcia Eucharystii. „Przyjęcie Ciała Twojego, Panie Jezu Chryste, które ja, niegodny, odważam się pożywać, niechaj mi nie będzie na sąd i potępienie”. Człowiek cnotliwy może niemal przestać wierzyć w piekło, ale on nosił piekło z sobą. Czasem śnił o nim po nocach. *Domine, non sum dignus... domine, non sum dignus...* Zło jak malaria krążyło w jego żyłach. Przypomnił sobie sen, jaki miał kiedyś, o wielkiej, pokrytej trawą arenie, z rzędem posągów świętych po brzegach. Ale święci byli żywi, zwracali oczy to w tę, to w tamtą stronę i czekali na coś. On również czekał, w strasznym napięciu. Brodate Piotry i Pawły, z bibliami przyciśniętymi do piersi, obserwowali jakieś wejście z tyłu za nim, którego nie mógł dojrzeć. Tak można sobie wyobrazić grozę zbliżania się dzikiej bestii. Potem zaczęła grać *marimba*, dźwięcznym i wciąż powtarzającym się tonem; jakiś fajerwerk eksplodował, a na arenę tanecznym krokiem wszedł Chrystus. Tańczył i przybierał pozy. Miał krwawiącą, umalowaną twarz, wykrzywioną jak twarz prostytutki zapraszającym uśmiechem. Ksiądz zbudził się z uczuciem bezgranicznej rozpacz, jaką mógłby odczuwać człowiek, który stwierdził, że jedyne pieniądze jakie posiada są fałszywe.

„...i widzieliśmy chwałę Jego, chwałę jako jednorodzonego od Ojca, pełnego łaski i prawdy”. Msza była skończona.

Za trzy dni, mówił sobie, będą w Las Casas. Wyspowiadam się i grzechy będą mi odpuszczone. Automatycznie, z uczuciem bolesnej miłości wróciło mu na myśl dziecko na śmietniku. Cóż za pożytek ze spowiedzi, jeśli kocha się skutki swego występku?



Ludzie przyklekli, gdy przechodził przez stodołę. Zobaczył grupkę Indian, kobiety, których dzieci ochrzcił, Pedra. A i człowiek z *cantiny* był tam także; klęczał z twarzą ukrytą w pulchnych dłoniach, z których zwisał różaniec. Wyglądał na dobrego człowieka. Może i był dobrym człowiekiem. Może, myślał ksiądz, straciłem zdolność osądzania ludzi... może ta kobieta w więzieniu była tam najlepszą osobą. W świetle wczesnego poranka rżał koń, uwiązany do drzewa. Cała świeżość poranna wiała się przez otwarte drzwi.

Przy mułach stali dwaj ludzie. Przewodnik poprawiał strzemię, a obok niego stał metys, drapiąc się pod pachą i oczekując na jego przyjscie z niepewnym, obronnym uśmiechem. Tkwił tam jak niezbyt silny ból, przypominający człowiekowi o jego chorobie, lub może jak nieoczekiwane wspomnienie, które dowodzi, że miłość mimo wszystko jeszcze nie zmarła. — Proszę — rzekł ksiądz. — Was się tutaj nie spodziewałem.

— Nie, proszę księdza. Oczywiście, że nie. — Podrapał się i uśmiechnął.

— Sprowadziliście żołnierzy z sobą?

— Cóż znowu ksiądz wygaduje — zaprotestował ze słabym uśmiechem. Z tyłu za nim ksiądz widział poprzez dziedziniec w otwartych drzwiach Miss Lehr, jak przygotowywała dla niego kanapki. Była już ubrana, ale wciąż miała na włosach siatkę. Zawijała strannie kanapki w pergaminowy papier, a jej stateczne ruchy wyglądały dziwnie nierealnie. Realny był metys. Spytał: — Co za podstęp szykujecie mi teraz?

Może przekupił przewodnika, żeby przeprowadził go z powrotem przez granicę. Mógł się po nim wszystkiego spodziewać.

— Ksiądz nie powinien mówić takich rzeczy.

Miss Lehr zniknęła z pola widzenia bezdźwięcznie, jak sen.

— Dlaczego?

— Jestem tu, proszę księdza — zdawał się nabierać długiego oddechu zanim wypowiedział nieoczekiwane i bombastyczne stwierdzenie — z misją miłosierdzia.

Przewodnik skończył oporządzać jednego muła i zabrał się do drugiego, skracając i tak już krótkie meksykańskie

strzemię. Ksiądz zaśmiał się nerwowo: — Z misją miłosierdzia?

— Otóż ksiądz jest jedynym księdzem po tej stronie Las Casas, a ten człowiek jest umierający...

— Jaki człowiek?

— Yankes.

— O kim wy mówicie?

— To ten, którego policja poszukuje. Obrabował bank. Ksiądz wie, kogo mam na myśli.

— On i tak by mnie nie chciał — powiedział niecierpliwie ksiądz, przypominając sobie fotografię, przypatrującą się na obdrapanej ścianie grupie pierwszej komunii.

— Ależ on jest dobrym katolikiem, proszę księdza. — Drapał się pod pachą i nie patrzył na księdza. — On jest umierający, a żaden z nas nie chciałby mieć na swym sumieniu tego, co ten człowiek...

— Możemy się uważać za szczęściarzy, jeśli nie mamy gorszych sumień.

— Co ksiądz przez to rozumie?

— On tylko zabijał i rabował. Ale nie zdradzał swych przyjaciół.

— Matko Święta. Ja nigdy...

— Obaj czyniliśmy to — rzekł ksiądz, po czym zwrócił się do przewodnika: — Muły gotowe?

— Tak, proszę księdza.

— Zatem ruszamy. — Zapomniał zupełnie o Miss Lehr. Dłoń tamtego świata sięgnęła przez granicę, więc znów był w atmosferze ucieczki.

— Dokąd ksiądz jedzie? — spytał metys.

— Do Las Casas. — Szttywno wdrapał się na muła. Metys trzymał skórę jego strzemięcia. Przywiodło mu to na myśl ich pierwsze spotkanie. I tam była ta sama mieszanina pretensji, błagania, obelżywości. — Piękny ksiądz z księdza — podniósł swoje lamente. — Biskup powinien się o tym dowiedzieć. Umierający chce się wypowiedać, ale że księdzu śpieszy się do miasta...

— Dlaczego uważacie mnie za takiego durnia? — rzekł ksiądz. — Wiem dlaczegoście tu przyszli. Wy jedni możecie mnie poznać, a oni nie mogą przyjść po mnie do tej prowincji. A jeśli się was teraz spytam, gdzie jest ten Amerykanin, wy mi powiecie — ręcę za to — nie potrze-

bujecie mówić — że on jest tuż po drugiej stronie granicy.

— O nie. Tu się ksiądz pomylił. On jest po tej stronie.

— Miła czy dwie nie robią różnicy. Nie ma tu nikogo, kto by wniósł o to skargę...

— To jest okropne, że ksiądz nigdy mi nie wierzy — mówił metys. — Tylko dlatego, że raz... no, przyznaję...

Ksiądz kopnął muła, żeby ruszyć go z miejsca. Opuścili zagrodę Mr Lehra i skierowali się na południe. Metys biegł truchcikiem przy jego strzemieniu.

— Pamiętam — zauważył ksiądz — jak kiedyś powiedzieliście mi, że nigdy nie zapomnicie mojej twarzy.

— I nie zapomniałem — przerwał mu metys triumfalnie. Inaczej bym tutaj nie był, prawda? Niech ksiądz słucha. Ja przyznaję się do wielu rzeczy. Ksiądz nie ma pojęcia, jaką pokusę stanowi nagroda dla tak biednego człowieka jak ja. A kiedy ksiądz mi nie ufał, pomyślałem sobie, no, że jeśli tak, to ja księdzu pokażę. Ale ja dobry katolik, proszę księdza i kiedy umierający człowiek chce księdza...

Wdrapali się na długie zbocze pastwisk należących do Mr Lehra, które wiodło do następnego pasma wzgórz. O godzinie szóstej rano, na wysokości tysiąca metrów powietrze było jeszcze chłodne. Tam w górze, wieczorem będzie bardzo zimno. Mieli się wdrapać na wysokość jeszcze dwóch tysięcy metrów. Ksiądz spytał niespokojnie: — Dlaczegoż to miałbym dać się złapać na twój haczyk? To byłoby za głupie.

— Niech ksiądz patrzy. — Metys podniósł w górę kawałek papieru. Znajomy charakter pisma zwrócił uwagę księdza: wielkie, staranne pismo dziecka. Papier musiał być używany do pakowania jedzenia; był pobrudzony i tłusty. Czytał: „Książe duński zastanawia się, czy ma się zabić czy nie; czy jest lepiej cierpieć dalej i odczuwać wszystkie te wątpliwości co do ojca, czy też jednym ciosem...”

— Nie to, proszę księdza. Druga strona. To nic nie jest.

Ksiądz odwrócił papier i odczytał parę słów napisanych po angielsku tęnym ołówkiem: „Na miłość Boską, niech ksiądz...” Muł, nie bity, zaczął stąpać bardzo wolno i ociężale. Ksiądz nie usiłował go popędzać. Ten świstek papieru nie pozostawiał żadnej wątpliwości. Czuł, że pułapka zamyka się znowu, nieodwołalnie.

Spytał: — Skąd to znalazło się w twoich rękach?

— To było tak, proszę księdza. Byłem z policją, gdy go postrzelili. To było w wiosce po drugiej stronie. Podniosłem dziecko, żeby mu służyło za osłonę, ale oczywiście żołnierzy nic to nie obchodziło. To było tylko indiańskie dziecko. Obu postrzelono, ale on uciekł.

— Więc jak?...

— To było tak, proszę księdza. — Plótł jak papuga. Bał się porucznika — opowiadał — który był wściekły z powodu ucieczki księdza. Tak się bał, że uplanował prześlizgnąć się poprzez granicę, poza jego zasięg. Okazja nadarzyła się w nocy. Po drodze natknął się na Amerykani-  
nina. Przypuszczalnie było to po tej stronie granicy, ale kto mógł wiedzieć, gdzie kończy się jeden kraj, a zaczyna drugi. Amerykanin był postrzelony w brzuch...

— Więc jak mógł im uciec?

— O proszę księdza, ten człowiek ma nadludzką siłę. — Był umierający, chciał księdza...

— Jak on wam o tym powiedział?

— To można było w dwóch słowach powiedzieć, proszę księdza. — Żeby dowieść prawdy tej historii bandyta znalazł w sobie na tyle siły, żeby napisać parę słów, a więc... historia ta zawierała tyle dziur, co sito. Ale kartka istniała faktycznie, jak kamień milowy, którego nie można było nie zauważyć.

Metys znowu był urażony — Ksiądz mi nie ufa.

— Nie — stwierdził ksiądz. — Nie ufam wam.

— Ksiądz myśli, że ja kłamię.

— Większość z tego co mówicie, to kłamstwa.

Zatrzymał muła i siedział zamyślony z twarzą zwróconą na południe. Był całkiem pewien, że to była pułapka, przypuszczalnie podsunięta przez metysa, który chciał dostać nagrodę. Ale prawdą było również, że Amerykanin znajdował się tam, umierający. Pomyślał o opuszczonej plantacji bananowej, gdzie coś się wydarzyło i gdzie indiańskie dziecko leżało martwe na stosie kukurydzy. Nie ulegało wątpliwości, że go potrzebowano. Człowiek tyle mający na sumieniu... Najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że ksiądz czuł się zupełnie dobrze i wesoło. W pokój nigdy właściwie nie wierzył. Marzył o nim tak często po drugiej stronie granicy, że teraz pokój nie więcej oznaczał dla

niego niż marzenie. Zaczął gwizdać jakąś melodię, którą gdzieś posłyszał. „Znalazłem różę na mym polu”. Czas, żeby się zbudził. To rzeczywiście nie byłby dobry sen... ta spowiedź w Las Casas, na której musiałby wyznać, poza wszystkim innym, że odmówił spowiedzi człowiekowi umierającemu w stanie śmiertelnego grzechu.

— Czy ten człowiek jeszcze będzie żył? — spytał.

— Tak mi się wydaje, proszę księdza — skwapliwie podchwycił metys.

— Jak to daleko stąd?

— Cztery... pięć godzin, proszę księdza.

— Możecie jechać na zmianę na drugim mule.

Ksiądz zawrócił muła z powrotem i zawołał na przewodnika. Człowiek zsiadł i stał bez ruchu, słuchając objaśnień. Jedyłą uwagę zrobił metysowi, wskazując na siodło. — Uważajcie na torbę przy siodle. Tam jest koniak księdza.

Jechali stępa z powrotem. Miss Lehr była przy bramie i powiedziała: — Ksiądz zapomniał wziąć kanapki.

— Ach tak. Dziękuję pani. — Rzucił szybkie spojrzenie na to co go otaczało. To wszystko straciło już dla niego znaczenie. — Mr Lehr jeszcze śpi? — zapytał.

— Czy mam go zbudzić?

— Nie, nie. Ale może zechce mu pani podziękować za jego gościnność.

— Dobrze. A może za parę lat ujrzymy księdza znowu? Tak jak ksiądz powiedział. — Patrzała z ciekawością na metysa, który również się w nią wpatrywał swymi żółtymi, beczelnymi oczyma.

— Możliwe — odparł ksiądz i odwrócił się uśmiechając się do siebie ukradkiem.

— A zatem do widzenia księdzu. Lepiej niech ksiądz rusza, prawda? Słońce już się podnosi coraz wyżej.

— Do widzenia, droga Miss Lehr. — *Mestizo* uderzył biczem muła niecierpliwie i pobudził go do ruchu.

— Nie w tę stronę, człowieku — zawołała Miss Lehr.

— Mam jeszcze jedną wizytę w okolicy — zawołał ksiądz i podskakując w niewygodnym kłusie pojechał za metysem w stronę wsi. Minęli bielony kościół; on także był częścią snu. W realnym życiu nie ma kościołów. Otworzyła się przed nim długa, wiejska ulica o rozrzuconych

domach. Nauczyciel stał w drzwiach. Pozdrowił go ironicznie patrząc niechętnie zza rogowych okularów: — A więc ksiądz odjeżdża z łupami?

Ksiądz zatrzymał muła. Zwrócił się do metysa. — Rzeczywiście... zapomniałem...

— Nieźle ksiądz zarobił na chrztach — powiedział nauczyciel. — Opłaca się czekać parę lat, no nie?

— Jedźmy, proszę księdza — przynaglał go metys. — Niech ksiądz go nie słucha. To zły człowiek.

Ksiądz rzekł: — Pan zna tutejszych ludzi lepiej niż ktokolwiek. Jeśli zostawię jakiś dar, czy zechce go pan wydać na rzeczy nie przynoszące szkody... to znaczy na jedzenie, koce... nie na książki?

— Jedzenia im bardziej potrzeba niż książek.

— Mam tu czterdzieści pięć pezów...

— Co ksiądz robi?... jęknął metys.

— Chcemy oszukać sumienie? — spytał nauczyciel.

— Tak.

— Wszystko jedno. Oczywiście przyjmuję z podziękowaniem. Przyjemnie widzieć księdza z sumieniem. Jest to przekroczony etap w ewolucji — powiedział. Okulary błyszczały mu w słońcu. Pulchny człowieczek, pełen goryczy, wygnaniec stojący przed swoim krytym blachą barakiem.

Minęli ostatnie domy, cmentarz i zaczęli piąć się w górę.

— Po co, proszę księdza, po co? — protestował metys.

— To nie jest zły człowiek, robi co może, a ja nie będę już potrzebował pieniędzy, nieprawdaż? — spytał ksiądz. Przez dłuższą chwilę jechali bez słowa. Słońce zaczęło oślepiać, a grzbiety mułów napinały się z wysiłkiem na stromych, skalistych ścieżkach. Ksiądz znów zagwizdał „Znalazłem różę”, jedyną melodię jaką znał. W pewnej chwili metys zaczął się na coś żalić: — Z księdzem jest taki kłopot, że... — ale przestał zanim sformułował swój zarzut, bo nie miał właściwie powodu do żalenia się, skoro stale jechali na północ w stronę granicy.

— Jesteście głodni? — spytał w końcu ksiądz.

Metys zamruczał coś gniewnie, czy drwiąco.

— Weźcie kanapkę — powiedział ksiądz, otwierając paczkę Miss Lehr.

## R o z d z i a ł 2

— To tam — odezwał się metys z odcieniem triumfu w głosie, jak gdyby przez całe siedem ostatnich godzin był niewinnie posądzany o kłamstwo. Wskazał poprzez wąwóz na grupę indiańskich szałasów, obsiadłych skalny cypel, sterczący nad przepaścią. Było do nich może ze dwieście metrów, ale dojście zajęłoby co najmniej godzinę krętego złażenia o trzysta metrów i wspinania się o tyleż w górę.

Ksiądz siedział na swym mule rozglądając się z uwagą; nie mógł dojrzeć żadnego podejrzanego ruchu. Nawet punkt obserwacyjny — platformka ułożona z gałęzi na kopcu powyżej szałasów — była pusta. Zdaje się, że tam nie ma nikogo — powiedział. Znow oddychał atmosferą pustkowie.

— No przecież ksiądz chyba nie myślał, że tu będzie ktoś, oprócz niego — rzekł metys. — On tam jest. Zaraz ksiądz zobaczy.

— Gdzie są Indianie?

— Znow ksiądz zaczyna — żalił się metys. — Podejrzenia, wciąż te podejrzenia. Skąd ja mam wiedzieć gdzie są Indianie? Czy nie powiedziałem księdzu, że on jest zupełnie sam?

Ksiądz zsiadł z muła. — Co ksiądz znow teraz wyrabia? — krzyknął metys rozpaczliwie.

— Nie będziemy już mułów potrzebowali. Można je odesłać z powrotem.

— Nie będziemy potrzebowali? A jak ksiądz się stąd wydostać?

— Oho — rzekł ksiądz — to już nie ja będę sobie tym głowę suszył, nie uważacie? — Odliczył czterdzieści pezów i zwrócił się do mulnika: — Wynająłem was do Las Casas. No, udało wam się; macie tu zapłatę za sześć dni.

— To ksiądz mnie już więcej nie potrzebuje?

— Nie. I lepiej zmykajcie stąd, gdzie pieprz rośnie.

— Nie możemy iść tak daleko na piechotę, proszę księdza — powiedział gwałtownie mieszaniec. — Przecież ten człowiek umiera.

— Zajdziemy tam równie szybko na naszych własnych nogach. No, przyjacielu, jazda stąd. — Metys odprowadzał muły wzrokiem pełnym żalostnej chciwości. Stapały powoli wąską, kamienistą drogą, wreszcie zniknęły za załomem skały — stuk, stuk, stuk i głos ich kopyt rozpląnął się w ciszy.

— No, nie zwlekajmy dłużej — powiedział żywo ksiądz i z woreczkiem przewieszonym przez ramię zaczął schodzić ścieżką w dół. Czuł za sobą ciężki i zadyszany oddech metysa. Prawdopodobnie wypił w stolicy zbyt dużo piwa. Z dziwnym wzruszeniem zmieszonym z pogardą rozpamiętywał ksiądz jak wiele przytrafiło się im obu od chwili, gdy spotkali się po raz pierwszy w wiosce, której nazwy nawet nie znał. Metys leżał tam w upalne południe kołysząc swój hamak bosą, żółtą stopą. Gdyby w tym momencie spał, wszystko to nie byłoby się zdarzyło. Biedny stwór miał rzeczywiście strasznego pecha, że został obarczony tak ogromnym grzechem. Ksiądz szybko obejrzał się i zobaczył wielkie palce wysuwające się jak ślimaki z brudnych tenisówek. Metys schodził mruczając wciąż pod nosem. Jego wieczyste narzekanie nie pomagało mu w oddychaniu. Biedny człowiek, myślał ksiądz, naprawdę nie jest taki zły...

On też nie miał dość sił na tę podróż. Gdy ksiądz był już na dnie *barranca*, metys znajdował się o pięćdziesiąt metrów z tyłu. Ksiądz usiadł na jakimś głazie i wytarł czoło, a metys rozpoczął swe lamentsy zanim jeszcze dotarł do niego. — Nie ma co aż tak bardzo się śpieszyć. — Wyglądało jak gdyby w miarę zbliżania się do miejsca zdrady, wzrastał jego żal do ofiary.



Możesz to wszystko tutaj zostawić, tak, w tym szafasie i uwolniony wejść do wiecznego życia. — Poczul smutek i tęsknotę na wspomnienie tego życia, którego sam nie mógł dostąpić... tęsknotę za takimi słowami jak pokój, chwała, miłość.

Głos odezwał się nagle: — Niech ksiądz mnie zostawi i myśli o sobie. Niech ksiądz weźmie mój nóż... Ręka rozpoczęła na nowo swoją powolną wędrówkę — tym razem w kierunku biodra. Kolana przegięły się, jakby chciał przewrócić się na bok i nagle całe ciało wstrzymało swój wysiłek, oddech, wszystko.

Ksiądz pośpiesznie odmawiał słowa warunkowego rozgrzeszenia, na wypadek gdyby duch żałował za grzechy, choćby na jedną sekundę przed opuszczeniem ciała. Ale było bardziej prawdopodobne, że odszedł w zaświaty wciąż szukając swego noża, z zamiarem przekazania drugiemu własnej zbrodniczości. Ksiądz modlił się: „Boże miłosierny, zważ, że przecież on myślał o mnie, że to dla mnie chciał...”, ale modlił się bez przekonania. W najlepszym razie chodziło tu o jednego zbrodniarza, który pragnął pomóc w ucieczce drugiemu. Z jakiegokolwiek patrzeć na to strony, żaden z nich obu nie wiele był wart.

### R o z d z i a ł 3

Jakiś głos spytał: — No, skończyliście już?

Ksiądz wstał i zrobił drobny, lękliwy gest potwierdzenia. W ciemnej, eleganckiej postaci stojącej w drzwiach poznał oficera policji, który dał mu w więzieniu pieniądze. Światło burzy odbijało się w jego sztylpach. Opierał jedną rękę na rewolwerze i krzywił się cierpko na widok martwego bandyty. — Nie spodziewaliście się mnie zobaczyć — odezwał się.

— Ależ tak. Spodziewałem się — odparł ksiądz. — Muszę podziękować panu...

— Podziękować? Za co?

— Za to, że pozwolił mi pan z nim zostać.

— Nie jestem barbarzyńcą — powiedział oficer. — Proszę, może zechcecie teraz wyjść ze mną. Nie ma sensu uciekać. Zobaczcie sami — dodał. Ksiądz wyszedł z szalasu i zobaczył, że otacza go tuzin uzbrojonych ludzi.

— Mam już dosyć uciekania — powiedział.

Metys gdzieś zniknął. Na niebie gromadziły się ciężkie chmury na kształt gór, co nadało prawdziwym górcom pod nimi wygląd małych, jaskrawych zabawek. Westchnął i roześmiał się nerwowo. — Ileż kłopotu miałem z przedostaniem się przez te góry, a teraz... jestem tu znów.

— Nigdy nie sądziłem, że wrócicie.

— Ach, panie poruczniku, pan wie jak to jest. Nawet tchórz ma poczucie obowiązku. — Chłodny, świeży wiatr,

jaki wieje czasem przed nadejściem burzy, musnął jego twarz. Ze źle udaną swobodą zapytał: — Czy rozstrzela mnie pan teraz?

Porucznik znowu powiedział ostro: — Nie jestem barbarzyńcą. Będziecie sądzeni... sprawiedliwie.

— Za co?

— Za zradę.

— Mam więc wracać taki kawał drogi?

— Tak. Chyba, że zechcecie uciekać. — Trzymał rękę na rewolwerze, jakby nie ufał księdzu ani na jotę. Powiedział: — Mógłbym przysiąc, że już gdzieś...

— Och tak — przerwał ksiądz. — Widział mnie pan dwa razy. Gdy zabierał pan zakładnika z mojej wsi... zapytał pan mego dziecka: „Kto to jest”. Ona odpowiedziała: „Mój ojciec” i pan pozwolił mi zostać. — Nagle góry przestały istnieć. Wyglądało to jak gdyby ktoś nagle chlusnął im wodę w oczy.

— Prędko — mówił porucznik. — Do tego szałasu. Przyńcie nam parę skrzyń, żebyśmy mogli usiąść — powiedział jednemu ze swych ludzi.

Gdy ogarnęła ich burza weszli do szałasu, gdzie leżał trup. Żołnierz ociekając deszczem wniósł dwie skrzynie. — Świece — rozkazał porucznik. Usiadł na jednej ze skrzyń, wyjął rewolwer i powiedział: — Siadajcie tam, z dala od drzwi, żebym mógł was widzieć. — Żołnierz zapalił świecę i stopionym z niej woskiem przylepił ją do twardej polepy. Ksiądz usiadł blisko Amerykanina. Zastygły w ruchu którym usiłował wydostać nóż, sprawiał wrażenie jakby chciał dosięgnąć swego towarzysza, żeby zamienić parę słów na osobności... Wyglądali na ludzi tego samego gatunku; obaj byli brudni i nieogoleni. Porucznik zdawał się należeć do całkiem innej kategorii. Powiedział z pogardą: — Więc macie dziecko?

— Tak — odparł ksiądz.

— Wy... ksiądz?

— Niech pan nie sądzi, że wszyscy księża są tacy jak ja. — Patrzył jak światło świecy mruga na błyszczących guzikach. Dodał: — Są dobrzy księża i są źli. Ja jestem po prostu złym księdzem.

— Więc może uczynimy waszemu Kościołowi przysługę...

— Możliwe.

Porucznik spojrział na niego ostro, jak gdyby sądził, że zakpiono z niego, po czym powiedział: — Powiedzieliście mi, że dwa razy, że was widziałem dwa razy.

— Tak. Byłem w więzieniu. A pan dał mi pieniądze.

— Przypominam sobie. — Dodał z pasją: — Cóż za okropna ironia losu. Mieć was i wypuścić. Ba, straciliśmy dwóch ludzi szukając was. Zyliby dzisiaj... — Świeca skwierczała, w miarę gdy krople deszczu przeciekały przez dach. — Ten Amerykanin nie był wart dwóch istnień ludzkich. On był właściwie nieszkodliwy.

Deszcz padał bez przerwy. Siedzieli w milczeniu. Nagle porucznik powiedział: — Nie wkładajcie ręki do kieszeni.

— Szukałem tylko talii kart. Myślałem, że to pomoże nam spędzić czas.

— Nie gram w karty — odparł porucznik ostro.

— Nie, nie o grę mi chodzi. Chciałem tylko pokazać panu parę sztuczek. Czy mogę?

— W porządku. Jeśli chcecie.

Mr Lehr dał mu starą talię kart. Ksiądz powiedział: — Widzi pan, tu są trzy karty. As, król i walet. Teraz — rozłożył je wachlarzem na polepie. — Proszę mi powiedzieć, która z nich to as.

— Ta oczywiście — powiedział niechętnie i bez zainteresowania porucznik.

— Myli się pan — stwierdził ksiądz, odwracając ją. — To jest walet.

Porucznik rzekł pogardliwie: — Gra dla szulerów... albo dla dzieci.

— A oto inna sztuczka — mówił ksiądz — zwana „Chodź tu walecie”. Dzielę talię na trzy części, o tak. Teraz biorę waleta kier i wkładam go w środkową talię, o tak. Teraz pukam we wszystkie trzy grupki. — Gdy to mówił pojaśniała mu twarz. Od tak dawna już nie miał w ręku kart. Zapomniał o burzy, o zmarłym i o upartej, nieprzyjaznej twarzy naprzeciw. — Teraz mówię „chodź tu walecie” — podzielił grupkę kart z lewej na połowę i ukazał waleta. — I oto on.

— Na pewno są dwa walety.

— Niech pan sam zobaczy. — Porucznik pochylił się niechętnie do przodu i przejrzał środkową grupę. Powie-

dział: — Przypuszczalnie opowiadacie Indianom, że to jest cud Boży.

— O nie — zaśmiał się ksiądz. — Nauczyłem się tego od Indianina. Był on najbogatszym człowiekiem we wsi. Dziwi to pana? Z taką zręcznością w palcach! Nie. Te sztuczki pokazywałem na parafialnych zabawach, urządzonych przez różne Bractwa, wie pan.

Twarz porucznika przybrała wyraz fizycznego wprost niesmaku. Powiedział: — Pamiętam te Bractwa.

— Gdy pan był chłopcem?

— Byłem wystarczająco dorosły, żeby widzieć...

— Co?

— Jakie to były oszustwa — wybuchnął z pasją. Rękę wciąż trzymał na rewolwerze, jak gdyby przeszła mu przez głowę myśl, że najlepiej byłoby wyeliminować tę bestię teraz, w tej chwili, na zawsze. — Cóż to była za wymówka, co za hipokryzja. Wszystko sprzedać i dać biednym. Taka była nauka, prawda? A señora Taka-Owaka, pani aptekarzowa, mówiła, że dana rodzina właściwie nie zasługuje na pomoc, a señor Ten, Tamten, czy jeszcze inny powiedział, że przymierają głodem, bo na nic innego nie zasługują, a zresztą i tak są socjalistami. A wy — ksiądz — uważaliście jedynie na to, kto odbył wielkanocną spowiedź i złożył wielkanocną ofiarę. — Podniósł głos. Jakiś policjant zaniepokojony zajrzał do szafasu i wycofał się z powrotem przez siekący deszcz. — Kościół był biedny, ksiądz był biedny, więc każdy winien był wszystko sprzedać i dać Kościołowi.

— Pan ma zupełną słuszość — powiedział ksiądz i dodał szybko: — Ale także się pan myli, oczywiście.

— Co przez to rozumiecie? — spytał porucznik z wściekłością. — Mam słuszość? Czy nawet nie chcecie bronić?...

— Gdy pan mi dał pieniądze w więzieniu od razu wiedziałem, że jest pan dobrym człowiekiem.

Porucznik rzekł: — Słucham was tylko dlatego, że jesteście zgubieni, bez nadziei. Żadnej. Cokolwiek powiecie nic nie zmieni tego faktu.

— Naturalnie.

Nie zamierzał złościć oficera policji, ale przez ostatnie osiem lat miał bardzo mało okazji do rozmów z kim-

kolwiek poza paru wieśniakami i Indianami. Teraz coś w jego tonie rozwściekliło porucznika. Mówił: — Jesteście niebezpieczni. Dlatego was zabijamy. Rozumiecie, że nie mam osobiście nic przeciwko wam jako człowiekowi.

— Oczywiście. Pan walczy z Bogiem. Ja należę do tych ludzi, których pan codziennie zamyka... i którym daje pan pieniądze.

— Nie, ja nie walczę z fikcją.

— Ale ja nie wart jestem, żeby ze mną walczyć, czyż nie tak? Tak pan powiedział. Jestem kłamcą i pijakiem. Ten tu człowiek jest bardziej godzien kuli ode mnie.

— Chodzi o wasze poglądy. — Porucznik pocił się nieco w gorącym, parnym powietrzu. — Wy wszyscy jesteście tacy sprytni. Ale powiedzcie mi, co wyście kiedykolwiek zrobili w Meksyku *dla nas*? Czy kiedykolwiek powiedzieliście dziedzicowi, żeby nie bił swego parobka? O tak, ja wiem, może w konfesjonale i waszym obowiązkiem jest zapomnieć o tym natychmiast, czy nie tak? Wychodzicie stamtąd i jecie z nim kolacyjkę, i jest waszym obowiązkiem nie wiedzieć, że morduje chłopów. To już sprawa skończona. Zostawił ją w pudle konfesjonału.

— Tak, niech pan mówi dalej — powiedział ksiądz. Siedział na skrzyni z rękami na kolanach i z pochyloną głową. Mimo wysiłków nie mógł skupić uwagi na tym co mówił porucznik. Myślał: do stolicy jest czterdzieści osiem godzin. Dziś jest niedziela. W środę może nie będę już żył. Jako zdradę odczuwał fakt, że bardziej obawiał się bólu od kul, które go przeszyją, niż tego co nastąpi potem.

— Ha, my także mamy idee — mówił porucznik. — Nie dawać już więcej pieniędzy na odprawianie modłów, nie wydawać pieniędzy na budowę gmachów do odprawiania tych modłów. Zamiast tego damy ludziom jedzenie, nauczymy ich czytać, damy im książki. Dołożymy starań, żeby nie cierpieli.

— Ale jeżeli chcą cierpieć...

— Mężczyzna może chcieć zgwałcić kobietę. Czy mamy pozwolić na to, dlatego że on chce tego? Cierpienie jest przestępstwem.

— A pan cierpi stale — zauważył ksiądz, przypatrując się zaszępionej indiańskiej twarzy, widocznej za płomieniem

świecy. Dodał: — Jak to pięknie brzmi, prawda? Czy *jefe* też tak uważa?

— Och, my mamy też swoje parszywe owce.

— A co potem? To znaczy, gdy każdy już będzie miał w bród jedzenia i będzie mógł czytać dobre książki... książki, które pozwolicie mu czytać?

— Nic. Śmierć jest faktem. Nie usiłujemy zmienić faktów.

— Zgadza się pod wieloma względami — stwierdził ksiądz, leniwie rozkładając karty. — My też mamy fakty, których nie usiłujemy zmienić: że świat jest nieszczęśliwy, czy się jest bogatym, czy biednym; chyba, że się jest świętym, ale tych nie ma wielu. Nie ma sensu kłopotać się zanadto o odrobinę bólu tutaj. W jedno wierzymy obaj: że za sto lat wszyscy będziemy w grobie.

— A jednak przejmujecie się teraz odrobiną bólu — powiedział złośliwie porucznik, patrząc mu na palce.

— Ależ ja nie jestem świętym — odparł ksiądz. — Nie jestem nawet odważny. — Spojrzał w górę niespokojnie. Przejśniało się. Świeca nie była już potrzebna. Wkrótce będzie dostatecznie jasno, by zacząć długą podróż powrotną. Poczul chęć do dalszej rozmowy, do odłożenia choćby na parę minut decyzji wyruszenia. Powiedział: — To jest jeszcze inna różnica między nami. Praca nad osiągnięciem pana celów ma tylko wtedy sens, jeśli ludzie pracujący nad tym będą dobrzy i uczciwi. A nie zawsze będą dobrzy ludzie w pańskiej partii. Wtedy znowu będzie pan miał starą nędzę, bicie, bogacenie się bez skrupułów. Natomiast to, że ja jestem tchórzem i w ogóle niegodnym jest bez znaczenia. Mimo wszystko mogę wkładać Boga w usta ludziom i odpuszczać im grzechy w imieniu Boga. I gdyby nawet wszyscy księża byłiby do mnie podobni — nic by to nie zmieniło.

— Jest jeszcze sprawa, której nie rozumiem — rzekł porucznik. — Dlaczego wy jedni akurat zostaliście, gdy inni uciekli?

— Nie wszyscy uciekli — zauważył ksiądz.

— Ale dlaczego wyście zostali?

— Kiedyś sam sobie zadałem to pytanie — mówił ksiądz. — Otóż faktem jest, że człowiek nie staje nagle przed wyborem jednej z dwu dróg postępowania: dobrej

i zły, ale dostaje się w pułapkę. W pierwszym roku po prostu uważałem, że nie ma żadnego powodu do ucieczki. Kościoły i przedtem były palone. Pan wie jak często. To jeszcze wiele nie znaczy. Postanowiłem zaczekać do następnego miesiąca i zobaczyć, czy sytuacja nie ulegnie poprawie. Potem, ach, pan nie ma pojęcia jak szybko czas może lecieć.

Było już teraz całkiem jasno. Popołudniowy deszcz minął. Życie musiało toczyć się dalej. Policjant przeszedł mimo wejścia do szalasu i spojrzał na obu z ciekawością.

— Niech pan sobie wyobrazi, w pewnej chwili spostrzegłem, że jestem jedynym księdzem w promieniu wielu mil. Prawo, które nakazało księżom się ożenić, wykończyło ich w pewnym sensie. Wynieśli się. I mieli pełne prawo to zrobić. Zwłaszcza był jeden ksiądz, który nigdy mnie nie lubił. Miałem zbyt ostry język, proszę pana. Ten ksiądz powiedział, całkiem słusznie, że ja mam słaby charakter. On uciekł. Pan się będzie śmiał ze mnie, ale czułem się tak, jak za czasów szkolnych, gdy wyrzucano ze szkoły nauczyciela-brutala, którego bałem się przez lata. Był za stary by uczyć.

Widzi pan, nie potrzebowałem się więcej liczyć z cudzą opinią. Ludźmi się nie przejmowałem, bo mnie lubili. — Uśmiechnął się słabo, ukosem, w stronę skulonego Yankesa.

— Mówcie dalej — rzekł pośpennie porucznik.

— Jeśli będę mówił w tym tempie, będzie pan wiedział wszystko o mnie, zanim dojdziemy do więzienia — powiedział ksiądz, śmiejąc się nerwowo.

— Tym lepiej. To znaczy, dobrze jest poznać wroga.

— Tamten ksiądz miał rację. Gdy on odszedł, wtedy właśnie zacząłem schodzić na psy. Jedno następowało po drugim. Zacząłem zaniedbywać swoje obowiązki. Zacząłem pić. Myślę, że byłoby lepiej, gdybym ja także uciekł. Bo moim motorem działania przez cały czas była nie miłość Boga, lecz pycha. — Siedział pochylony na skrzyni, pulchny człowieczek w starych łachach Mr Lehra. Mówił: — Przez pychę upadli aniołowie. Pycha jest najgorsza ze wszystkiego. Myślałem sobie jaki to dzielny człowiek ze mnie, że zostałem, gdy inni uciekli. A wtedy pomyślałem, że jestem tak wielki, iż mogę ustalać sobie swoje własne przepisy. Zarzuciłem post i codzienną mszę. Zaniedbywa-



łem modlitwę... a pewnego dnia, będąc pijany i samotny... pan wie jak to jest, zrobiłem dziecko. Wszystko pochodziło z pychy. Pysniłem się, że zostałem. Byłem bezużyteczny, ale zostałem. No, w każdym razie niewiele ze mnie było pożytku. Doszedłem do tego, że nie udzielałem nawet stu komunii miesięcznie. Gdybym pojechał za granicę, ze dwanaście razy więcej ludzi otrzymywałoby Boga z moich rąk. Błędem jest myśleć, że jeśli jakaś rzecz jest trudna czy niebezpieczna, to... — Dokończył zdania rozłożeniem rąk.

Porucznik powiedział tonem, w którym przebiwała wściekłość: — No, teraz zostaniecie męczennikiem... macie tę satysfakcję.

— O nie. Męczennicy nie są tacy jak ja. Oni nie myślą cały czas, że gdyby wypili więcej wódki, nie baliby się tak bardzo.

Porucznik zwrócił się ostro do człowieka stojącego przy wejściu: — Co tam znowu? Po co się tu pętacie?

— Burza przeszła, panie poruczniku. Myśleliśmy, że możemy ruszyć.

— Ruszamy natychmiast.

Wstał, schował rewolwer do kabury i powiedział: — Przygotujcie konia dla więźnia. I każcie paru ludziom wykopać szybko grób dla yankesa.

Ksiądz włożył karty do kieszeni i wstał: — Pan słuchał mnie bardzo cierpliwie... — powiedział.

— Nie boję się poglądów innych ludzi — odparł porucznik.

Na zewnątrz ziemia parowała po deszczu. Mgła wznosiła się prawie po kolana. Konie stały gotowe. Ksiądz dosiadł jednego z nich, ale zanim mieli możliwość ruszyć, odwrócił się na dźwięk jękliwej i jednocześnie obrażonej skargi, którą tak często słyszał: Proszę księdza. — Był to metys.

— Proszę, proszę. Znowu wy — powiedział ksiądz.

— Ach, ja wiem co ksiądz myśli — mówił metys. — Ksiądz nie ma wiele wyrozumiałości. Ksiądz cały czas myślał, że ja go wydam.

— Idźcie sobie. Zrobiliście swoje — powiedział ostro porucznik.

— Czy mogę z nim zamienić słówko, panie poruczniku? — poprosił ksiądz.

— Ksiądz jest dobrym człowiekiem — szybko wtrącił metys. — Ale ksiądz jak najgorzej myśli o ludziach. Ja tylko chciałem księdza prosić o błogosławieństwo. To wszystko.

— Co wam z tego przyjdzie? Błogosławieństwa nie możecie sprzedać — powiedział ksiądz.

— Bo już się nie zobaczymy. A nie chciałem, żeby ksiądz oszedł myśląc źle...

— Jacy wy jesteście zabobonni — odparł ksiądz. — Myślicie, że moje błogosławieństwo zasłoni Bogu oczy. Ja nie mogę sprawić tego, żeby On o wszystkim nie wiedział. Lepiej idźcie do domu i módlcie się. A jeśli da wam łaskę żalu za to co zrobiliście, to wtedy rozdajcie pieniądze...

— Co za pieniądze, proszę księdza? — Metys gniewnie pociągnął jego strzemień. — Co za pieniądze? Znowu ksiądz zaczyna...

Ksiądz westchnął. Czuł się wyczerpany swymi przejściami. Strach może być bardziej męczący niż długa, monotonna jazda. Powiedział: — Będę się modlił za was — i uderzył konia, żeby zrównać się z porucznikiem.

— A ja będę się modlił za księdza — oświadczył łaskawie metys. — W pewnej chwili, gdy koń przystanął uważnie przed rozpoczęciem stromego schodzenia wśród skał, ksiądz spojrzął za siebie. Metys stał sam między szafasami. Przez nieco rozchylone usta widać było dwa długie kły. Wyglądał jakby był przyłapany w trakcie wykrzykiwań jakichś skarg albo pretensji: na przykład, że był dobrym katolikiem. Jedną ręką drapał się pod pachą. Ksiądz kiwnął mu ręką. Nie czuł urazy, bo nie oczekiwał już niczego od żadnej istoty ludzkiej, a miał w każdym razie powód, żeby być zadowolonym: ta żółta twarz, której nie można było ufać, nie będzie obecna „przy śmierci”.

— Jesteście człowiekiem wykształconym — powiedział porucznik. Leżał w poprzek wejścia do szafasu z głową na zwiniętej pelerynie i z rewolwerem u boku. Była noc, ale żaden z nich obu nie mógł spać. Ksiądz jęczał cicho przy każdym poruszeniu, tak był sztywny i zdrętwiały. Po-

rucznikowi śpieszyło się do domu, byli więc na koniach do północy. Zjechali już z gór w bagnistą równinę. Wkrótce cała prowincja będzie pocięta bagnami. Deszcze zaczęły się na dobre.

— Skądże znowu?! Mój ojciec był sklepikarzem.

— Mam na myśli to, że byliście za granicą. Umiecie mówić jak Amerykanin. Skończyliście szkoły.

— Tak.

— Ja byłem samoukiem. Ale są rzeczy, o których nie potrzeba uczyć się w szkole, żeby je znać. Jak to, na przykład, że są bogaci i biedni. — Dodał po cichu: — Rozstrzelałem przez was trzech zakładników. Biedni ludzie. Znienawidziłem was przez to.

— Tak — przyznał ksiądz i usiłował wstać, aby rozruszać zdrętwiałe prawe udo. Porucznik szybko usiadł z bronią w rękę: — Co wy robicie?

— Nic. Po prostu zdrętwiałem. To wszystko. — Położył się znowu z jękiem.

Porucznik powiedział: — Ci ludzie, których zastrzeliłem, to byli moi rodacy. Chciałem im dać cały świat.

— Ha, kto wie? Może właśnie dał im pan.

Porucznik nagle splunął ze złością, jakby coś nieczystego dostało mu się na język i powiedział: — Wy zawsze macie odpowiedzi, które nic nie znaczą.

— Nigdy nie byłem dobry w nauce — mówił ksiądz. — Nie mam pamięci. Ale jedna rzecz zawsze była dla mnie zagadką, jeśli chodzi o ludzi takich jak pan. Pan nienawidzi bogatych i kocha biednych. Czy tak?

— Tak.

— Otóż gdybym ja na przykład was nienawidził, nie chciałbym wychować swego dziecka na człowieka takiego jak wy. To nie miałyby sensu.

— Ach, zniekształcacie...

— Może. Nigdy nie mogłem pojąć należycie waszych idei. My zawsze mówiliśmy, że biedni są błogosławieni, a bogatym będzie trudno dostać się do nieba. Dlaczego mielibyśmy i to także utrudniać biednym? O ja wiem, że winniśmy dawać biednym jałmużnę i dbać o to, żeby nie byli głodni... głód może zmuszać człowieka do czynienia zła w takim samym stopniu jak pieniądź. Ale dlaczego mielibyśmy dawać biednym władzę? Lepiej, żeby zmarli

w brudzie i zbudzili się w niebie.. oczywiście bylebyśmy nie wpychali ich twarzą w błoto.

— Wasze wywody są mi wstrętne — powiedział porucznik. — Nie potrzebuję argumentów. Jeśli tacy ludzie jak wy widzą, że ktoś cierpi, to tylko gadają i gadają. Mówicie... a może ból to dobra rzecz, a może dzięki bólowi będzie mu się kiedyś lepiej działo. Ja natomiast daję głos memu sercu.

— Lufą pistoletu.

— Tak. Lufą pistoletu.

— Ach, może kiedyś, gdy będzie pan w moim wieku, będzie pan wiedział, że serce to bestia, której nie można ufać. Rozum też, ale on przynajmniej nie mówi o miłości. Miłość. Dziewczyna się topi, ktoś dusi gdzieś jakieś dziecko, a serce wciąż mówi miłość, miłość.

Przez chwilę leżeli spokojnie. Ksiądz pomyślał, że porucznik zasnął, ale tamten znów zaczął mówić. — Wy nigdy nie mówicie uczciwie. Do mnie mówicie jedno... a komu innemu mówicie „Bóg jest miłością”. Ale ponieważ myślicie, że takich powiedzeń bym nie strawił, więc mówicie mi co innego; takie rzeczy, z którymi myślicie, że się zgodzę.

— Ach, to jest zupełnie co innego — odparł ksiądz. — *Bóg jest miłością!* Nie przeczę, że serce ludzkie posiada cząstkę tej miłości, ale cóż to za cząstka! Malutka szklaneczka miłości zmieszana z garem brudnej wody. Nie potrafilibyśmy nawet poznać *takiej* miłości. Moglibyśmy ją wziąć za nienawiść. Miłość Boga wystarczyłaby do tego, by nas przerazić. Ona to zapaliła krzak na pustyni, nieprawdaz, i otwarła groby, i kazała umarłym chodzić w ciemności. O, człowiek taki jak ja uciekałby daleko, gdyby tę miłość poczuł w pobliżu.

— Nie dowierzacie mu zbyt, prawda? Wasz Bóg nie wydaje mi się wdzięcznym. Gdyby jakiś człowiek służył mi tak wiernie, jak wy jemu służyliście, podałbym go do awansu, postarałbym się o dobrą emeryturę dla niego... gdyby miał raka i wił się w boleściach, strzeliłbym mu w łeb.

— Niech pan słucha — powiedział gorąco ksiądz, pochylając się do przodu w ciemności, żeby przesunąć ciężar na zdrętwiałą nogę. — Nie jestem tak nieuczciwy jak sobie

pan wyobraża. Jak pan myśli, dlaczego ja mówię ludziom z ambony, że są narażeni na potępienie, jeśli śmierć zaskoczy ich znienacka? Nie opowiadam im bajek, w które sam nie wierzę. Ja nic nie wiem o miłosierdziu Bożym. Nie wiem jak okropne wydaje się Jemu serce ludzkie. Ale to wiem... że jeśli jeden człowiek w tym kraju był kiedykolwiek potępiony, to ja również będę potępiony. — Dodał powoli: — Nie chciałbym, żeby miało być inaczej. Ja po prostu chcę sprawiedliwości, to wszystko.

— Będziemy na miejscu przed zmierzchem — powiedział porucznik. Sześciu ludzi jechało z przodu i sześciu z tyłu. Czasem, gdy przekraczali pas lasu, pomiędzy widłami rzeki, musieli jechać jeden za drugim. Porucznik nie odzywał się wiele, a kiedy żołnierze zaczęli w pewnej chwili śpiewać piosenkę o tłustym sklepikarzu i jego kobiecie, brutalnie kazał im być cicho. Nie był to triumfalny pochód. Ksiądz jechał ze słabym grymasem uśmiechu przyklepionym do warg; wyglądało jakby włożył na twarz maskę, żeby spokojnie myśleć, bez zwracania niczyjej uwagi. Przeważnie myślał o bólu.

— Pewnie wypatrujecie cudu — powiedział porucznik, patrząc na niego z ukosa.

— Przepraszam, co pan powiedział?

— Mówiłem, że pewnie wypatrujecie cudu.

— Nie.

— Wierzycie w cuda, co?

— Tak. Ale nie dla mnie. Nie jestem już nikomu na nic potrzebny, więc po co Bóg miałby utrzymywać mnie przy życiu?

— Dziwi mnie, że człowiek taki jak wy może wierzyć w podobne rzeczy. Indianie, to co innego. Ba, gdy widzą po raz pierwszy światło elektryczne, uważają to za cud.

— Pozwalam sobie zauważyć, że gdyby widział pan po raz pierwszy człowieka wskrzeszonego to również może by Pan tak sądził. — Zachichotał bez przekonania za swą maską martwego uśmiechu. — O, to śmieszne, nieprawdaż? Nie o to chodzi, że cuda się nie zdarzają... ale po prostu

o to, że ludzie nazywają je inaczej. Niech pan sobie wyobrazi lekarzy dokoła zmarłego. Nie oddycha już, pulsu nie ma, serce nie bije: jest martwy. Potem ktoś wraca mu życie, a oni, lekarze... jak się to mówi?... wstrzymują się z opinią. Nie powiedzą, że to cud, bo nie lubią tego słowa. A potem takie zdarzenie powtarza się wiele, wiele razy... bo Bóg jest na ziemi... a oni mówią: to nie są cuda, to my po prostu powiększyliśmy naszą wiedzę o istocie życia. Teraz wiemy, że można być żywym bez pulsu, oddechu i bicia serca. I wynajdują nowe słowo na określenie tego stanu życia i mówią, że nauka udowodniła, iż nie ma cudów.

Wyjechali z leśnego traktu na bity gościniec. Porucznik ukłął konia ostrogą i cała kawalkada ruszyła kłusem. Już prawie dojeżdżali. Porucznik zamruczał nieśmiało: — Niezły z was człowiek. Jeśli mógłbym wam w czymkolwiek się przysłużyć...

— Gdyby pan zechciał mi dać pozwolenie na spowiedź...

Pierwsze domy ukazały się na horyzoncie; małe lepianki, chylące się ku ruinie; parę klasycznych filarków, po prostu błoto pokryte wapnem. Na rumowisku bawiło się brudne dziecko.

Porucznik powiedział: — Ale nie ma księdza.

— Padre José.

— Ach, Padre José — rzekł porucznik pogardliwie — on jest nic nie wart.

— Dla mnie wystarczy. Jest mało prawdopodobne, że bym znalazł tu świętego.

Porucznik jechał przez chwilę w milczeniu. Przejeżdżali koło cmentarza, pełnego połamanych aniołów i minęli wielki portyk z czarnymi literami „Silencio”. Powiedział wreszcie: — Zgoda. Możecie go mieć. — Nie patrzył na cmentarz, gdy przejeżdżali. Była tam ściana, przy której rozstrzeliwano więźniów. Droga opadała ostrym zakretem do rzeki. Na prawo, tam gdzie kiedyś była katedra, żelazne huśtawki stały samotnie na popołudniowym upale. Wszędzie panowała atmosfera opuszczenia. Bardziej intensywna tu, niż w górach, bo kiedyś było tu tak wiele życia. Porucznik myślał: Nie ma pulsu, nie ma oddechu, serce nie

bije, ale życie wciąż istnieje... tylko musimy znaleźć na to nazwę. Mały chłopiec patrzył na nich, gdy go mijali, i zawołał do porucznika: — Panie poruczniku, ma go pan? — a porucznik jakby we mgle przypomniał sobie tę twarz... kiedyś widział chłopca na rynku... potłuczona butelka. Usiłował się uśmiechnąć, ale był to tylko dziwny, gorzki grymas, bez triumfu, czy choćby nadziei. To było wszystko z czym musiał zaczynać na nowo.

— Czy mogę w czymkolwiek wam jeszcze pomóc?

— Nie. W niczym.

Porucznik otworzył drzwi, kładąc znów mechanicznie rękę na rewolwerze. Czuł się markotny, jak gdyby nie pozostało mu już nic do roboty teraz, gdy ostatni ksiądz znajdował się pod kluczem. Sprężyna jego działania była złamana. Myślał teraz o tygodniach spędzonych na uganianiu się za księdzem jak o szczęśliwych czasach, które minęły bezpowrotnie. Poczował się bez celu, jakby świat zastygł nagle w martwocie. Z gorzką dobrocią powiedział: — Starajcie się zasnąć. — Nie mógł się wcale zdobyć na nienawiść do tego wynędzniałego człowieczka.

Już zamykał drzwi, gdy usłyszał wystraszony głos: — Panie poruczniku.

— Tak.

— Pan widział jak rozstrzeliwano ludzi. Takich jak ja.

— Tak.

— Czy ból... długo trwa?

— Nie, nie. Sekundę — powiedział szorstko, zamknął drzwi i zaczął iść z powrotem przez bielony dziedziniec. Wszedł do biura. Podobizny księdza i bandyty wciąż były przypięte do ściany. Zdarł je, bo nie były już więcej potrzebne. Potem usiadł przy biurku, oparł głowę na rękach i zasnął zupełnie wyczerpany. Nie mógł sobie później przypomnieć nic z tego co mu się śniło, z wyjątkiem śmiechu, bezustannego śmiechu i długiego korytarza, z którego nie mógł znaleźć wyjścia.

Ksiądz siedział na podłodze, trzymając w rękach butelkę koniaku. W pewnej chwili wyciągnął korek i przyłożył ją do ust. Alkohol nie wywarł na nim żadnego wrażenia; równie dobrze mogłaby to być woda. Postawił butelkę na ziemi i szeptem zaczął coś w rodzaju spowiedzi generalnej. Powiedział: „Popełniłem grzech nieczystości”. Formalne to określenie nic nie znaczyło; wyglądało jak zdanie z gazety i nie mogło wzbudzić w nim skruchy. Znowu zaczął: „Spałem z kobietą” i usiłował wyobrazić sobie że drugi ksiądz pyta go: „Ile razy? Czy była zamężna?” „Nie”. Nie myśląc o tym co robi, napił się znów wódki.



W chwili gdy dotknął językiem płynu, przyszła mu na myśl jego córka, tak jak wyłoniła się z oślepiającego żaru: smutna, nieszczęśliwa, omroczona przedwczesną wiedzą. „O Boże, pomagaj jej”, powiedział. „Niech ja będę potępiony, zasługuję na to, ale ona niech żyje na wieki”. To była miłość, jaką powinien był czuć dla każdej duszy na świecie. Cała obawa i pragnienie zbawienia skupiły się niesłusznie na tym jednym dziecku. Zaczął płakać. Miał uczucie jakby musiał bezsilnie patrzeć z brzegu na nią, a ona topi się powoli, gdyż on zapomniał pływać. Pomyślał sobie, że taką miłość powinien był czuć zawsze i do wszystkich. Usiłował odwrócić myśl ku metysowi, ku porucznikowi, nawet ku dentyście z którym kiedyś siedział parę minut, ku dziecku na plantacji bananowej. Przywoływał długi szereg twarzy dobijających się do jego uwagi jak do ciężkich drzwi, które nie chcą ustąpić. Bo oni wszyscy także byli w niebezpieczeństwie. „Pomóż im, Boże”, modlił się, ale w chwili modlitwy znów myśl wróciła do stojącej obok śmietniska dziewczynki i wiedział, że tylko za nią się modli. Jeszcze jedna klęska.

Po chwili znowu zaczął: „Byłem pijany... nie wiem ile razy. Zanieczyściłem wszystkie obowiązki. Byłem winien pychy, braku miłości...” Słowa znowu stawały się konwencjonalne, wyprute z treści. Nie miał spowiednika, który odwróciłby jego umysł od formułki do faktu.

Pociągnął jeszcze łyk wódki i podniósł się z bólem zdrętwiałych mięśni. Podszedł do drzwi i wyjrzał przez kraty na widoczny w świetle księżyca rozgrzany dziedzińiec. Widział policjantów śpiących w hamakach, z wyjątkiem jednego, który nie mógł zasnąć i leniwie bujał się w górę, w dół, w górę, w dół. Wszędzie panowała dziwna cisza; nawet w innych celach. Sprawiało to wrażenie jak gdyby cały świat taktownie odwrócił się, żeby uniknąć patrzenia na jego śmierć. Przeszedł po omacku wzdłuż ściany do najdalszego rogu i usiadł z butelką między kolanami. Gdybym tylko nie był bezużyteczny, zupełnie bezużyteczny, pomyślał... Te osiem ciężkich beznadziejnych lat wydawały mu się tylko karykaturą służby: kilka komunii, parę spowiedzi i bezustannie zły przykład. Myślał: Gdybym miał choć jedną duszę do ofiarowania, żeby móc powiedzieć: „Patrz co ja zrobiłem”... Ludzie umierali za nie-

go. Zastępowali na świętego. Gdy myślał o nich czuł posmak goryczy, że też Bóg nie uznał za stosowne zesłać im świętego. Padre José i ja, myślał. Padre José i ja. Znowu pociągnął z butelki. Przyszły mu na myśl zimne twarze świętych, które go odpychały.

Ponieważ był sam, noc mijała wolniej niż w czasie poprzedniego pobytu w więzieniu. Trochę snu zaznał tylko dzięki wódce, którą skończył pić około drugiej nad ranem. Mdlilo go ze strachu, bolał go żołądek, a alkohol wysuszył mu usta. Zaczął mówić do siebie, bo nie mógł znieść dłużej milczenia. W swej niedoli żalił się: „Wszystko to pięknie... dla świętych”. A potem: „Skąd on wie, że to tylko trwa sekundę? Jak długą jest sekunda?” Zaczął płakać, lekko uderzając głową o ścianę. Padre Josému dali szansę, ale jemu nigdy. Może im się to wszystko pomyliło... po prostu dlatego, że tak długo im się wymykał. Może naprawdę myśleli, że odrzuci warunki, które przyjął padre José, że nie będzie chciał się ożenić, że był dumny. Może jeśli sam to zaproponuje, jeszcze ujdzie losowi. Nadzieja uspokoiła go na chwilę i zasnął z głową opartą o ścianę.

Miał dziwny sen. Śniło mu się, że siedział przy kawiar-nianym stoliku przed głównym ołtarzem katedry. Przed nim stało sześć dań, które jadł z apetytem. Pachniało kadzidło i panował dziwnie podniosły nastrój. Dania te — jak zwykle jedzenie w snach — nie miały specjalnego smaku, ale czuł, że gdy je zje wszystkie, podadzą mu najlepszą z wszystkich potraw. Przed ołtarzem kręcił się ksiądz odprawiający mszę, ale nie zwracał na niego uwagi. Nabo-żeństwo zdawało się go już nie obchodzić. W końcu wszystkie sześć talerzy było pustych. Ktoś niewidoczny zadzwonił na *Sanctus* i celebrans ukląkł przed podniesieniem Hostii. Ale on nadal siedział, nie zwracając uwagi na Boga nad ołtarzem, jak gdyby to był Bóg dla innych ludzi, a nie dla niego. Wtem kieliszek stojący obok jego talerza zaczął się napełniać winem. Spojrzał w górę i zobaczył, że obsługuje go dziewczynka z plantacji bananowej. „Wzięłam to z po-koju ojca” powiedziała.

„Nie ukradłaś?”

„Niezupełnie”, powiedziała swym starannym i precyzyjnym głosem.

„To bardzo ładnie z twojej strony”, odpowiedział. „Zapomniałem szyfru... jak on się nazywa?”

„Morse”.

„Tak. Właśnie. Morse. Trzy długie stuknięcia i jedno krótkie”. Natychmiast rozpoczęły się stukania. Stukał ksiądz przy ołtarzu, stukało całe niewidzialne zgromadzenie wiernych wzdłuż naw. Trzy długie i jedno krótkie. „Co to jest?” spytał.

„Wiadomości” powiedziała dziewczynka wpatrując się w niego surowym spojrzeniem, w którym przebijało zainteresowanie i poczucie odpowiedzialności.

Świtało już, gdy się ocknął. Obudził się z ogromnym uczuciem nadziei, która opuściła go momentalnie i całkowicie na widok więziennego dziedzińca. Był to rano jego śmierci. Przycupnął na ziemi z pustą butelką po wódce w rękę, usiłując przypomnieć sobie akt żalu. „O Boże, żałuję i proszę zmiłowania za wszystkie moje grzechy... ukrzyżowany... zasługuję na wszystkie twe okropne kary”. Mieszały mu się myśli; umysł był gdzie indziej. To nie o dobrą śmierć człowiek zawsze się modli. Na ścianie celi zauważył swój własny cień, który miał wygląd dziwaczny i groteskowo nieważny. Jakim głupcem był uważając, że był dość silny aby zostać, gdy inni uciekli. Jaki niemożliwy ze mnie człowiek, myślał, i jakże bezużyteczny. Nie zrobiłem nigdy nic dla nikogo. Równie dobrze mogłem być nigdy nie żyć. Jego rodzice nie żyli... wkrótce zaginie po nim nawet pamięć... może mimo wszystko nie był naprawdę godzien piekła. Łzy spływały mu po twarzy. W tej chwili nie obawiał się potępienia... nawet obawa przed bólem ustąpiła na dalszy plan. Czuł się tylko ogromnie zawiedziony, że musi iść do Boga z próżnymi rękami, że w ogóle nic nie zdziałał. W tej chwili wydawało mu się, że całkiem łatwo można było zostać świętym. Wymagało to tylko odrobiny kontroli nad samym sobą i nieco odwagi. Czuł się jak ktoś, kto utracił szczęście tylko dlatego, że spóźnił się o parę sekund na wyznaczone miejsce. Wiedział teraz, że w ostatecznym rachunku jedna tylko rzecz się liczy — świętość...

CZEŚĆ IV



Pani Fellows leżała w nagrzanym pokoju hotelowym i słuchała jak na rzece gwizdzie syrena statku. Nie widziała nic, bo na oczach i na czole miała chusteczkę zwilżoną wodą kolońską. — Kochanie. Kochanie, — zawołała głośno. Ale nikt jej nie odpowiedział. Czuła się przedwcześnie pogrzebana w tym wielkim mosiężnym grobowcu rodzinnym, zupełnie sama na dwóch poduszkach pod baldachimem. — Kochanie — krzyknęła znów rozdzierająco i czekała.

— Tak, Trixy? — powiedział kapitan Fellows. — Spałem i coś mi się śniło...

— Nalej jeszcze trochę wody kolońskiej na tę chusteczkę, kochanie. Głowa mi pęka.

— Tak, Trixy.

Wziął chusteczkę. Wyglądał staro, jak człowiek zmęczony, znudzony, i pozbawiony ulubionego zajęcia. Podszedł do toaletki i namoczył płótno.

— Nie za dużo, kochanie. Kto wie kiedy będziemy mogli dostać więcej.

Nie odpowiedział, więc spytała ostro: — Słyszałeś, co powiedziałam kochanie, czy nie?

— Tak.

— Jesteś taki małowówny ostatnio. Nie rozumiesz, co to znaczy być chorym i samotnym.

— Ha — powiedział kapitan Fellows. — Wiesz jak jest.

— Ale zgodziliśmy się, kochanie, że lepiej jest w ogóle nic nie mówić; nigdy, nieprawdaż? Nie powinniśmy być w takim ponurym nastroju.

— Tak.

— Jakoś żyć musimy.

— Tak.

Podszedł do łóżka i położył chusteczkę na oczach żony. Potem usiadł na łóżku, wsunął rękę pod siatkę i poszukał jej ręki. Sprawiali dziwaczne wrażenie dzieci zagubionych w obcym mieście, pozbawionych opieki dorosłych.

— Czy masz bilety? — spytała.

— Tak, kochanie.

— Muszę później wstać i spakować rzeczy, ale tak mnie boli głowa. Czy kazałeś im zabrać skrzynki?

— Zapomniałem.

— A jednak musisz starać się myśleć o naszych sprawach — rzekła posępnie i bez przekonania. — Nie ma nikogo innego. — Zamilkli oboje na dźwięk słów, których powinni byli unikać. On odezwał się nagle: — Jest duże poruszenie w mieście.

— Chyba nie rewolucja?

— Ach nie. Złapali księdza i mają go, biedaka, dzisiaj rano rozstrzelać. Mimo woli myślę, czy to ten człowiek, którego Coral... który się u nas schronił.

— Wątpię.

— Tak, to chyba nie ten.

— Tylu jest tych księży.

Puścił jej rękę, podszedł do okna i wyjrzał. Łódki na rzece, mały kamienisty ogród publiczny z popiersiem generała i wszędzie sępy.

Pani Fellows odezwała się: — Dobrze, że wracamy do kraju. Czasami myślałam, że przyjdzie mi umrzeć tutaj.

— Skądże znowu, kochanie.

— Cóż, ludzie umierają.

— Tak — odparł pochmurnie.

— No kochanie — rzekła ostro pani Fellows. — Pamiętaj, co obiecałeś. — Westchnęła ciężko: — Moja biedna głowa.

— Może chcesz aspiryny?

— Nie wiem, gdzie ją położyłam. Niczego tu nie można znaleźć.

— Czy mam pójść i kupić więcej?

— Nie, kochanie, nie mogłabym znieść samotności tutaj. — Z dramatycznym ożywieniem mówiła dalej: — Przypuszczam, że będę się czuła dobrze, gdy wrócimy do kraju. Będę wtedy miała dobrego lekarza. Czasami myślę, że to jest coś więcej niż ból głowy. Czy mówiłam ci, że miałam list od Nory?

— Nie.

— Podaj mi okulary, kochanie, to ci przeczytam... to co się do nas odnosi.

— Są na twoim łóżku.

— Ach, prawda.

Jedna z żaglówek odbiła od brzegu i zaczęła spływać w dół szerokiego, leniwego strumienia ku morzu. Pani Fellows czytała z satysfakcją:

— „Kochana Trix! Ileż Ty się nacierpiałaś. Ten łajdak...” — urwała nagle. — Aha, potem pisze dalej: „Oczywiście ty i Karol musicie się u nas zatrzymać jakiś czas dopóki nie znajdziecie mieszkania. Jeśli odpowiada wam domek dwurodzinny...”

Kapitan Fellows powiedział nagle ostro: — Ja nie wracam.

— „Czynsz wynosi tylko pięćdziesiąt sześć funtów rocznie bez podatków i jest łazienka dla służącej”.

— Ja tu zostaję.

— „Piec do gotowania i ogrzewania”. — Co takiego mówiłeś kochanie?

— Ja nie wracam.

— Tyle razy mówiliśmy o tym, kochanie. Wiesz, że dalszy pobyt tutaj zabiłby mnie.

— Ty nie musisz zostawać.

— Ależ nie mogłabym wracać sama — powiedziała pani Fellows. — Co by sobie Nora pomyślała? Poza tym... ach, to byłby absurd.

— Tutaj człowiek może coś robić.

— Zbierać banany — rzekła pani Fellows i parsknęła słabym zimnym śmiechem. — A i do tego zbytnio się nie nadawałeś.

Z pasją skierował się w stronę łóżka. — Tobie wszystko jedno, nieprawda? — zauważył. — Uciec stąd i zostawić ją samą...



— To nie była moja wina. Gdybyś siedział w domu...  
— Zwinęta pod moskitierą zanosła się płaczem. — Nigdy nie wrócę żywa do kraju — powiedziała.

Zmęczonym krokiem podszedł do łóżka i znowu ujął jej rękę. Nie zdało się to na nic. Oboje zostali opuszczeni. Musieli trzymać się razem. — Ty mnie nie opuścisz, kochanie, prawda? — spytała. W pokoju unosił się zapach wody kolońskiej.

— Nie opuszczę cię, kochanie.

— Zdajesz sobie sprawę jakie to absurdalne?

— Tak.

Przez dłuższą chwilę siedzieli milcząc. Na zewnątrz poranne słońce podnosiło się coraz wyżej na niebie i pokój stał się gorący nie do wytrzymania. W końcu pani Fellows odezwała się: — Ciekawa jestem, kochanie...

— Czego?

— O czym myślisz.

— Myślałem właśnie o tym księdzu. Dziwny człowiek. Pijak. Ciekaw jestem, czy to ten sam.

— Jeśli to ten sam, przypuszczam że ma to, na co zasłużył.

— Ale najdziwniejsze jest to, że... ona od tego czasu zachowywała się tak... jak gdyby wyjawiał jej coś...

— Kochanie — z agresywną słodyczą powtórzyła pani Fellows z głębi łóżka — pamiętaj coś obiecał.

— Tak. Przepraszam. Staram się, ale to wciąż wraca na myśl.

— Mamy siebie, kochanie — powiedziała pani Fellows. List od Nory zaszeleścił, gdy odwróciła owiniętą chustką głowę od rażącego światła które wpadało z zewnątrz.

Mr Tench pochylił się nad emaliowaną miednicą i mył ręce różowym mydłem. Powiedział swoim kiepskim hiszpańskim: — Niech się pan nie boi. Jak będzie bolało, to proszę mi od razu powiedzieć.

Pokój *jefe* został zamieniony na coś w rodzaju tymczasowego gabinetu dentystycznego. Wymagało to znacznego wydatku, bo trzeba było w związku z tym przenieść nie tylko samego Tencha, ale także jego szafkę, fotel i ta-

jennicze skrzynie, które zdawały się zawierać niewiele oprócz słomy, ale było rzeczą mało prawdopodobną, żeby wróciły puste.

— Od miesięcy całych na to cierpię — mówił naczelnik. — Nie może pan sobie wyobrazić, co to za ból...

— Źle, że wcześniej mnie pan nie sprowadził. Pańska jama ustna jest w bardzo złym stanie. Ma pan szczęście, że uniknął pan ropienia.

Skończył mycie i nagle stanął z ręcznikiem w ręku, zatopiony we własnych myślach. — Co się stało? — spytał naczelnik. Tench ocknął się gwałtownie, podszedł do szafki i zaczął układać igły i świderki w mały, metaliczny szereg — zapowiedź bólu. Naczelnik obserwował go z obawą i rzekł: — Jak pana ręka drży. Czy pan na pewno się dziś dobrze czuje?

— Cierpię na niestrawność — odparł Tench. — Czasem mam przed oczyma tyle ciemnych plam, że wydaje mi się jakbym nosił zasłonę. — Założył świderkę i wykręcił ramię maszyny. — Teraz proszę otworzyć usta bardzo szeroko. — Zaczął pakować w usta *jefe* kawałki waty. — Raz tylko widziałem jamę ustną tak zaniedbaną jak pańska.

*Jefe* usiłował coś powiedzieć. Tylko dentysta mógł zrozumieć stłumione i niespokojne pytanie.

— To nie był pacjent. Przypuszczam, że ktoś go wyleczył. Wy leczycie mnóstwo ludzi tutaj... kulami, nieprawdaż?

W trakcie czyszczenia zęba starał się podtrzymać nieprzerwany potok rozmowy. Tak się to robiło w Southend. — Dziwna rzecz przydarzyła mi się tuż przed podróżą w górę rzeki — powiedział. — Dostałem list od żony. Nie miałem wiadomości od niej... o, od dwudziestu lat. A tu nagle jak grom z jasnego nieba... — Pochylił się bliżej i z pasją grzebał instrumentem w zębie. Naczelnik bił rękami powietrze i chrząkał.

— Proszę wypłukać usta — powiedział Tench i z zawziętością zaczął nastawiać maszynę. — O czym to ja mówiłem? A, o żonie, prawda? Zdaje się, że ona znalazła sobie jakąś religię. Jakąś sektę... w Oxford. Co ona może robić w Oxford? Napisała, że mi przebaczyła i że chce ulegalizować naszą sytuację... To znaczy rozwód. Ona *mnie przebaczyła*. — Tench rozejrzał się w zamyśle-

niu po ohydnyim pokoiku, trzymając rękę na maszynie. Zebrało mu się na wymioty. Drugą rękę położył na żołądku i mocno przycisnął w poszukiwaniu źródła nieokreślonego bólu, który prawie zawsze odczuwał w tym miejscu. Wyczerpany *jefe* rozwalił się na fotelu z szeroko otwartymi ustami.

— Pojawia się i przechodzi — powiedział Tench, zupełnie gubiąc wątek myśli. — Oczywiście to nic nie jest. Po prostu niestrawność. Ale aż mnie zatyka. — Patrzył ponuro w usta, jak gdyby w próchniejących zębach ukryta była wizja przyszłości. Potem wielkim wysiłkiem woli pochylił się do przodu, przekręcił ramię maszyny i zaczął pedałowac. Słychać było brzęk i zgrzyt, brzęk i zgrzyt. *Jefe* cały zeszytniał i wpił się w poręcz fotela, podczas gdy stopa Tencha chodziła w górę i w dół, w górę i w dół. *Jefe* wydawał dziwne odgłosy machając rękami.

— Trzymać się mocno — powiedział Tench — trzymać się mocno. Jeszcze tylko jeden mały kącik. Prawie skończone. Ot, już mamy. Gotowe. — Zatrzymał się gwałtownie i krzyknął. — Boże litościwy, a to co jest?

Opuścił *jefe* i podszedł do okna. Na dole, na dziedzińcu oddział policji oparł właśnie broń o ziemię. Z ręką na żołądku Tench zawołał: — Chyba to nie nowa rewolucja?

*Jefe* wyprostował się i wypluł tampon.

— Oczywiście, że nie — zaprzeczył. — Mają rozstrzelać jednego człowieka.

— Za co?

— Za zdradę.

— Myślałem, że zwykle robicie to tam na cmentarzu — powiedział Tench. Jakaś moc przykuwała go do okna. To było coś, czego jeszcze nie widział. Wraz z sępami patrzył na mały dziedziniec o białych murach.

— Tym razem lepiej było tego tam nie robić. Mogłaby być demonstracja. Ludzie są tak ciemni.

Jakiś niski człowiek wyszedł z bocznych drzwi. Podtrzymało go dwóch policjantów. Można było zauważyć, że stara się jak może, tylko że niezupełnie panuje nad swymi nogami. Przepchali go przez dziedziniec pod przeciwległą ścianę. Jakiś oficer zawiązał mu oczy chusteczką. Tench pomyślał: Ależ ja go znam. O Boże, trzeba coś zrobić. To było jak patrzenie na egzekucję sąsiada.

— Na co pan czeka? — zapytał *jefe* — powietrze dostaje mi się do zęba.

Oczywiście nie można było nic zrobić. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Zgodnie z przyjętą rutyną. Oficer odstąpił na bok, karabiny podniesiono w górę, a człowieczek zaczął nagle rzucać konwulsyjnie rękami. Usiłował coś powiedzieć. Jakie to były słowa, które wszyscy zwykle wymawiali? To też była rutyna, ale może jego usta były zbyt suche, bo nic z nich nie wyszło poza słowem, które brzmiało jak „Wybacz”. Trzask karabinów wstrząsnął Tenchem; zdawał się wibrować w jego wnętrzościach. Zrobiło mu się niedobrze i zamknął oczy. Potem padł pojedynczy strzał. Gdy otworzył oczy, zobaczył jak oficer wpycha rewolwer do pochwy, a człowieczek był już tylko bezkształtną masą przy ścianie, czymś nieważnym, co należało uprzątnąć. Wkrótce podeszło dwóch ludzi o koślawych nogach. To była arena, a byk był martwy i nie było już więcej na co czekać.

— Och, jak mnie boli, jak boli — jęczał *jefe* z głębi fotela. — Prędko — błagał Tencha, ale ten stał przy oknie pogrążony w myślach, jedną ręką odruchowo szukając ukrytego w żołądku źródła swego bólu. Przypomniawszy sobie jak to ów niski człowiek z goryczą i bez nadziei wstał z krzesła w to oślepiające popołudnie i za dzieckiem wyszedł z miasta. Przypomniawszy sobie zieloną konewkę, fotografię swoich dzieci i odlew, jaki robił z piasku na rozszczerzone podniebienie.

— Plomba — prosił *jefe*, a oczy pana Tencha przeniosły się na złoto leżące na szklanym talerzyku. Waluta... będzie nalegał na to, żeby otrzymać obcą walutę: tym razem był zdecydowany wyjechać, wyjechać na dobre. Na dziedzińcu wszystko uprzątnięto. Jakiś człowiek rozrzucił piasek łopatą w taki sposób jakby napelniał grób. Ale grobu nie było. Nikogo nie było. Przerazające uczucie samotności owładnęło Tenchem, powodując kurcz żołądka, który go zgiął w pół. Ten człowieczek mówił po angielsku i słyszał o jego dzieciach. TENCH poczuł się zupełnie opuszczony.

„A teraz” — głos kobiety zabrzmiał triumfalnie i obie dziewczynki o paciorkowych oczach wstrzymały oddech —

„nadszedł wielki dzień próby”. Nawet chłopiec wykazywał zainteresowanie, stojąc przy oknie i wyglądając na ulicę opuszczoną z nastaniem godziny policyjnej. To był ostatni rozdział, a w ostatnim rozdziale działy się zwykle rzeczy gwałtowne. Może całe życie takie było: nudy, a potem podmuch heroizmu przy końcu.

„Gdy Naczelnik Policji wszedł do celi Juana, znalazł go na kolanach, modlącego się. Juan w ogóle nie spał tej nocy, ale spędził ją całą na przygotowaniach do męczeństwa. Był zupełnie spokojny i szczęśliwy. Z uśmiechem spytał Naczelnika Policji, czy przyszedł, by zaprowadzić go na bankiet. Nawet ten zły człowiek, który prześladował tylu niewinnych ludzi, był wyraźnie wzruszony”.

Żeby już wreszcie nastąpiła egzekucja, myślał chłopiec. Egzekucja zawsze go podniecała i zawsze z niecierpliwością czekał na *coup de grâce*.

„Wyprowadzono go na dziedziniec więzienny. Nie było potrzeby wiązania rąk, zajętych przesuwaniem ziarenek różańca. Czy podczas krótkiego przemarszu z celi do ściany egzekucyj młody Juan wrócił myślą do tych niewielu szczęśliwych lat, które przeżył tak męźnie? Czy przypomniał sobie dni w seminarium, łagodne napomnienia zwierzchników, wychowawczą dyscyplinę, a także dni płochę, gdy grał Nerona przed starym biskupem? Nero był tutaj przy nim, a on stał w rzymskim amfiteatrze”.

Głos matki ochrypnął nieco. Przekartkowała szybko pozostałe do przeczytania strony. Nie warto było się teraz zatrzymywać, więc czytała dalej, coraz to szybciej.

„Doszedłszy do ściany Juan odwrócił się i zaczął się modlić — nie za siebie, ale za swych nieprzyjaciół, za oddział biednych, niewinnych żołnierzy indiańskich, którzy stali naprzeciw, a nawet za samego Naczelnika Policji. Wzniósł krucyfiks swego różańca i modlił się o to, żeby Bóg im przebaczył, żeby ich oświecił w ich niewiedzy i doprowadził w końcu do swego królestwa wiekiustego, tak jak przyprowadził tam prześladowcę Szawła”.

— Czy mieli broń naładowaną? — spytał chłopiec.

— Jak to „czy mieli broń naładowaną”?

— Dlaczego nie strzelili, by zmusić go do milczenia?

— Bo Bóg chciał inaczej. — Zakaszłała i czytała dalej: „Oficer wydał rozkaz ‘prezentuj broń’. W tej samej chwili

uśmiech wyrażający niepojęte uwielbienie i szczęście opromienił twarz Juana. Wydawało się, że ujrzał ramiona Boga otwarte na jego przyjęcie. Zawsze mówił matce i siostrze, że ma przeczucie iż będzie w niebie przed nimi. Z przekornym uśmiechem zwracał się do matki, dobrej ale zanadto troszczącej się o drobiazgi gospodyni: 'Ja już wszystko przygotuję na twoje przyjęcie'. Chwila nadeszła, oficer rozkazał: ognia i..." Czytała, za szybko, bo dziewczynki powinny były już pójść spać i teraz przeszkodził jej atak czkawki. „Ognia i...” powtórzyła.

Dziewczynki siedziały cicho jedna przy drugiej. Wyglądały bardzo bliskie zaśnięcia. Ta część książki nigdy nie obchodziła ich zbyt. Znosiły ją ze względu na przedstawienie teatralne i pierwszą komunię, oraz siostrę, która została zakonnica i wzruszająco pożegnała się z rodziną w rozdziale trzecim.

„Ognia”, zaczęła znowu matka „i Juan wznosząc obie ręce nad głowę, zawołał mocnym, dzielnym głosem w stronę żołnierzy i wymierzonych karabinów: 'Niech żyje Chrystus Król'. W następnej chwili padł przedziurawiony tuzinem kul, a oficer, pochylając się nad jego ciałem, przyłożył rewolwer do ucha Juana i wypalił.

Długie westchnienie dało się słyszeć od okna.

„Drugi strzał nie był potrzebny. Dusza młodego bohatera opuściła już swą ziemską powłokę, a szczęśliwy uśmiech na martwej twarzy mówił nawet tym prostym ludziom, gdzie teraz znajduje się Juan. Jeden z żołnierzy obecnych przy egzekucji był tak wzruszony postawą męczennika, że potajemnie umoczył chusteczkę w jego krwi, a chusteczka ta, pocięta na setkę relikwii, znalazła drogę do wielu pobożnych domów”.

— A teraz — dodała szybko matka, klaszcząc w ręce: — do łóżka.

— A ten, którego rozstrzelali dzisiaj? — spytał chłopiec. — Czy on też był bohaterem?

— Tak.

— Czy to ten, który się wtedy u nas zatrzymał?

— Tak. On był jednym z męczenników Kościoła.

— Dziwnie od niego pachniało — powiedziała jedna z dziewczynek.

